



# WPADKA

Robert Muchamore



**Tajna operacja MI5 kończy się zagadkowym morderstwem.  
Jedyni świadkowie wydarzenia nie żyją,  
James Adams zaś musi wykorzystać zarówno  
swoją talent, jak i umiejętności, by uciec prześladowcom  
i wydostać się z Rosji w jednym kawałku.  
Tymczasem jego siostra Laura wyrusza na pierwszą  
solową misję, żeby pomóc w rozpracowaniu  
szajki bezwzględnych handlarzy ludźmi.  
Kiedy James w końcu dociera do domu, odkrywa,  
że prawdziwy koszmar dopiero się zaczyna.**

**James i Laura są agentami CHERUBA,  
świetnie wyszkolonymi zawodowcami mającymi  
nad zwykłymi funkcjonariuszami kontrwywiadu  
jedną kluczową przewagę: dorosłym nie przychodzi  
do głowy, iż mogą być szpiegowani przez dzieci.**

**Oficjalnie nieletni agenci nie istnieją.**

EGMONT

ISSN 978-83-237-3577-9



cena 29,90 zł



# WPADKA

Robert Muchamore

Tłumaczenie Bartłomiej Ulatowski

EGMONT

Tytuł oryginalny serii: Cherub

Tytuł oryginału: The Fall

Copyright © 2006 Robert Muchamore First published in  
Great Britain 2006 by Hodder Children's Books

[www.cherubcampus.com](http://www.cherubcampus.com)

© for the Polish edition by Egmont Polska Sp. z o.o., Warszawa 2009

Redakcja: *Agnieszka Trzeszkowska*

Korekta: *Anna Sidorek*

Projekt typograficzny i łamanie: *Mariusz Brusiewicz*

Wydanie pierwsze, Warszawa 2009 Wydawnictwo Eg-  
mont Polska Sp. z o.o. ul. Dzielna 60, 01-029 Warszawa  
tel. 0 22 838 41 00

[www.egmont.pl/ksiazki](http://www.egmont.pl/ksiazki)

ISBN 978-83-237-3577-9

Druk: Zakład Graficzny COLONEL, Kraków

## **CZYM JEST CHERUB?**

CHERUB to komórka brytyjskiego wywiadu zatrudniająca agentów w wieku od dziesięciu do siedemnastu lat. Wszyscy cherubini są sierotami zabranymi z domów dziecka i wyszkolonymi na profesjonalnych szpiegów. Mieszkają w tajnym kampusie ukrytym na angielskiej prowincji.

## **DLACZEGO DZIECI?**

Bo nikt nie podejrzewa ich o udział w tajnych operacjach wywiadu, co oznacza, że uchodzi im na sucho znacznie więcej niż dorosłym.

## **KIM SĄ BOHATEROWIE?**

W kampusie CHERUBA mieszka około trzystu dzieci. Głównym bohaterem naszej opowieści jest czternastoletni JAMES ADAMS, ceniony agent mający na koncie kilka udanych misji. KERRY CHANG, mistrzyni karate z Hongkongu, jest dziewczyną Jamesa. Do kręgu jego najbliższych znajomych należą także BRUCE NORRIS, SHAKEEL DAJANI oraz KYLE BLUEMAN. Siostra Jamesa LAURA ADAMS ma zaledwie jedenaście lat, ale już cieszy się reputacją jednej z najlepszych agentek CHERUBA. Jej najbliższymi przyjaciółmi są BETHANY PARKER oraz GREG RATHBONE, znany jako Rat.

## **PERSONEL CHERUBA**

Utrzymujący rozległe tereny, specjalistyczne instalacje treningowe oraz siedzibę łączącą funkcje szkoły, internatu i centrum dowodzenia CHERUB zatrudnia więcej dorosłych pracowników niż młodocianych agentów. Są wśród nich kucharze, ogrodnicy, nauczyciele, trenerzy, pielęgniarki, psychiatry i koordynatorzy misji. CHERUBEM dowodzi niedawno mianowana prezes Zara Asker.

## **KOD KOSZULKOWY**

Rangę cherubina można rozpoznać po kolorze koszulki, jaką nosi w kampusie. Pomarańczowe są dla gości. Czerwone noszą dzieci, które mieszkają i uczą się w kampusie, ale są jeszcze zbyt małe, by zostać agentami (minimalny wiek to dziesięć lat). Niebieskie są dla nieszczęśników przechodzących torturę studniowego szkolenia podstawowego. Szara koszulka oznacza agenta uprawnionego do udziału w operacjach. Granatowa - taką nosi James - jest nagrodą za wyjątkową skuteczność podczas jednej akcji. Kto konsekwentnie osiąga wyniki powyżej oczekiwań, kończy karierę w CHERUBIE, nosząc koszulkę czarną, przyznaną za wybitne osiągnięcia podczas licznych operacji. Agenci, którzy zakończyli służbę, otrzymują koszulki białe, noszone także przez część kadry.

## SIERPIEŃ 2006

Ford focus znieruchomiał na opustoszałym nadmorskim bulwarze w chwili, gdy potężna fala rozbiła się o mur falochronu. Opadający rozbryzg przemienił się w rwący potok, który zawirował na deskach drewnianej promenady. Na kamienistej plaży poniżej walczyły o przetrwanie na wódz zatopione plażowe chatki.

Mężczyzna za kierownicą miał pięćdziesiąt lat, brzuch jak beczka piwa i nabiegłą krwią twarz nadającą mu wygląd człowieka, który zasnął w solarium. Nazywał się George Savage.

- Choroba, ale sztorm - zagaił George, podnosząc głos, by jego towarzyska mogła go usłyszeć poprzez bębnienie deszczu o dach samochodu. - Nie pamiętam takiego od wieków.

Młoda kobieta na miejscu pasażera nosiła taki sam mundur jak jej towarzysz: czarne spodnie do białej koszuli z epoletami i napisem: „Królewski Urząd Ceł i Akcyz”. Wydobywszy ze schowka masywną latarkę, sięgnęła między fotelami do tyłu po nieprzemakalny płaszcz.

- Idziesz? - zapytała, choć dobrze wiedziała, jaką usłyszy odpowiedź.

- Chyba nie ma sensu, żebyśmy oboje mokli, prawda, Wet? - George uśmiechnął się, mrużąc oczy.

Iweta Clark nienawidziła swojego partnera. George był stary, leniwy, śmierdział jak wieczór w spelunie i znajdował osobliwą

uciechę w odmawianiu posługiwania się jej prawdziwym imieniem. Zwracał się do niej per Wet, Wetko, Wetuniu, Iwciu, nazywał kochaniem, a niekiedy nawet słoneczkiem, ale jeżeli słowo Iweta kiedykolwiek przeszło przez usta George'a Savage'a, to jej przy tym nie było. Z rozkoszą zmiażdżyłaby mu jądra kolanem, gdyby nie szkoda, jaką wyrządziłaby tym swojej zaledwie trzymiesięcznej karierze w służbach celnych.

Kiedy wysiadła w huczącą ciemność, wichura omal nie wyrwała jej płaszcza z rąk. Zanim zapięła suwak, jej koszula zdążyła nasiąknąć deszczem, a przez głowę przemknęła straszna wizja George'a łpiącego lubieżnie na jej czarny stanik, który na pewno będzie prześwitywał, kiedy wróci do samochodu.

Iweta podeszła do falochronu, użalając się w duchu nad sobą. Wstąpiła do służb zaraz po studiach, licząc na ekscytującą karierę pogromczyni oszustów, szmuglerów i handlarzy narkotyków. Broszura rekrutacyjna nie wspominała o dziesięciogodzinnych patrolach na wybrzeżu w towarzystwie obleśnej świni.

Właśnie pomyślała, że gorzej już być nie może, kiedy uderzyła kolejna fala. Większa od poprzedniczek, przełamała się nad murkiem falochronu, by potoczyć się spienionym wałem po promenadzie. Iweta zawróciła na pięcie, rzucając się do ucieczki, ale lodowaty strumień dogonił ją i porwał ze sobą. Poślizgnęła się na mokrych deskach i upadła na kolana, boleśnie ocierając sobie dłonie, które odruchowo wyciągnęła przed siebie. Powracająca woda piętrzyła się jej pod brodą i przelewała nad ramionami.

Kiedy z tchem zapartym od zimna dźwignęła się na nogi, rozległ się triumfalny ryk klaksonu. Była pierwsza w nocy, ale dzięki oświetlającym promenadę sznurom żarówek Iweta miała doskonały widok na kolekę zwijającego się ze śmiechu w ciepłym i suchym wnętrzu samochodu, za chlapiącymi wodą wycieraczkami.



Chciała podbiec do wozu i powiedzieć George'owi, co o nim myśli, ale wiedziała, że awantura tylko wzbogaci opowieść, jaką z pewnością uraczy kolegów w biurze, kiedy tylko nadarzy mu się okazja.

Bliska płaczu i z oczami piekącymi od soli Iweta zawróciła chwiejnie do falochronu, wyjmując z kieszeni dużą latarkę. Oczekując kolejnej fali, wczepiła się dłonią w barierkę nad murem i skierowała snop światła w stronę morza.

Ku swemu niezmiernemu zdumieniu zobaczyła dokładnie to, czego szukała.

\*

Wąski pas wody pomiędzy Wielką Brytanią a Francją jest najruchliwszym szlakiem morskim na świecie. W każdej chwili po kanale La Manche pływa ponad tysiąc jednostek, od ogromnych stutysięczników po jednoosobowe żaglówki. Przy tak dużym ruchu wypadki zdarzają się często, a kiedy jedna z większych łodzi zderzy się z jedną z małych, mniejsza zawsze wychodzi na tym gorzej.

Trzy godziny przed pojawieniem się George'a i Iwety na nadmorskiej promenadzie pod Brighton szybki katamaran o wyporności piętnastu tysięcy ton, wiozący dwustu trzydziestu pasażerów, powiadomił przez radio straż przybrzeżną o swojej kolizji z niedużym jachtem motorowym. Jacht wydawał się poważnie uszkodzony. Na pomoc posłano łódź oraz francuski śmigłowiec służb ratownictwa morskiego. Pomimo że jacht miał znaczny przechył i nabierał wody, jego dowódca odmówił przyjęcia pomocy i podjął próbę ucieczki z miejsca wypadku. Było oczywiste, że ma coś do ukrycia.

Śmigłowiec przez półtorej godziny towarzyszył okaleczonej łodzi szukającej schronienia na wodach międzynarodowych, po czym musiał wrócić do bazy po paliwo. W normalnych okolicznościach patrol straży przybrzeżnej już dawno przechwyciłby jacht,

w razie potrzeby zatrzymując go siłą, ale sztorm wywołał lawinę wezwań pomocy od innych jednostek i zasoby wszelkich służb morskich były wyczerpane do cna.

Z braku lepszych rozwiązań poproszono straż przybrzeżną o śledzenie jachtu za pomocą radaru, ale obserwowanie tak małej łódki na burzliwym morzu jest w zasadzie niemożliwe, dlatego straż nadała przez radio wezwanie, prosząc inne jednostki o zgłaszanie zauważenia uszkodzonej białej łodzi motorowej.

Tuż po północy kapitan kontenerowca nawiązał kontakt ze strażą, by zawiadomić, że jego statek właśnie minął jednostkę pasującą do opisu. Niebezpiecznie bliski zatonięcia jacht podejmował rozpaczliwe wysiłki dotarcia do angielskiego wybrzeża.

Ponieważ nie było komu przechwycić łodzi na morzu, wzdłuż dziesięciomilowego odcinka wybrzeża rozstawiono patrole policji, służb celnych i straży przybrzeżnej z nakazem wypatrywania uszkodzonego jachtu.

\*

George Savage patrzył na pochyloną nad oknem samochodu koleżankę z wyrazem rozżalenia na twarzy.

- Choroba, jesteś pewna?

„Cały George” - pomyślała Iweta. Był wyraźnie zirytowany, że zepsuto mu spokojny wieczór.

- Na końcu mola jest przywiązana łódź. Pasuje do opisu i wygląda, jakby się miała przewrócić.

- Może po prostu ktoś tam cumuje - odparł George, w zamyśleniu trąc palcem szczeciniasty zarost.

- Ma włączone światła, George. Moim zdaniem to nasza łódka. Zresztą tylko ktoś bardzo zdesperowany mógł zacumować poza portem w taką pogodę.

- Lepiej tu zaczekajmy. Wezwę wsparcie.

To wyprowadziło Iwetę z równowagi.

- Z tego, co wiemy, dopiero co przyplłynęli. Przestępcy wciąż mogą tam być!

- Przemysłowcy zwykle mają broń, cukiereczku. Nie wiemy, z czym mamy do czynienia.

„Cukiereczku... ?”

- Spadaj! - krzyknęła Iweta, waląc pięścią w dach samochodu.  
- Wiesz co, George? Siedź sobie na swoim tłustym dupsku i czekaj na wsparcie. Ja idę zrobić, co do mnie należy.

- Spoko, spoko, wyluzuj - wyszczerzył się George, sięgając po mikrofon. - Siedzę w tym bajzlu trochę dłużej od ciebie i wiem, że...

Iweta nie była w nastroju do wysłuchiwania kolejnego wykładu na temat dobrodziejstw płynących z trzydziestoletniego doświadczenia zawodowego. Bez słowa włączyła latarkę i ruszyła wzdłuż promenady w stronę stalowego mola.

Pordzewiała kratownicowa konstrukcja wychodziła w morze na pięćdziesiąt metrów i miała mniej niż trzy kroki szerokości. Tylko głowicę poszerzono na tyle, żeby mógł przy niej przycumować statek. Molo zbudowano przed kilkadziesiąt laty na potrzeby wycieczkowców, ale teraz służyło jedynie wędkarzom i kilku odważnym pływakom, którzy wykorzystywali je jako platformę nurkową.

Mimo ulewy i gór wody przewalających się przez molo rozstawione wzdłuż pomostu lampy działały i łódź była całkiem dobrze widoczna. Wyglądało na to, że została pospiesznie przywiązana do jednego poleru.

Załoga umknęła, nie gasząc świateł i pozwalając, by rozszalałe morze metodycznie demolowało jacht. Okna z jednej strony nadbudówki były potrzaskane, a rufa sterczała z wody, jakby dziób był zalany i utrzymywał się na powierzchni tylko dzięki linie, którą przywiązano go do mola.

Iweta wprawdzie pragnęła dopaść przestępców i przeprowadzić swoje pierwsze aresztowanie, ale rozsądna część jej duszy z ulgą przyjęła nieobecność załogi na pokładzie.

Wtedy usłyszała krzyk.

Rozległ się w chwili, gdy szczególnie wysoka fala przetoczyła się nad pomostem. Iweta przez chwilę myślała, że wyobraźnia płata jej figle, ale kiedy woda opadła, ponownie rozległ się przenikliwy pisk.

- Halo! - zawołała. - Jest tam kto?

Podmuch wichury nie dał jej szans na usłyszenie odpowiedzi, ale jej okrzyk dotarł do odbiorcy. Iweta dostrzegła szczupłą postać z ramionami oplatającymi słup lampy. Wyglądała na dziecko, najwyżej na dwanaście lat.

- Matko Boska... - wymamrotała Iweta do siebie, gorączkowo wrywając krótkofalówkę z pokrowca na pasku. - George, jesteś tam? Na końcu mola jest mała dziewczynka. Trzyma się słupa, ale boi się ruszyć.

- Idę do ciebie natychmiast - odpowiedział George.

Nawet on nie mógł zignorować dziecka w niebezpieczeństwie.

Iweta jednak nie wierzyła, że jej parter może być w czymkolwiek pomocny.

- Co ze wsparciem? - spytała.

- Nici - odrzekł George. - A przynajmniej nikogo się nie spodziewaj. Wiatr zrywa tynki z domów, na drogach leżą drzewa, a najbliższy radiowóz pojechał do wypadku na A27: podmuch przewrócił tira. Są ciężko ranni.

- Zrozumiałam - odpowiedziała Iweta. - Będę musiała ściągnąć małą sama.

- Uspokój się i czekaj na mnie - powiedział George z naciskiem. - To rozkaz.

Ale mimo trzydziestu lat spędzonych w służbie Jej Królewskiej Mości George nigdy nie awansował i oficjalnie nie miał żadnej władzy nad koleżanką.

Iweta przemokła do suchej nitki i wiedziała, że powinna dygotać z zimna, ale emocje rozpałały ją od wewnątrz. Zatarła dłonie, obserwując morze, by wybrać najlepszy moment do puszczenia się biegiem wzdłuż mola. Wyobraziła sobie, że znalazła się w jednej z gier komputerowych swojego małego bratanka i że jeśli wstrzeli się w jakąś magiczną sekwencję, zdoła dobiec do końca pomostu, złapać dziewczynkę i wrócić, unikając wszystkich fal.

Ale fale były wściekle i chaotycznie. Najlepsze, co Iweta mogła zrobić, to pobiec najszybciej, jak potrafi, i trzymać się barierki, kiedy grzywacze będą usiłowały zmyć ją do morza. Uznawszy, że boso będzie się jej bieгло lepiej niż w butach, zdjęła je, a potem także skarpetki i płaszcz przeciwdeszczowy. Przecież i tak była przemoczona, a nieprzemakalny materiał tylko by ją spowalniał, wzdymając się na wietrze.

- Trzymaj się, mała! Idę po ciebie! - krzyknęła Iweta, a wicher porwał porzucony płaszcz i zakręcił nim w powietrzu.

Wzięła głęboki wdech i chciała się szybko pomodlić, ale spostrzegła, że George już jedzie w jej stronę. Obawiała się, że może ją powstrzymać, więc tylko pocałowała złoty krzyżyk, który nosiła na szyi.

Kiedy skłębiony odmęt opadł, Iweta jednym susem przesadziła trzy stopnie u nasady mola, złapała metalową barierkę i ruszyła naprzód. Pierwsza fala ledwie sięgała ponad deski pomostu, ale porywisty wiatr nadał jej siłę lawiny. Iweta wciskała palce stóp w szczeliny między deskami, żeby się nie ślizgać.

Następna fala była ogromna. Przetoczyła się przez molo z przeciwnej strony, rzucając celniczkę plecami na balustradę i wciskając jej wodę w nozdrza. Kaszląc i plując, Iweta pobiegła dalej. Przerwa między falami pozwoliła jej pokonać kolejne trzydzieści metrów i dotrzeć prawie do głowicy mola, nim spadła nań kolejna wodna góra.

Kiedy fala przeszła, Iweta znajdowała się niespełna pięć metrów od łodzi i wyraźnie widziała przed sobą dziewczynkę o długich jasnych włosach. Mała była ubrana w wysokie skórzane buty, legginsy i przemoczony golf. Choć była zbyt przerażona, by puścić ślup i pobiec do brzegu, zachowała tyle przytomności umysłu, by wcisnąć się pomiędzy latarnię a kosz na śmieci i w ten sposób uchronić się przed zmyciem do morza.

- Hej, nic ci nie jest? - krzyknęła Iweta.

Dziewczynka potrząsnęła głową i powiedziała kilka słów w niezrozumiałym dla celniczki języku. Błada skóra i ciepła, lecz tandetna odzież sugerowały, że przybyła z Europy Wschodniej.

Iweta uświadomiła sobie, że jacht szmugłował nielegalnych imigrantów. Przestraszona dziewczynka pewnie została w tyle za swoimi zbiegłymi na brzeg towarzyszami, którzy albo sądzili, że zabrało ją morze, albo nie zależało im na niej aż tak bardzo, by wrócić i spróbować ją ocalić.

Następny ruch miał być najtrudniejszy. Głowica mola służyła do cumowania statków i nie miała balustrady. Iweta musiała poczekać na przerwę między uderzeniami fal, podbiec do dziewczynki, złapać ją, a potem wrócić na pomost. Wiedziała, że jeśli źle wybierze moment, fale zmyją ją do morza, a wtedy z pewnością zginie, albo tonąc, albo roztrzaskana o podpory mola lub ścianę falochronu.

Poza wąską strefą oświetlaną przez latarnie morze ginęło w nieprzeniknionej czerni, utrudniając przewidywanie uderzeń fal. Kucnąwszy wczepiona w ostatni odcinek balustrady, Iweta posłała małej pokrzepiający uśmiech, choć jej samej serce tłukło się w piersi z taką determinacją, jakby postanowiło wyrwać się ze swojego więzienia.

Pochyliła głowę, kiedy wyrosła nad nią ogromna fala. Metalowa konstrukcja pomostu wydała z siebie przeciągły jęk, brzmiący jak pieśń wieloryba. Jacht szarpnął się wściekle na swojej cumie;

laminatowy kadłub grzmotnął głucho o krawędź mola.

- Uwaga, idę! - zawołała Iweta.

Dotarcie do dziewczynki zajęło jej niecałe trzy sekundy. Mała szczękała zębami, a jej wychudzone ciało było nienaturalnie zimne. Iweta zrozumiała, że dziewczynka jest w pierwszej fazie hipotermii i raczej nie będzie w stanie iść o własnych siłach.

Wyswobadzając dygoczącą chudzinę spomiędzy latarni i śmietnika, Iweta zobaczyła kolosalną falę załamującą się nad końcem mola niemal na wysokości jej głowy. Uderzenie rzuciło ją na plecy, ale zdołała utrzymać jedną rękę zaciśniętą wokół talii dziewczynki.

Ogarnęła ją czysta groza, kiedy woda uniosła jej ciało z desek i poniosła w stronę krawędzi. Usłyszała kolejne grzmotnięcie kadłuba łodzi o molo, a potem coś ciężkiego gruchnęło na deski tuż przed nią.

- Trzymaj! - krzyknął George.

Iweta wczepiła się kurczowo w przedmiot, który okazał się kołem ratunkowym. George stał na pomoście z nogą zaklinowaną między rurkami balustrady i nylonową linką okręconą wokół masywnych nadgarstków. Z trudem utrzymywał się na nogach, walcząc z falami.

Kolejna fala uderzyła z taką furją, że porwała Iwetę razem z dziewczynką. Obie krzyknęły, rozpaczliwie usiłując utrzymać głowy nad powierzchnią. Kiedy woda spłynęła między deskami pomostu, Iweta przetoczyła się na brzuch i z przerażeniem zauważyła, jak niewiele brakowało, by wypadła za krawędź. Wciąż trzymając dziewczynkę, pospiesznie poczołgała się w stronę George'a i zapewniającej względne bezpieczeństwo balustrady.

- Mówiłem, żebyś zaczekała! - krzyknął George.

Oboje przykucnęli, wczepiając się w barierkę, by kolejna fala nie zmiotła ich z pomostu.

- Żebyś mnie powstrzymał, tak? - odkrzyknęła Iweta bliska łez, uprzytamniając sobie, że zawdzięcza życie człowiekowi, którego nienawidziła.

Być może nigdy nie polubi George'a z jego seksistowskimi żarcikami i poźółkłymi od nikotyny paluchami, ale nie mogła zaprzeczyć, że okazał się lepszym człowiekiem, niż sądziła.

Przez molo przewaliła się kolejna fala. Iweta osłoniła sobą dziewczynkę i poczuła się dziwnie pokrzepiona uściskiem ciężkiej dłoni kolegi na ramieniu. Nylonowa linka pokaleczyła George'owi nadgarstki, po palcach ciekły mu strużki krwi.

Kiedy reszta wody spłynęła z mola, Iweta spojrzała przez balustradę i z zaskoczeniem stwierdziła, że morze wokół mola się uspokoiło.

- Cisza przed burzą - powiedział George. - Punkt wysokiego ciśnienia, ale wielkie bydlaki zaraz wrócą.

Wiatr wył w stalowych kratownicach mola, ale sztorm przycichł, nabierając sił przed kolejnym atakiem i otwierając celnikom drogę ku bezpiecznemu brzegowi.



# 1. ROSJA

Aerogród leży na obszarach wiejskich trzysta kilometrów na północny zachód od Moskwy. To zbudowane w czasach Związku Radzieckiego miasteczko było ważnym ośrodkiem badań i przemysłu lotniczego. W jego ogromnych fabrykach powstawały radzieckie samoloty pasażerskie, wojskowe transportowce, a nawet rakiety sterowane.

W 1994 r. rząd ogłosił plany sprzedaży całego rosyjskiego przemysłu lotniczego w ramach projektu tak zwanej masowej prywatyzacji. Proces był skażony korupcją i wiele najcenniejszych zasobów Rosji wpadło w ręce małej grupy najbogatszych ludzi zwanych oligarchami.

Jednym z owych ludzi był Denis Obidin, który wykorzystał swoje stanowisko przedstawiciela banku do oszukańczego udzielenia ogromnych pożyczek swojej żonie i rodzicom. Zdobyte w ten sposób pieniądze posłużyły mu do skupowania akcji prywatyzowanych przedsiębiorstw, rozdanych pracownikom, którzy nie mieli pojęcia o ich prawdziwej wartości. Do 1996 r. wszedł w posiadanie sporej porcji rosyjskiego przemysłu lotniczego wycenianej wówczas na osiemset milionów dolarów.

Dziś Obidin nie tylko kontroluje wszystkie zakłady oraz większość nieruchomości w Aerogradzie, ale także mianował się burmistrzem w ustawionych wyborach. Kiedy miejscowy szef policji ogłosił plan wszczęcia dochodzenia w sprawie korupcji we władzach miasta, znaleziono go martwego w jego mieszkaniu. Nowym komendantem Obidin mianował swojego brata Władimira.

Nieco wcześniej Obidin ogłosił śmiały plan zaprojektowania i zbudowania nowoczesnego samolotu pasażerskiego, który mógłby konkurować z najnowszymi konstrukcjami Airbusa i Boeinga. Jednak fatalna reputacja Rosjanina odstraszyła zagranicznych inwestorów. Żaden przewoźnik na świecie nie kupi samolotu od firmy o podejrzanej proveniencji i niepewnej przyszłości.

Po wielu redukcjach bezrobocie w Aerogradzie przekracza dziś osiemdziesiąt procent. Jedyne ocalały zakład Obidina wytwarza niewielkie serie raket dla rosyjskiego wojska oraz modernizuje rosyjskie samoloty pasażerskie, montując w nich oszczędniejsze silniki produkcji brytyjskiej. Jednak cięcia budżetowe w wojsku oraz stopniowa wymiana flot przewoźników lotniczych na nowoczesne samoloty zachodnie sprawiły, że także to źródło dochodów zaczęło wysychać.

Obidin porzucił nadzieję na zgromadzenie miliardów potrzebnych do uruchomienia programu budowy nowego samolotu i szepnął słówko międzynarodowym handlarzom bronią, ogłaszając, że wszystko jest na sprzedaż. Za odpowiednią cenę gość odwiedzający Aerograd może kupić cokolwiek - od cysterny paliwa raketowego, przez plany systemu naprowadzania raket, aż po ciężarówkę pocisków przeciwokrętowych zdolnych zatopić amerykański lotniskowiec.

(Wyjątek z tajnego wprowadzenia  
do zadania dla Jamesa Adamsa, sierpień 2006)

Luksusowy dom Denisa Obidina opisywano w magazynach ilustrowanych w Rosji i całej północnej Europie. Drewniana budowla o nieregularnym kształcie miała trzy piętra, osiem sypialni, salę balową, gdzie żona Obidina wyprawiała przyjęcia, oraz osiemdziesięciometrową wieżę na jednym końcu. Tę wieńczyła obrotowa platforma z rozkładaną kopułą, którą od czasu do czasu otwierano, odsłaniając duży teleskop. Denis pysznił się swoją miłością do astronomii, ale wszyscy wiedzieli, że w rzeczywistości wieża służy jako posterunek snajperów. Rodziny bogatych

Rosjan należą do ulubionych celów porywaczy, snajper zaś był ostatnią linią obrony przeciwko każdemu intruzowi, któremu udało się sforsować elektryczny płot, uniknąć rozszarpania przez psy i rozstrzelania przez strażników z karabinami nieustannie patrolujących posiadłość.

Ogromne podwójnie szklone okna biblioteki Denisa Obidina wychodziły na las. Na drzewach wisiały jeszcze wielobarwne jesienne liście, a ziemia była przyprószona śniegiem. Romantyk być może uznałby ten widok za piękny, ale Jamesowi Adamsowi kojarzył się tylko z zimnem.

W domu Denisa Obidina było ciepło dzięki elektrycznemu ogrzewaniu podłogowemu i pogrzebanemu pod garażem generatorowi, ale reszta Aerogrodu pobierała prąd ze zrujnowanej elektrowni atomowej pięćset kilometrów od miasta i przerwy w dostawach energii były tu na porządku dziennym. Po miesiącu mieszkania w Aerogrodzie James doszedł do wniosku, że jedyną rzeczą gorszą od szkoły jest szkoła, w której przez cały dzień siedzi się w rękawiczkach bez palców i patrzy, jak oddechy kolegów ulatują białymi kłęбами pod sufit.

- Pada śnieg - powiedział James po rosyjsku, odwracając się od okna, by spojrzeć nad długim biurkiem na Marka, sześciolatniego syna Denisa Obidina.

James od trzech lat intensywnie uczył się rosyjskiego i mówił płynnie, ale ze zbyt marnym akcentem, by móc uchodzić za rodowitego Rosjanina. Poprosił Marka, by powtórzył zdanie po angielsku.

- Zis nołing - oznajmił Marek.

- Nieźle - pochwalił malca James. - A teraz powtórzmy sobie cyferki.

Ale chłopiec skrzywił się, potrząsnął głową, po czym rozdziawił usta w udawanym ziewnięciu.

- Jestem już zmęczony.

- Daj spokój - powiedział James surowym tonem. - Jestem twoim nauczycielem. Jeśli nie zaczniesz się koncentrować, nie zdasz egzaminu.

Marek błysnął zębami w złośliwym uśmiechu.

- Powiem tacie, że to twoja wina, a on każe cię zbić.

- Taki jesteś mądry, tak? - zakpił James.

Marek splótł ramiona na piersi.

- Mój wujek Władimir jest szefem policji. Ma własny komisaariat i własne więzienie. Może robić, co tylko chce.

- Może ciebie wsadzi za kratki, jak nie zdasz egzaminu.

- Na pewno nie, bo on mnie kocha. - Marek pokiwał głową z politowaniem. - Kupuje mi największe zestawy lego. A ja nie chcę iść do żadnej głupiej angielskiej szkoły. Chcę być tutaj.

- W Anglii są przynajmniej ciepłe i suche klasy - powiedział James, wruszając ramionami. - I nie wyłączają prądu w środku dnia. A zresztą wszyscy musimy robić rzeczy, których nie lubimy. Moja ciotka i wujek każą mi chodzić tutaj codziennie po szkole i dawać korepetycje takiemu jednemu śmierdzącemu gnojkwowi. A wszystko dlatego, że chcą podlizać się twojemu papie.

Marek zeskoczył z krzesła, potupał dookoła biurka i siląc się na groźną minę, podetknął Jamesowi piąstkę pod nos.

- Ja nie śmierdzę. Ty śmierdzisz!

- Spróbuj tylko.

Marek uśmiechnął się i delikatnie szturchnął Jamesa w nos.

- Wrrr - zawarczał James. - Już nie żyjesz, mały.

Chłopiec zapiszczał radośnie, kiedy James zgarnął go i błyskawicznie odwrócił głowę w dół, tak że pasemka włosów zwisły mu ku podłodze.

- Teraz będziesz miotłą - oświadczył James, opuszczając malca niżej i kołysząc nim na boki. Po chwili uniósł go i po sadził na brzegu biurka.

- Jeszcze raz, jeszcze raz! - dopominał się Marek, chichocząc tak opętańczo, że w kącikach ust zapieniły mu się kapki śliny.

- Zgoda, ale najpierw musisz powiedzieć: „Chcę być miotłą” po angielsku.

- Na pewno nie po głupim angielsku - zaperzył się Marek, po czym zeskoczył z biurka i z impetem rymnął na fotel pod oknem.

Szczęknięta klamka i obaj chłopcy jak na komendę odwrócili się ku drzwiom. Na progu stał Władimir Obidin. Potężny mężczyzna ubrany był w doskonale skrojony mundur oficera policji.

- James, czas na ciebie - oznajmił.

James spojrział na zegarek, a rozczarowany Marek westchnął.

- Jest dopiero dwadzieścia po - powiedział James.

- Mamy tu dziś spotkanie - wyjaśnił Władimir, po czym w jego głosie nagle pojawił się gniew. - Nie mam w zwyczaju tłumaczyć się dzieciom. Kiedy mówię, że masz wyjść, wychodzisz, rozumiano?

Widok Władimira przyprawiał Jamesa o dreszcze. Rosjanin pracował kiedyś dla rosyjskiego wywiadu wojskowego i słynął ze skuteczności, z jaką wyciągał zeznania z aerogrodzkich przestępców za pomocą zestawu narzędzi dentystycznych i lutownicy. Lekko podminowany James pożegnał się z Markiem, zarzucił plecak na ramię i ruszył do wyjścia. Na progu przystanął i obejrzał się.

- Mam daleko do domu - powiedział lękliwie. – Mogę skorzystać z łazienki?

Władimir westchnął, jakby James obarczył go wielkim ciężarem.

- Dobra, tylko szybko.

James wszedł do luksusowej łazienki z minibasenem i ścianami wyłożonymi bukowymi panelami. Zdjął plecak i z nieprzyjemną

świadomością, że Władimir Obidin czeka tuż za drzwiami, ci-  
chcem wysunął z bocznej kieszeni nokię communicator.

Otworzywszy klapkę, zauważył, że urządzenie odebrało kilka e-maili. Łączność komórkowa na obszarze Aerogrodu była bardzo kapryśna i jego smartfon przyjmował mnóstwo wiadomości i komunikatów o nieodebranych połączeniach za każdym razem, kiedy przechodził przez strefę silniejszego sygnału. Jednak nie był to dobry moment na czytanie. James uruchomił aplikację do komunikacji bezprzewodowej i wprowadził czterocyfrowy kod, by otworzyć ukryte menu.

W ciągu trzech tygodni udzielania Markowi korepetycji po szkole James zdążył rozmieścić w domu Obidina tuzin mikroskopijnych urządzeń podsłuchowych. Szereg jaskrawozielonych pasków na ekranie smartfonu wskazywał, że wszystkie mają zasilanie i działają jak należy.

- Ruchy, synu - warknął zza drzwi Władimir. - Nie mam całego dnia.

- Już spadam! - zawołał James, wciskając smartfon do plecaka, i ruszył ku drzwiom.

W ostatniej chwili przypomniał sobie o spuszczeniu wody.

Władimir wyprowadził Jamesa na wysypany trocinami podjazd i powiodł go w stronę pancерnej bramy broniącej wjazdu na posesję Obidina. Marek przyjaźnie pomachał swojemu nauczycielowi z okna na pierwszym piętrze.

- Na razie, Sławku. - James skinął głową strażnikowi, przechodząc przez stalową furtkę wprawioną w półmetrowej grubości mur.

Znudzony i przemarznięty strażnik zwykle zamieniał z nim kilka zdań, ale pod spojrzeniem Władimira wbił głowę w ramiona i nie odpowiedział nawet machnięciem ręki.

Za bramą James zapiął kurtkę i postawił kołnierz dla ochrony przed wiatrem. Mieszkał w bloku sześć kilometrów dalej, z fał-

szywą ciotką i wujem, którzy udawali handlarzy bronią chcących kupić rakiety od Denisa Obidina. W rzeczywistości oboje pracowali dla MI5.

Autobus jadący do miasta zatrzymywał się na przystanku pół kilometra od domu Obidina, ale w aerogrodzkiej komunikacji miejskiej panowało kompletne rozprężenie. Sterczenie na mrozie nie należało do przyjemności, a w rzadkich wypadkach, kiedy udało się doczekać autobusu, pojazd wypełniały kłęby papierosowego dymu oraz zbity tłumek chorobliwe pokaszujących ludzi o ponurych minach i zaczepnym nastawieniu. Bieg do domu był zdrowszą opcją, a wybierając ją codziennie, James mógł mieć nadzieję, że po powrocie do kampusu wciąż będzie w przyzwoitej formie.

Pierwszy odcinek trasy wiódł posępną nieuczęszczaną drogą przez nieduży, lecz gęsty las. James lubił ten etap codziennej przebieżki, rześkie powietrze i zapach sosnowych igieł. Drzewa kończyły się tuż przed zakładem numer siedem. W długiej na półtora kilometra hali pracowało niegdyś trzydzieści pięć tysięcy osób składających jeden trzystumiejscowy samolot co dziesięć dni. Niedługo po zamknięciu montowni młodociani wandalie zdemolowali halę i pokryli jej ściany graffiti, ale w ciągu następnych lat większość rodzin opuściła Aerogród, zabierając ze sobą swoje rozhasane nastoletnie dzieci.

James widywał już wcześniej w okolicy zakładu najwyższej garstkę bezdomnych chłopców, którzy mieszkali nieopodal w opuszczonym bloku, wachali klej we wraku samolotu transportowego, i od czasu do czasu kopali w hangarze sflaczałą piłkę.

Upewniwszy się, że jest sam, James usiadł na betonowym stopniu, opierając się o drzwi, które ktoś wyjął z zawiasów, zapewne po to, by zabrać je później na opał. Wyciągnął smartfon z plecaka i przejrzał wiadomości.

Pierwsza była od jego dziewczyny z kampusu CHERUBA:

WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO Z OKAZJI

15. URODZIN

TEŚKNIĘ ZA TOBĄ

WRACAJ SZYBKO!

MAM NADZIEJĘ, ŻE ZA BARDZO

NIE MARZNIESZ

K.C. KERRY

James dostał też mnóstwo życzeń od przyjaciół z kampusu, a nawet SMS-a od swojej opiekunki Meryl Spencer. Najstarsza nieprzeczytana wiadomość była od jego siostry Laury. Wysłano ją poprzedniego wieczoru:

WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO NA JUTRO,

LESZCZU!

SORRY, ŻE WCZEŚNIEJ, ALE LARGE CIĄGNIE

NAS NA JAKĄŚ WĘDRÓWKĘ.

PREZIK DOSTANIESZ, JAK WRÓCISZ.

PS ŻEBYŚ MI NIE PODRYWAŁ ŻADNYCH

ROSJANEK, ZBOCZKU JEDEN!



## 2. OPRAWCA

Życie Laury Adams legło w gruzach, kiedy dwaj niedawno mianowani agenci CHERUBA wrócili z misji w Stanach Zjednoczonych. Większość czasu spędzili tam na opychaniu się hamburgerami, lodami i frytkami zapijanymi wiadrami napojów gazowanych i żaden ani myślał przestrzegać programu ćwiczeń stworzonego po to, by utrzymać agentów w formie. Po długiej misji każdy cherubin przechodzi badania lekarskie i wydolnościowe; obaj chłopcy je zawali.

Opiekunowie oraz trenerzy CHERUBA poszli po rozum do głowy i uradzili, że wszyscy młodszy agenci potrzebują nauki pokazującej, jak ważna jest dbałość o kondycję. Nauzka miała przybrać formę trzydniowego pieszego rajdu przez Yorkshire Dales pod kierunkiem Normana Large, najokrutniejszego trenera w kampusie. Wszyscy instruktorzy CHERUBA są surowi, ale Large był najgorszy, ponieważ dręczenie dzieci sprawiało mu prawdziwą frajdę.

Dwadzieścioro sześcioro agentów w wieku do dwunastu lat wysadzono z ciężarówki tuż po wschodzie słońca, po czym Large radośnie oznajmił, że każdy będzie dźwigał dodatkowo dziesięciokilogramowy metalowy odważnik oprócz, rzecz jasna, namiotów, sprzętu biwakowego, wody i ubrań poupychanych już w plecakach. Gorące napoje i owsiankę mieli dostać za półtorej godziny w punkcie zbornym piętnaście kilometrów dalej.

Spóźnialscy mieli pozostać głodni aż do wieczora.

Laura zdążyła na śniadanie i była to najprzyjemniejsza część jej dnia. Od tamtej pory minęło wiele godzin. Było już ciemno, a ona leżała w dwuosobowym namiocie ze spuchniętymi kostkami i piekącymi otarciami na ramionach. Patrzyła na śpiwór swojej przyjaciółki Bethany Parker, na przemian pęczniejący i kurczący się w rytm jej oddechu.

- Bethany... Spisz? - szepnęła Laura, wyciągając rękę i lekko szturchając koleżankę w bok.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, uznała, że może bezpiecznie wysliznąć się ze śpiwora. Leżała w ubraniu, dlatego musiała tylko wsunąć buty, zanim popęzła do wyjścia, nie zadając sobie trudu wiązania sznurówek. Namacała suwak spinający kłapy namiotu i rozsunęła go powoli, żeby nie robić hałasu.

Księżyc w pełni oświetlał jej drogę, kiedy przekradała się między dwoma szeregami namiotów w stronę grupy drzew na skraju pola.

- Rat? Jesteś tam? - wyszeptwała.

Krępy dwunastolatek odpowiedział cicho, głosem naznaczonym australijskim akcentem.

- Tutaj.

Laura uśmiechnęła się na widok Rata siedzącego pod drzewem z plecami opartymi o pień.

- No i jak tam?

- Bywało lepiej - westchnął Rat, przeczesując brudną dłońią posklejane w strąki włosy. - Skręciłem kostkę, kiedy przechodziliśmy przez to jezioro, i strasznie bolą mnie plecy. A co u ciebie?

- Mniej więcej to samo - powiedziała Laura, wzruszając ramionami, po czym usiadła na trawie i przytuliła się do chłopca.

- Czemu tak późno? - zapytał Rat.
- Bethany. Myślałam, że nigdy nie zaśnie.

Laura i Rat spojrzeli sobie w oczy i wymienili szybki pocałunek.

- To wszystko, co dla mnie masz? - zapytał Rat z pretensją w głosie.

- Capiasz jak majtki zapaśnika, a na gębie wciąż masz zaschnięty sos z fasoli.

Rat cmoknął z irytacją.

- Jakbyś nie zauważyła, Large przez dwanaście godzin ganiał nas po lesie. Z ciebie też żadne perfumy, wiesz?

Laura namyślała się przez chwilę, po czym pochyliła się i uraczyła Rata znacznie dłuższym pocałunkiem.

- Wiesz co... - zaczął Rat, kiedy już odkleili się od siebie. - Ostatnio trochę myślałem i...

- Ach, to było to - zadrwiła Laura. - To by wyjaśniało ten dziwny chrobot, jaki słyszałam, kiedy szłam za tobą i Andym.

- Mówię poważnie - zachnął się dwunastolatek. - Chodzi o to, że czaimy się z tym naszym związkiem, od kiedy skończyłem szkolenie podstawowe. Myślę, że już czas przestać się ukrywać.

Laura wbiła wzrok w ziemię i jęknęła.

- Gdybym wiedziała, że znowu z tym wyjedziesz, zostałamby w namiocie.

- Chcę mieć normalną dziewczynę, Laura. Już mnie to wkurza, wiesz?

Laura złapała oburącz gałąź nad sobą i wstała, podciągając się na niej.

- Dobranoc, Rathbone.
- Nie bądź taka - jęknął Rat, pochylając się do przodu, by chwycić dziewczynę za nogawkę.
- Puść, bo cię kopnę.
- Oszaleję przez ciebie, Laura.

- Mnie jest dobrze tak, jak jest. Po co naciskasz? Nie chcę, żeby wszyscy o nas gadali, rzucali głupimi żarcikami i ciągle pytali, co tam u nas.

- Ale z ciebie dzieciak - zdenerwował się Rat. - Po prostu boisz się, że James będzie się z ciebie nabijał. Totalne szczeniactwo.

- Hej! - Laura po raz pierwszy wzniosła głos ponad szept. - Sam jesteś szczeniak. Kuźwa, puść mnie, słyszysz?!

- Prędzej czy później będziesz musiała powiedzieć bratu, że masz chłopaka - tłumaczył spokojnie Rat, zacieśniając uchwyt na nogawce i przyciągając Laurę do siebie. - Obrazi się, jeżeli go nie zaprosisz na ślub, a przecież na pewno zacznie coś podejrzewać, kiedy pojawią się dzieci.

- Skąd pomyśł, że w ogóle chcę wychodzić za męża?

Rat znieruchomiał.

- Cały dzień czekałem na spotkanie z tobą – powiedział wreszcie. - Ale wiesz co? Mam tego dosyć. To żalosne.

Rat puścił Laurę w tej samej chwili, w której szarpnęła nogą, próbując się wyrwać. Zaskoczona brakiem oporu potknęła się o korzeń, zatoczyła do tyłu i z trzaskiem łamanych gałęzi zatrzymała na sąsiednim drzewie.

- Baran - warknęła.

- I pomyśleć, że straciłem na to godzinę snu - powiedział kwaśno Rat.

Wstając, wyjął z kieszeni bluzy połyskliwy prostopadłościan i rzucił go Laurze.

- Co to? - zapytała, podnosząc przedmiot z ziemi.

- Miętowy Twix z limitowanej serii. Ten, od którego jesteś uzależniona.

Przed wyjazdem Large surowo zakazał cherubinom zabierania dodatkowego jedzenia i rzeczy, jakich nie było na liście wyposażenia.

- Large kazałby ci biegać do utraty przytomności, gdyby cię z tym złapał - powiedziała Laura.

Choć nadal była nadašana, przyływ rozczenia ocieplił jej głos.

- Wiem - rzucił Rat lekceważąco, jakby niewiele go to obchodziło.

Laure wżruszyło to, że Rat podjął tak wielkie ryzyko tylko po to, żeby dać jej prezent. Zależało mu na niej, więc dlaczego, u diabła, miała się tego wstydzić?

Podeszła do Rata i mocno go uścisnęła, a potem złożyła mu na policzku uroczysty pocałunek.

- Czasem... - zaczęła z uśmiechem, ale nie była w stanie dokończyć myśli. - Zresztą chrzanić to. Powiemy wszystkim. Będziemy mogli chodzić razem do kina, odwiedzać się w pokojach i...

Entuzjazm Laury był zaraźliwy. Rat objął ją mocno, uniósł nad ziemię i pewnie zakręciłby nią z radości, gdyby nie ostre ukłucie bólu w skręconej kostce.

- Mam gdzieś, co powie James - oznajmiła radośnie Laura. - Ale jest jeden warunek.

- Jaki?

- Musisz się porządnie ostrzec.

Rat osłupiał.

- Coś nie tak z moimi włosami?

- Nie, niby nic. - Laura wżruszyła ramionami. - To znaczy, gdybym leciała na facetów, którzy wyglądają, jakby na głowie nosili gniazdo...

Rat z zakłopotaniem dotknął kosmyka swoich splątanych włosów.

- Naprawdę jest aż tak źle?

Laura powoli pokiwała głową, ale jej zawadiacki uśmiezek zniknął bez śladu, kiedy od strony piaszczystej drogi prowadzącej do obozu dobiegł charakterystyczny klekot starej ciężarówki.

Rat wychylił głowę między gałęziami.

- To Large i Arif.

Arif był dziewiętnastoletnim byłym cherubinem, który zatrudnił się do pomocy w kampusie do czasu powrotu na uczelnię.

- Szit - syknęła Laura. - Staną dokładnie między nami a namiotami. Jak Large zrobi inspekcję, mamy totalnie przerabane.

Oboje przykucnęli i patrzyli, jak wojskowa ciężarówka zatrzymuje się, popiskując hamulcami. Za kierownicą siedział Arif. Large otworzył drzwi po stronie pasażera i wypadł z szoferki.

- Nic ci nie jest, Norman? - zapytał chłopak.

- Jestem szczęśliwym szłowiekiem - zaślinił się zapytany, otrzepując ubranie niezadarnymi ruchami. - Nie mogę się doczekać min tych frajerów, kiedy zobaczą te granitowe bloki... i górę, na którą będą je taszczyć.

Ogromne cielsko instruktora zatrzęśło się od pijackiego śmiechu. Arif, który sam przeżył wiele prowadzonych przez Large'a ćwiczeń, nie podzielał jego entuzjazmu.

- Dobra, smutacie - czknął Large. - Lepiej się zwijaj, bo supermarket zamykają o wpół do pierwszej. I pamiętaj: najtańsza kiełbasa, żadnych tam łakoci. Mają być głodni i gibcy.

Large trzasnęła drzwiami, rura wydechowa plunęła dymem i ciężarówka odjechała z cichnym warkotem. Za drzewem Laura i Rat wymienili przerażone spojrzenia wstrząśnięci perspektywą spędzenia dnia na dźwiganiu pod górę granitowych bloków.

- Przynajmniej nie będzie w stanie zrobić inspekcji namiotów - wyszeptał Rat.

- Tak, ale pomyśl, w jakim będzie humorze, jak obudzi się jutro z kaczoem.

Large najwyraźniej nie miał pojęcia, że jest obserwowany. Pochrząkując z zadowoleniem, bez żenady podrapał się w pachwinę, po czym ryknął pieśnią:

- Przez świat wędrowałem nie rok i nie pieeć, na whiskey, na piwo szedł ostatni peeens...

- Żałosny palant - szepnęła Laura, tłumiąc chichot. - Mój ojciec też to śpiewał, jak się napruł.

- Lecz teraz powracam i pełny mam trzoos...

Rat uśmiechnął się, ale tylko przelotnie, bo oto Large odwrócił się i zaczął iść w ich stronę. Wszystko, co mogli zrobić, to skulić się i mieć nadzieję, że nie podejdzie zbyt blisko.

- Bo już nie, nie dla mnie... - zawodził instruktor, rozpinając rozporek.

Obfity strumień moczu trysnął na drzewo niecałe półtora metra od Laury i Rata.

- Nie, nie dla mnie ten loos. Nędzarza, włóczęgi nie dla mnie już loos...

Poczuwszy podbarwiony alkoholem zapach uryny, Laura zakryła dłonią usta i skuliła się, powstrzymując odruch wymiotny. Za to Rat z zachwytem patrzył na parującą w księżycowym blasku strugę urzeczony śpiewem Large'a i niesłychaną pojemnością jego pęcherza.

- Co za ulga! - westchnął Large, po czym zapiął rozporek i odwrócił się w stronę namiotów.

Kiedy tylko oddalił się na bezpieczną odległość, Rat parsknął śmiechem.

- Myślałem, że nigdy nie skończy!

Laura skrzywiła się drwiąco.

- Nie wiem, co cię tak cieszy, tym bardziej że pociekło ci na nogawki.

- Błeee! - wrzasnął Rat, zrywając się z kolan.

- Nabrałam cię - zachichotała Laura, rozrywając opakowanie batonika.

Włożyła do ust jeden koniec czekoladowego paluszka i zbliżyła się do Rata, który ugryzł drugi. Zabawa miała polegać na jedzeniu batona z dwóch stron i zakończeniu pocałunkiem na środku,

ale już po pierwszym kęsie przerwał im krzyk i rżenie duszącego się człowieka.

Laura obejrzała się w samą porę, by ujrzeć sylwetkę Large'a składającą się w pół i padającą na trawę między namiotami.

- Ożeż w mordę! - krzyknął Rat, podrywając się do biegu, by sprawdzić, co się stało.

Laura go powstrzymała.

- Może jednak nas widział. Może to jedna z jego podłych sztuczek.

Rat spojrział na nią z niepewną miną.

- Nawet on nie upadłby tak nisko.

- To przecież Large - napierała Laura. - Jest zdolny do wszystkiego, zwłaszcza wobec mnie. Nienawidzi mnie do szpiku kości.

Instruktor leżał na skraju drogi, rozgarniając piasek nogami i rozpaczliwie walcząc o każdy oddech.

- Jak chcesz, to zostań - powiedział Rat. - To wygląda poważnie.

Kiedy tylko Rat wybiegł spomiędzy drzew, Large zaczął desperacko wołać o pomoc, co ostatecznie przekonało Laurę, że nie udaje.

- Nic panu nie jest? - zapytał nerwowo Rat, pochylając się nad instruktorem.

Large miał kredowobiałą twarz, a na czole błyszczały mu krople zimnego potu.

- A wyglądam, jakby mi nic nie było? - wykrztusił.

Laura, która nadeszła kilka kroków za Ratem, zrobiła lepszy użytek ze swoich kursów pierwszej pomocy.

- Czuje pan ból w ramionach albo klatce piersiowej?

- I tu, i tam - stęknął Large, podczas gdy Laura rozpiniała mu pasek i rozluźniała kołnierzyk.

- Cały się klei - powiedział Rat. - Myślisz, że to zawal?

- Ma wszystkie objawy - skinęła głową Laura.



Cherubinom nie pozwolono zabrać na wędrowkę telefonów komórkowych.

- Sir, muszę użyć pańskiej komórki - oznajmiła Laura.

Large zdążył wskazać kieszeń swoich spodni, zanim skręcił się w kolejnym spazmie.

Laura rozłożyła telefon, na ułamek sekundy zatrzymała wzrok na tapecie ze zdjęciem ukochanych rottweilerów Large'a, po czym wystukała alarmowy numer CHERUBA. Podniosła komórkę do ucha, ale zamiast sygnału oczekiwania usłyszała metaliczne bing-bong.

„Brak dostępnych usług. Proszę spróbować później”.

Laura rzuciła Ratowi załężnione spojrzenie.

- Nie ma zasięgu - powiedziała z niepokojem w głosie. - Arif zabrał samochód... Musimy sami przetransportować go do szpitala, ale jak?

### 3. PRĄD

Sześciokilometrowy bieg i życzenia urodzinowe sprawiły Jamesa w dobry humor, ten jednak szybko zniknął na widok kompleksu mieszkaniowego, który tymczasowo musiał nazywać domem.

Apartamentowiec Breżniew był trzypiętrowym blokiem zbudowanym dla aerogrodzkiej elity jeszcze w czasach zimnej wojny. Teraz stanowił własność starszawego jegomościa, krewnego Denisa Obidina, który skwapliwie pobierał czynsz, ale niewiele z niego poświęcał na utrzymanie budynku w stanie używalności. Wewnętrzne ściany zdobiła postrzępiona tapeta i plamy pleśni; bojler w piwnicy ogrzewał i dostarczał ciepłą wodę, kiedy mu się chciało, a betonowe segmenty, z których zbudowano blok, pokrywała gęsta siatka pęknięć. Trudno było uwierzyć, że te mury mogą sprostać mocnemu kichnięciu, a co dopiero rosyjskiej zimie.

Pomimo tego wszystkiego niewielka społeczność cudzoziemców, którzy pracowali w Aerogrodzie, mieszkała w Breżniewie, godząc się na złodziejski czynsz, ponieważ apartamentowiec znajdował się pod ochroną najlepszych policjantów Denisa Obidina. Każdy obcokrajowiec na tyle odważny, by zamieszkać gdzie indziej, mógł się spodziewać kradzieży kosztowności, jeśli miał szczęście. Pechowcy byli brutalnie bici, odprowadzani pod groźbą użycia noża do jednego z dwóch bankomatów w mieście i zmuszani do wypłacenia pieniędzy. Kiedy ofiary skarżyły się policji, traktowano je obojętnie i doradzano wynajęcie lokum w

bloku pana Obidina.

James przestąpił próg, wkraczając w wiszącą w powietrzu wilgoć. Większość świetlówek była albo przepalona, albo dogorywała, pobłyskując z rzadka i nieregularnie. Przesadziwszy cztery ciągi schodów przykrytych mokrą wykładziną, James zagłębił się w krótkim korytarzu i włożył klucz w drzwi z numerem dwieście siedemnaście.

Mieszkanie było odrobinę przyjemniejsze od pomieszczeń publicznych. Zawierało nowoczesną kuchnię, łazienkę wyposażoną przez poprzedniego lokatora i trochę siermiężnych mebli. Niestety, nawet nieustanne wietrzenie nie pozwalało pozbyć się stęchłego zapaszku wilgoci przenikającej każde włókno budynku.

- Kochanie, już jestem! - zażartował James, trzaskając drzwiami za sobą i rzucając plecak na wykładzinę w przedpokoju. Wtknął głowę do sypialni i ujrzał swoich przyszywanych ciotkę i wuja kręcących się po pokoju w samej bieliźnie. W powietrzu unosił się zapach taniego dezodorantu, a na łóżku leżały eleganckie ubrania sugerujące, że para szykuje się do wieczornej wyprawy na miasto. – Uups - syknął James zbity z tropu widokiem gigantycznych majtek naciągniętych na pomarszczony cellulitem tyłek cioci Ajli.

Wujek Borys stał obok łóżka i zapinał koszulę. Miał czterdzieści kilka lat, figurę ptaka brodzącego i śmierdział małymi brązowymi cygarami, które namiętnie palił. Nawet w najpochmurniejsze z rosyjskich zimowych dni nie rozstawał się z ciemnopomarańczowymi okularami przeciwsłonecznymi w stylu Top Gun.

- Właż, James, nie kępuj się - zachęciła Ajla. - Jak poszło u Obidinów?

- Nie założyłem dwóch pluskiew - wyznał James, starając się nie dostrzec zbyt wielu szczegółów stojących przed nim zramo-

łałych ciał. - Władimir przyszedł i mnie przepędził, zanim zdążyłem zaliczyć kuchnię. Ale reszta działa. Ajla wzruszyła ramionami.

- Nie przejmuj się, te nie były takie ważne.

- Myślicie, że dobijecie dziś targu? - zapytał James.

Borys zaniósł się piskliwym, nieco niemęskim chichotem.

- Nie możesz się doczekać, kiedy wrócisz do CHERUBA, do swojej dziewczyny, co?

- No co ty, nie wygłupiaj się - powiedział James, kręcąc głową w udawanym zdumieniu. - Przecież tu jest cudnie: mróz, stęchłe powietrze, ulice pełne na wpół zagłodzonych emerytów, skorumpowani gliniarze z kałaszami przed bramą... No i jeszcze to, że nie mam nic do roboty poza odmrażaniem sobie tyłka w szkole, a wieczorami mogę najwyżej siedzieć przed telewizorem, pod warunkiem że nie wyłączą prądu. Dlaczego miałbym chcieć wyjechać?

- Dziś Obidin albo sprzeda nam rakiety, albo odprawi nas z kwitkiem - powiedziała Ajla, dopinając spódnice. - Tak czy owak wkrótce się stąd wynosimy, najdalej za dziesięć dni.

- I dzięki Bogu! - sapnął James. - Mogę liczyć na obiad?

Borys skinął głową.

- W lodówce jest zapiekany makaron z serem. Dwie minuty w mikrofalówce, tylko pamiętaj, żeby po minucie zamieszać. Aha, zajrzałem do komputera. Ten twój program telewizyjny już się ściągnął, więc wypaliłem ci go na DVD, żebyś mógł obejrzeć na dużym ekranie.

- Ekstra - ucieszył się James. - Czyli pół wieczoru mam z głowy. Jak tam ciepła woda?

- Na twoim miejscu zostałabym przy misce i gąbce - powiedziała Ajla. - Ciśnienie jest żadne, a woda praktycznie gotuje się w rurach.

Pamiętając, że z kranów w łazience leci dziwna ciecz o żółtawym zabarwieniu, James poszedł do kuchni. Napełnił miskę gorącą

wodą, dolał zimnej i zaniósł do swojego pokoju. Stawiając swój zestaw kąpielowy na stoliku przy łóżku, zadrżał w podmuchu mroźnego powietrza. Wrzucił do wody mydło i zeszywniała ściereczkę, po czym podszedł do okna, by je zamknąć. Do codziennych rozterek Jamesa należał wybór pomiędzy otwieraniem okna dla złagodzenia zapachu stęchlizny a zamykaniem dla ciepła.

Po umyciu się, na tyle dokładnym, na ile pozwala ściereczka i miska, James włożył czystą bieliznę i wyszedł do przedpokoju, gdzie zaskoczył go widok elegancko ubranej cioci Ajli taszczącej wielką walizę.

- A ty co, wyprowadzasz się? - zdziwił się James.

- Dokumenty, sprzęt rejestrujący... - wyjaśniła Ajla. - Mogłam wziąć to albo aktówkę, ale aktówka jest za mała. Borys wyłonił się z sypialni w znoszonym garniturze i z muchą pod brodą.

- Odjazd - wyszczerzył się James.

- Podoba ci się? - zapytał Borys z dumą, kompletnie nie dostrzegając ironii w głosie Jamesa.

- Borys, stary, w tym gajerze... paryskie wybiegi są twoje.

Borys uświadomił sobie, że James z niego kpi, i z lekka spochmurniał.

- To odpowiedni strój - mruknął, pocierając nos. - Wychodzimy. Nie czekaj na nas, pewnie nie wrócimy przed drugą lub trzecią rano.

- Nie ma strachu, przeżyję - powiedział James. - Mam DVD i makaron z serem.

James poczłapał do kuchni i zamknął talerz z obiadem w mikrofalówce. Pozostawiając monotennie szumiącą kuchenkę samej sobie, pognął do pokoju dziennego, by ustawić DVD. Płyta zagrzechotała na szufladce odtwarzacza, a James - niepewny, czy nagranie się powiodło - odetchnął z ulgą, kiedy na ekranie telewizora pojawił się tytuł: Kaskaderskie wpadki, część druga.

- Pięknie - mruknął do siebie i pognał do kuchni po makaron, mając nadzieję, że w programie zobaczy coś równie mocnego jak strugi krwi i urwana ręka kaskaderki z pierwszej części (James rechotał, Kerry wrzeszczała ze strachu i nazwała go bezduszną świnią, ale potem pogodzili się i długo migdalili).

Posiłek nie był wyszukany, ale stanowił ciepły zapychacz, jaki wita się z wdzięcznością po długim i zimnym dniu. James oparł stopy na stoliku do kawy, podczas gdy mężczyzna z ręką na temblaku i poważną miną tłumaczył mu z ekranu, że wyczyny, jakie za chwilę zobaczy, zostały przygotowane i wykonane przez profesjonalistów oraz że stanowczo odradza ich naśladowanie. Po tem na ekranie pojawili się dwaj mężczyźni biegnący na siebie z warczącymi piłami łańcuchowymi w rękach.

- Nawet przy najdoskonalszym przygotowaniu kaskaderstwo jest sztuką niebezpieczną - zapewnił uroczyście komentator, po czym tłustszy z mężczyzn potknął się i wydał przeszywający wrzask.

- Chore! - pisnął radośnie James, kiedy kaskader przewrócił się na bok, odsłaniając ogromną ranę na piersi.

I wtedy ekran zgasł, a wraz z nim światło. Wszelkie urządzenia elektryczne przestały działać i James pogrzyżył się w nieprzeniknionej ciemności.

Czasami przepięcie wysadzało bezpiecznik i dozorca przywracał zasilanie w ciągu kilku minut, ale tym razem, kiedy James podszedł do okna, odkrył, że lampy uliczne i światła w okolicznych blokach także są wyłączone. To oznaczało poważną przerwę w dostawie energii, a kiedy wyłączano prąd, nigdy nie włączano go z powrotem przed rankiem następnego dnia.

Jamesowi pozostało siedzieć w ciemności i starać się nie zamarznąć.

## 4. NOSZE

Rat pomógł Laurze ułożyć pana Large'a w pozycji bezpiecznej, po czym zanurkował do namiotu, żeby obudzić swojego partnera treningowego Andy'ego Lagana. Laura obudziła Bethany, która z kolei postawiła na nogi inne dzieci, w tym swojego dziesięcioletniego brata Jake'a. Kilka minut po upadku pan Large leżał na ziemi oświetlony latarkami dwudziestu sześciu niekompletnie ubranych cherubinów.

- Na przemian traci i odzyskuje przytomność - wyjaśniła nerwowo Laura, kucając nad instruktorem. - Jeśli ma słabe serce i dostaje za mało tlenu, może dojść do uszkodzenia mózgu.

- Czy ktoś zaczął robić nosze? - zainteresowała się Bethany.

- Jak? - zapytał sennie jakiś chłopiec.

- Wykażcie trochę inicjatywy - zirytowała się Laura. - Płótno namiotowe, słupki od stelaża, gałęzie, cokolwiek. Podobno jesteście wykwalifikowanymi agentami CHERUBA. Chodzi o zwykłe nosze, nie o wehikuł czasu.

Głos zabrał Jake.

- Przecież wszyscy nienawidzimy go jak psa; dlaczego mielibyśmy chcieć go ratować?

- Ty głupi cygu - syknęła Bethany, strzelając brata w ucho. - Może i jest kanalia, ale my nie będziemy stać bezczynnie i patrzeć, jak umiera człowiek.

- Nie powinniśmy zrobić mu sztucznego oddychania? - zapytał Rat.

Laura pokręciła głową.

- Oddycha normalnie, a serce pracuje. Myślę, że po prostu jest w szoku.

- Może miał udar - powiedział chłopiec.

- Może, może, może - zirytowała się Laura, po czym wstała, odwracając się od pacjenta. - Wszystko, co potrafimy, to udzielić pierwszej pomocy, a w apteczce mamy tylko trochę bandaży i plastrów. Musimy dostarczyć go do szpitala, i to szybko.

- Gdzie ciężarówka i Arif? - zapytał Jake.

- Przed chwilą pojechał do supermarketu, prędko nie wróci - odrzekł Rat. - Słuchajcie, a może byśmy wysłali gońców? W różne strony, no nie? W okolicy musi przecież być jakiś dom czy coś.

- Dobry pomysł. - Laura skinęła głową. - Zajmij się tym i niech ktoś weźmie telefon Large'a na szczyt wzgórza. Może tam będzie zasięg.

Rat wyznaczył Andy'ego oraz trzech innych szybkich biegaczy i posłał ich w różnych kierunkach po pomoc. Piątemu kazał pobiec na pobliskie wzgórze.

- Jesteście pewni, że to nie jedna z jego sztuczek? To byłoby w jego stylu - niepokoił się Jake.

Bethany cmoknęła z irytacją.

- Spójrz na niego, baranie. Nikt nie potrafi pocić się tak na zawołanie.

- A jak wziął jakąś pigułkę, po której jest mu niedobrze czy coś?

- Jake, nie pomagasz! - krzyknęła Bethany. - Zaczynasz mnie wpieniać. Radzę ci, zjedź mi z oczu, zanim ci przykopie.

- No spróbuj - rzucił wyzywająco Jake. - Może jestem mały, ale na pewno silniejszy od ciebie.



- Tak ci się wydaje? - Bethany błysnęła zębami w złym uśmiechu i poczęstowała brata mocarnym pchnięciem.

Tłumek cherubinów rozstał się, wietrząc awanturę. Jake odzyskał równowagę i rozsierdzony rzucił się na siostrę. Trafił ją butem w udo, ale jego pięść świsnęła przed nosem dziewczyny, chybiając o milimetry. Bethany złapała rozpedzoną rękę brata i wykręciła mu ją za plecami. Drugą dłonią złapała go za ściągacz spodni od dresu, poderwała z ziemi i cisnęła brzuchem na ziemię. Zanim odzyskał dech, usiadła mu okrakiem na plecach.

- Rany, Jake, ale z ciebie twardziel! - zawołała radośnie.

Laura wpadła w furję. Nie mogła uwierzyć, że jej najlepsza przyjaciółka wszczyna bezsensowną bójkę z bratem w samym środku poważnego kryzysu.

- Przestańcie! - wrzasnęła. - Zachowujcie się jak ludzie. Każda minuta może kosztować go życie.

- Uwaga, uwaga, przesunście się! - zawołały dwie dziewczyny, wbiegając między kolegów z prowizorycznymi noszami. Zrobiły je z drewnianych żerdek z pobliskiego płotu przewleczonych przez dwa śpiwory.

Jake był upokorzony, ale próbował nadrabiać miną, kiedy Bethany pozwoliła mu wstać. Tymczasem dziewczęta ułożyły nosze na trawie obok pana Large'a.

- Jest strasznie ciężki, lepiej go przetoczmy - zaproponował Rat.

Large był bardzo wysoki, a tułów opasywała mu potężna opo-  
na z sadła. Trzeba było połączonych wysiłków pięciorga cherubinów, by przetoczyć go na śpiwory. Laura i Rat złapali za żerdzie z przodu, a dziewczyny, które zrobiły nosze, z tyłu.

- Trzy, czte... ry! - zakomenderowała Laura i cała czwórka wstała, unosząc instruktora z ziemi.

Kilkoro innych dzieci, widząc ich wysiłek, ruszyło na pomoc, łapiąc za żerdki po bokach.

- Wali wódą - poskarżył się ktoś.  
- Dokąd teraz? - stęknął Rat.  
- GRACHHH - zagrzemiał półprzytomnie Large.  
- Obudził się - zauważył jeden z chłopców podtrzymujących nosze z boku.

- Naprzód - zdecydowała Laura. - Idziemy do drogi. Do szosy mamy około mili; dobiegniemy tam w dziesięć minut i złapiemy stopa.

Ale gdy tylko zrobili pierwszy krok, Large zaczął się wiercić, za wszelką cenę próbując usiąść.

- Niech pan leży! - zawołała Bethany. - Właśnie miał pan zawał.

- Groszki moje słodkie! - huknął Large. – Zdejmijcie mnie z tego ustrojstwa.

Large wierzgnął, przerzucając nogi na bok. Dziewczyny nie zdołały utrzymać żerdzi, które wysunęły im się z dłoni, raniąc skórę drzazgami. Dziewczęta krzyknęły z bólu, a nosze wraz z instruktorem gruchnęły na ziemię.

Large podjął niezdarną próbę wyplątania się ze spiwora, ale po chwili złapał się za pierś i runął w piach w kolejnym spazmie.

- Umieram... - wystękał.

Rat próbował go uspokoić.

- Musisz spokojnie leżeć, Norman. Wysłaliśmy już ludzi po pomoc.

- Norman?! - Large zatrzęsł się z oburzenia. - Jak śmiesz mówić mi po imieniu?! Dla ciebie jestem pan instruktor albo sir, zrozumiano?

- A do tego zalany w trupa. - Laura pokręciła głową z politowaniem.

- Próbujemy wtaszczyć go z powrotem na nosze? - zapytała Bethany.

- Tylko po co? Jest za ciężki. Nie damy rady go przenieść, jak wciąż będzie się tak rzucał.

- Moja śliczna Hayley - jęknął płaczliwie Large, siadając na trawie. - Ja chcę żyć, muszę zobaczyć moją dziewczynkę przed ołtarzem.

- Nie umrze pan - zapewnił Rat, odważnie podejmując kolejną próbę uspokojenia instruktora. - Jest pan w szoku. Jest pan bardzo osłabiony. Musi pan się położyć i spróbować się nie denerwować.

Laura poczuła nieopisaną ulgę na widok pary samochodowych świateł pełznących wzdłuż piaszczystej drogi w stronę szeregu namiotów. Był to mały hyundai ze starszą panią za kierownicą i kumplem Rata Andym Laganem na miejscu pasażera. Kobieta wysiadła z samochodu i skrzywiła się ze zgorzaniem na widok olbrzymiego mężczyzny tarzającego się w piachu.

- Pijany w sztok - burknęła niepewnie. - Jesteście pewni, że miał zawał?

Andy przybiegł z drugiej strony auta i starał się przekonać mocno przeperfumowaną kobietę, że pan Large nie jest zwykłym zapitym menelem.

- Nie wpuszczę go do mojego samochodu - zaprotestowała. - Czuć od niego wódkę na odległość. To nowe auto, ma na liczniku dopiero cztery tysiące mil. A jak zwymiotuje mi na siedzenie?

Kiedy to mówiła, Large obrócił się na boku i wydał głęboki przeciągły jęk.

- Niech pani posłucha - powiedziała Laura z desperacją w głosie. - Nie mamy innego wyjścia. On może umrzeć. Pani musi odwieźć go do szpitala.

- Nie, nie, nie. Wrócę do domu i zadzwonię na pogotowie. To tylko dziesięć minut drogi.

Laura nie wierzyła własnym uszom.

- Karetka będzie tu jechać z pół godziny albo i dłużej, ty stara głupia babo! - wybuchła Bethany.

Laura spojrzała na Rata i wskazała palcem Large'a.

- Do wozu z nim.

- Hola, hola, panienko! - krzyknęła kobieta z oburzeniem. - Nie będziesz mi rozkazywać. Nigdzie nikogo nie odwożę i koniec, słyszysz?!

- Świetnie, więc ja go odwożę! - odkrzyknęła Laura. - Czy życie człowieka nie jest trochę ważniejsze od twojej zakichanej tapicerki?

Rat, Andy i kilku innych chłopców zaczęło wlec Large'a w stronę samochodu. Kobieta ruszyła w ich stronę, ale Laura złapała ją za wiotkie ramię i szarpnęła w tył.

- Naprawdę mi przykro. - Laura przeszła na łagodniejszy ton, widząc, że starsza pani jest wystraszona i bliska płaczu. Wprawdzie okazała się dość uprzejma, by zatrzymać się dla Andy'ego i przyjechać im na pomoc, ale teraz bardziej martwiła się o swój wóz niż o życie pana Large'a. Laura uznała, że kobieta po prostu źle znosi stres.

- Proszę pani, proszę się uspokoić i mnie wysłuchać. - Laura próbowała przemówić do rozsądku gwałtownie wyrrywającej się kobiecie. - Naprawdę potrzebujemy pomocy. Czy zna pani drogę do najbliższego szpitala?

Kobieta zawyla dziko, a potem zaszlochala tak żałośnie, że Laura poczuła się jak ostatni śmieć. Dwie dziewczyny, które zbudowały nosze, złapały starszą panią za ręce i zaczęły ją uspokajać.

W całym tym zamieszaniu Laura nie zauważyła kolejnego przybysza, który zjawił się w ubłoconym bmw. Do cherubinów podszedł mężczyzna w parce niosący skórzaną torbę, jaką zwykle kojarzy się z medykami.

- Co tu się dzieje, Władca much? - zapytał, badając wzrokiem scenę.

- O, super, jest pan lekarzem? - zapytał Rat.

- Weterynarzem, niestety - wyjaśnił mężczyzna, klękając nad panem Large'em i łapiąc go za nadgarstek. - Ma bardzo słaby puls.

- Ale przeżyje? - dopytywał się Rat.

- To zależy od wielu czynników. - Weterynarz sięgnął do kieszeni po kluczyki do samochodu i zadzwonił nimi przed Andym.  
- Wy dwaj idźcie do wozu. W bagażniku znajdziecie czarną butlę z tlenem i pudełko jednorazowych masek. Butla jest ciężka, więc weźcie ją we dwóch. Czysty tlen ułatwi mu oddychanie i trochę odciąży serce. Potem ułożymy go z tyłu samochodu i pojedę z nim na ostry dyżur.

Zjawienie się weterynarza było dla cherubinów zbawieniem, ale Laura i Bethany miały jeszcze jeden problem do rozwiązania.

- Pójdę na policję! - krzyknęła starsza pani, oskarżycielsko wyciągając palec w stronę Laury. - Wy, złodzieje samochodów, wy... Chcieliście mnie porwać!

Laura złapała kobietę za ramię i przemówiła na tyle łagodnie, na ile pozwalała jej adrenalina.

- Proszę wziąć kilka głębokich wdechów i spróbować się uspokoić. Napije się pani ciepłej herbaty, ochłonie, a potem spokojnie wróci do domu.

- Wy... wy... kryminaliści! - zawyła kobieta histerycznie, po czym odwinęła się z zaskakującą szybkością i ugryzła Laurę w palec.

Laura energicznie cofnęła rękę, wyrrywając z ust staruszki palec, a wraz z nim sztuczną szczękę. Wrzasnęła z obrzydzenia, kiedy ciepły plastik uderzył ją w twarz.

Tymczasem Rat, Andy i weterynarz ułożyli pana Large'a na tylnych siedzeniach bmw, po czym mężczyzna założył mu maskę tlenową.

- Nie ma tu żadnych innych dorosłych? - zapytał weterynarz, zwracając się do dziewcząt.

- Jest jeden - powiedziała Laura, zaciskając pod pachą zakrwawiony palec. - Pojechał po zakupy, ale niedługo powinien wrócić.

- Rozumiem. - Mężczyzna kiwnął głową. - Lepiej zadzwonię na policję. Nie podoba mi się pomysł zostawienia was bez opieki na dłuższy czas.

Mężczyzna odwrócił się, by spojrzeć na starszą panią.

- Pani też nie wygląda najlepiej, moja droga. Co pani powie na przejażdżkę do szpitala?

- Tak... - chlipnęła starsuszka. - Proszę mnie natychmiast zabrać od tych zwierząt. O, ta napadła na mnie, a teraz ukradła mi zęby.

- To wcale tak nie było! - oburzyła się Laura.

Weterynarz rzucił jej porozumiewawczo-uspokajające spojrzenie.

- No dobrze, moja droga - powiedział do kobiety, ujmując ją za łokieć i delikatnie popychając w stronę bmw. - Nie zwlekajmy. Mam w samochodzie bardzo chorego człowieka.

Bethany podniosła coś z ziemi i pobiegła za dorosłymi. Dogoniła ich w chwili, gdy weterynarz otwierał drzwi samochodu.

- To jej zęby - powiedziała, wręczając mężczyźnie protezę. - Leżały w trawie, więc lepiej niech je opłucze, zanim wetknie to sobie do gęby.

## 5. NALOT

Elektryczność wyłączono, zanim sypialnia zdążyła się ogrzać, dlatego James przeniósł swoją kołdrę i poduszki do dużego pokoju i spędził wieczór skulony na kanapie, czytając stare czasopiśma motocyklowe przy słabym świetle turystycznej lampy gazowej.

Spał już od kilku godzin, kiedy ocknął się gwałtownie z dziwnym lękiem w sercu i przeczuciem, że coś jest nie w porządku.

- Chłopaka nie ma w łóżku - oznajmił czyjś gniewny głos za drzwiami.

Mężczyźni - trudno powiedzieć ilu - stali w przedpokoju, zaledwie kilka metrów od kanapy. Przytomniejąc w przyspieszonym tempie, James uświadomił sobie, że obudził go dźwięk wkopywanych do mieszkania drzwi wejściowych.

- Sprawdź w dużym pokoju - wycedził Władimir Obidin tonem zdradzającym wściekłość.

James wzdrygnął się, kiedy rozpoznał głos. To nie było włamanie. Na spotkaniu u Denisa musiało wydarzyć się coś bardzo złego.

Odrzucił kołdrę i przyskoczył do drzwi, które - nie miał co do tego żadnych wątpliwości - miały otworzyć się lada sekunda. W pokoju było ciemno, jeśli nie liczyć słabej poświaty sączącej się przez zasłony; James na oślep wodził rękami po półkach regału, szukając jakiegokolwiek broni. Po chwili jego palce zacisnęły się na

podstawie marmurowo-szklanej zapalniczki do cygar należącej do Borysa.

- Mam go, szefie - ucieszył się jeden z siepaczy Obidina, gdy wpadł do pokoju, oślepiając Jamesa białym snopem światła z ksenonowej latarki.

„Borys i Ajla mieli tylko spotkać się z Denitem Obidinem w interesach. Może zostali zdemaskowani albo...”.

Ale dociekanie przyczyn zaistniałej sytuacji James musiał odłożyć na później, a na razie skupić się na uniknięciu konfrontacji z Władimirem Obidinem i jego lutownicą w policyjnej celi.

James skoczył prosto w światło, biorąc zamach ciężką zapalnicą i opuszczając ją ze straszną siłą na bok czaszki intruza. Było zbyt ciemno, by zobaczyć, czy pierwszy cios wyłączył go z walki, ale drugi nie pozostawił już miejsca na wątpliwości. Dostrzegłszy kaburę pod kurtką mężczyzny, James sięgnął po nią, ale nim zdążył wydobyć pistolet, poczuł, że jakaś siła odrywa go od podłogi i odrzuca w tył.

Dwaj napastnicy złapali Jamesa pod pachy i grzmotnęli nim o ścianę, aż zatrzęsł się pokój. Większy z mężczyzn wbił mu pięść w żołądek.

- Ma zostać przytomny - przypomniał Władimir z kuchni. - Tylko on może nam coś powiedzieć o tych łajdakach.

Cios powaliłby większość dorosłych mężczyzn, ale James przyjmował gorsze na treningach samoobrony i zdołał zaskoczyć jednego z napastników kopniakiem w jądra. Zbir zgiął się wpół i runął z łoskotem na stolik do kawy. Tymczasem James złapał drugiego za długie włosy. Szybko owinał je sobie wokół nadgarstka, odparował jeden niemrawy cios, a potem z całej siły szarpnął ręką w tył. Coś chrupnęło. Długowłosego zmiotł tak szybko, że James ledwie zdążył go puścić, by nie runąć na podłogę razem z nim.

Zaczerpnąwszy gwałtownie haust powietrza, James skoczył naprzód, by wykończyć poprzedniego przeciwnika gramolącego



się wśród szczątków stolika. W świetle porzuconej latarki błysnął pistolet, który bandyta wyciągnął z kabury. James złapał go za przegub, wykręcił broń z dłoni, po czym zmasakrował mu twarz, kilkakrotnie waląc lufą w grzbiet nosa.

„Trzej załatwieni, został jeden” - pomyślał, przypadając tyłem do ściany i zerkając na pistolet automatyczny w swojej zakrwawionej dłoni. Nie znał tego typu, ale sprzęt wyglądał na gotowy do strzału.

Władimir Obidin odezwał się z kuchni.

- Michaił, co się tam dzieje? Skujcie chłopaka i weźcie się do szukania.

Brak odpowiedzi musiał wzbudzić podejrzenia Rosjanina. James miał zaledwie sekundy na działanie i wykorzystał je, przekradając się na palcach do przedpokoju z wyłączoną latarką.

- Michaił? - powtórzył Władimir z lekkim niepokojem. - Co jest, uciekł wam?

James przykucnął. W otwartych drzwiach kuchni migotało światło, sugerując, że policjant myszkuje w środku z latarką.

- Macie chłopaka czy nie?

Jamesa kusiło, żeby rzucić jakiś cwaniacki tekst, ale uznał, że lepiej będzie zostawić cięte riposty gwiazdorom Hollywoodu, a Władimira jak najdłużej utrzymać w niepewności.

- Panowie? - zawołał Obidin, nieruchomiejąc.

W jego głosie pobrzmiwał ton, jaki James słyszał u niego pierwszy raz: strach.

Pokrzepiony dyskomfortem przeciwnika James podkradł się do drzwi kuchni. Obidin wyłączył latarkę. James mógł uciec przez drzwi wejściowe, ale musiałyby przebiec obok kuchni, wystawiając się Władimirowi na łatwy strzał. Pomyślał o cofnięciu się i wyskoczeniu przez balkon w dużym pokoju, ale mieszkanie było

na drugim piętrze, a nawet gdyby jakimś cudem nie połamał nóg, prawdopodobnie zauważyliby go ochroniarze trzymający wartę przed budynkiem.

Zbliżając się do drzwi, James usłyszał, jak Obidin szepcze do krótkofalówki:

- Tu WO-1, potrzebna natychmiastowa pomoc. Wzywam wszystkie jednostki w rejonie. Apartamentowiec Breżniew, lokal dwieście siedemnaście. Poszukiwany chłopiec, czternaście-piętnaście lat, blondyn, krępej budowy ciała. Niebezpieczny: зда-je się, że załatwił już trzech funkcjonariuszy.

James uświadomił sobie, że musi uporać się z Obidinem i wy-dostać z budynku, zanim połowa aerogrodzkiej policji usiądzie mu na karku. Sądząc po głosie, Rosjanin musiał stać przy pralce na samym końcu kuchni.

James wytknął pistolet za framugę i wystrzelił w ciemność trzy pociski. Gdyby Obidin stał nieruchomo, oberwałby w pierś, ale on także postanowił przejść do ofensywy i w tej samej chwili szedł w stronę drzwi. Kule przebiły blaszaną skorupę pralki, a gdy wybrzmiał metaliczny huk, James wyczuł Władimira stoją-cego niecały metr przed nim.

Ze strachu omal nie połknął języka. Na szczęście trzymał broń w gotowości i natychmiast pojął, że w tym pojedynku wygra ten, kto wystrzeli pierwszy. Podczas gdy Obidin składał się do strza-łu, James nerwowo nacisnął spust.

Trafił w udo. Odległość była minimalna i energia pocisku od-rzuciła Obidina do tyłu. James przyskoczył do Rosjanina, wyrwał mu broń, po czym pognął z powrotem do pokoju dziennego.

Upewniwszy się, że trzech pozostali policjanci nadal są nieprzy-tomni, zgarnął adidasz sprzed kanapy i włożył je, a potem z bro-nią gotową do strzału wrócił do przedpokoju. Ignorując jęki Władi-mira, włożył kurtkę, po czym wyszedł z mieszkania, przedzierając

się przez to, co zostało z drzwi wejściowych.

Na korytarzu panowała ciemność, ale w dole klatki schodowej poruszały się światła latarek i pobrzękiwał ekwipunek wchodzących na górę policjantów - przybyły posiłki. Powrót do mieszkania nie wydawał się najlepszym pomysłem, a droga na dół była odcięta. James podjął szybką decyzję i pomknął zatechłą klatką schodową na samą górę budynku. Nieoświetlony korytarz trzeciego piętra dawał mu trochę czasu, ale bardzo niewiele, jeżeli Obidin wciąż był przytomny i powie gliniarzom, że James uciekł zaledwie przed chwilą.

James rozważył możliwości, z których żadna nie wyglądała obiecująco: mógł zostać na miejscu i dać się złapać; wejście na dach dałoby mu dodatkowe pół minuty; a gdyby zapukał do którychkolwiek drzwi, najpewniej nikt by mu nie otworzył. Jedynym realnym wyjściem była ucieczka po metalowych schodach ewakuacyjnych na tyłach budynku, ale czy gliny nie wpadły na to, by je obstawić?

Jakkolwiek nikłe były szanse ucieczki, James nie zamierzał się poddawać. Dopiero co postrzelił szefa policji, a miejscowi stróże prawa nie słynęli z poszanowania praw człowieka. Gdyby go dopadli, torturowaliby go niestrudzenie, dopóki nie usłyszeliby wszystkich odpowiedzi.

Pchnął drzwi wyjścia ewakuacyjnego i mroźny podmuch uderzył go w twarz. Omal nie pożałował swojego pośpiechu, kiedy nogi rozjechały mu się na oblodzonym metalu. Zobaczył tuman śniegu i światła radiowozów zaparkowanych przed budynkiem. Spojrzał w dół - pod schodami nie zauważył nikogo, ale pewności nie miał. Noc była równie czarna jak policyjne mundury.

Schody biegły w dół ciasną spiralą. James schodził najszybciej i najciszej, jak potrafił, jedną zmarzniętą dłonią ściskając ośnieżoną poręcz, a drugą pistolet. W pobliżu parteru jeszcze raz zerknął

w dół i nie zauważywszy nikogo, zbiegł na asfalt.

Znajdował się na parkingu otoczony tanimi samochodami należącymi do mieszkańców bloku. Choć właściciel skąpił pieniędzy na konserwację budynku, przyległy teren był dobrze strzeżony i James uświadomił sobie, że będzie miał taki sam kłopot z wydostaniem się poza czterometrowy zwieńczony kolcami płot, jaki porywacze i złodzieje mieli z przedostaniem się do wewnątrz.

Jednak przynajmniej był bezpieczniejszy niż w pułapce blokowego korytarza. Miał możliwości ucieczki i mnóstwo samochodów, za którymi mógł się chować, gdyby ktoś zaczął go ścigać.

Mdliło go ze strachu, kiedy przykucnął pomiędzy nissanem a volkswagenem, żeby zebrać myśli. Zerknął na nadgarstek i przypomniał sobie, że zegarek został na stole w mieszkaniu.

Jedna myśl nieustannie kołatała mu w głowie: „Co poszło nie tak na spotkaniu?”. Może Borys i Ajla zostali zdemaskowani, a może Denis Obidin od początku wiedział, że są z MI5. Może ktoś odkrył jedną z pluskiew, które James zainstalował w domu...

Żaden z tych wariantów nie wydawał się prawdopodobny. Denis był kuty na cztery nogi. Przywykł do uwagi światowych agencji wywiadowczych i odkrywszy problem, rozwiązałby go szybko i bez hałasu. Zjawienie się Władimira wykopującego drzwi w środku nocy sugerowało, że Obidinowie byli wściekli z powodu czegoś, co ich zaskoczyło.

James mógł roztrząsać teorie przez całą noc, ale to nijak nie pomogłoby mu w ucieczce z parkingu. Musiał przede wszystkim pomyśleć o własnym bezpieczeństwie, a dopiero potem dochodzić, co się stało.

Choć adrenalina w żyłach przyspieszyła mu wewnętrzny zegar i miał wrażenie, że obudził się wieki temu, wiedział, że w rzeczy-

wistości nie mogło minąć więcej niż dziesięć minut od nalotu na mieszkanie oraz mniej niż połowa tego czasu, od kiedy Władimir wezwał posiłki. Gliniarze pilnujący bramy wbiegli do budynku. Nikt nie pilnował schodów pożarowych po prostu dlatego, że w okolicy nie było więcej policjantów.

Przynajmniej na razie.

W ciągu kilku minut cały teren mógł zaroić się od mundurów. James uznał jednak, że ma całkiem sporą szansę na wymknięcie się główną bramą, jeśli tylko nie będzie zbyt długo marudził. Podrywając się do biegu, kątem oka zauważył policjanta wypadającego na schody pożarowe przez wyjście na trzecim piętrze, z którego sam przed chwilą skorzystał. Mężczyzna pośliznął się, tak jak wcześniej James, wrzasnął i z łoskotem sturlał się o siedem stopni w dół.

James zanurkował między samochody i pognął w stronę bramy, za którą jak zwykle parkowały dwa wiekowe radiowozy rosyjskiej produkcji. Kuloodporny mercedes Władimira Obidina stał w poprzek drogi, blokując przejazd każdemu, kto próbował by opuścić teren osiedla samochodem.

James podkraść się w pobliże reflektorów pierwszego radiowozu i z ulgą stwierdził, że w środku nikogo nie ma. Za to przy mercu stał opryszkowaty szofer, nonszalancko oparty o maskę, z dyndającym na szyi karabinem maszynowym i papierosem w ustach.

Sytuacja nie była idealna, ale James uznał, że jeden na jednego z elementem zaskoczenia po jego stronie to i tak najlepsze, na co mógłby liczyć. Świadomy, że gliniarz, który spadł ze schodów, wkrótce usiądzie mu na ogonie, przekradł się za radiowóz i ostrożnie zerknął sponad bagażnika.

Kierowca wyglądał na nieobecnego duchem. James rozważył pomysł zastrzelenia go, porwania karabinu i ucieczki limuzyną,

ale to wymagałoby czasu. Poza tym pistolet nie miał tłumika, a ponieważ na pomoc Obidinowi jechały już kolejne radiowozy, taka akcja mogła szybko przemienić się w regularny pościg. Zresztą istnieje duża różnica pomiędzy ostrzeliwaniem się w potrzasku a przejściem do ofensywy; James wcale nie był pewien, czy jest gotów strzelić komukolwiek w plecy.

Dlatego kiedy szofer wypluł niedopałek na asfalt i skupił się na rozcieraniu go lśniącem lakierkiem, James wyskoczył zza mercedesa, kilkoma bezgłośnymi susami przesadził opustoszałą ulicę i niezauważony pomknął w noc.

Przeciął pas chodnika pomiędzy dwoma punktowcami mieszkalnymi. Zanim dobiegł do klatki schodowej bliższego z nich, przy bramie Breżniewa zaparkowały trzy radiowozy i ambulans, błyskającymi światłami dając niezły show na pozbawionym prądu osiedlu.

James postanowił pobiec w stronę wyludnionego blokowiska na wschodnim skraju Aerogrodu. Mógł ukryć się w jednym z tysięcy opuszczonych lokali, w których dawniej mieszkali pracownicy tutejszych fabryk. Najpierw jednak musiał skontaktować się z biurem nagłych wypadków CHERUBA i poinformować bazę o wszystkim, co zaszło.

Sięgnął do kieszeni kurtki i machinalnie oklepał spodnie, nim znieruchomiał, uświadamiając sobie koszmarną prawdę.

Jego telefon wciąż był w szkolnym plecaku, plecak zaś został w apartamentowcu Breżniew, w mieszkaniu numer dwieście siedemnaście.

## 6. BILARD

Hala sportowa dla chłopców była jednym z najstarszych budynków w kampusie CHERUBA. Niedawno odnowiona i wyposażona w najnowocześniejszy sprzęt treningowy otrzymała też niedużą przybudówkę z szatnią i natryskami dla dziewcząt, zaś opuszczone kino w podziemiach, gdzie w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych cherubini oglądali filmy i kroniki filmowe, rozebrano i przerobiono na salę klubową ze stołami do poola, snookera i cymbergaja oraz ogromnym telewizorem zaprogramowanym na kanały sportowe. Wzdłuż jednej ze ścian ustawiono wielogachne kanapy, oszklone lodówki z napojami i gabloty wypełnione przekąskami.

Salę klubową oddano do użytku zaledwie przed miesiącem i urok nowości jeszcze nie zdążył się wyczerpać. Po każdym otwarciu szczerze wypełniała się cherubinami mimo obowiązującego harmonogramu wstępu dla różnych grup wiekowych, który sporządzono w celu uniknięcia przepełnienia.

W sobotę rano cherubini zwykle mieli lekcje, ale salę klubową otwarto specjalnie dla dwadzieściorga sześciorga dzieci, które wróciły z przerwanej obozu kondycyjnego w Yorkshire Dales. Po skierowaniu szeregu gróźb karalnych do grupy młodzików grających w bilard od blisko godziny Laura, Rat, Bethany i Andy zdołali wreszcie odbić stół.

Nikt z grupki nie zasługiwał na tytuł mistrza snookera. Rat wykazywał wprawdzie pewien naturalny talent, ale jako były więzień sekty religijnej, który pierwsze jedenaście lat życia spędził odcięty od świata, miał niejaki kłopoty z obczajeniem reguł.

- No więc wbiłem czerwoną. Jaki kolor powinien wbić teraz?

Laura cmoknęła ze zniecierpliwieniem.

- Jakikolwiek sobie wybierzesz; mówiłam ci już przecież dwa razy.

- Ale mówiłaś, że idą w kolejności: bodajże żółta, zielona, brązowa...

- Tak, ale dopiero na koniec, jak wszystkie czerwone będą w kieszeniach.

- Jasne - skinął głową Rat. - Niebieska do narożnika.

Rat złożył się do uderzenia. Laura, Andy i Bethany za marli w oczekiwaniu...

- Aaaaa! - zawył nagle Andy w niezbyt udanej imitacji wilczego zewu, rozpraszając Rata, który przez to haniebnie chybił.

- Ooo, tak to nie ma. - Rat potrząsnął głową i zgarnął ze stołu białą bilę. - Powtarzam ten strzał.

- Kanciarz - skrzywiła się Bethany.

- Cóż, to, co zrobił Andy, też nie było uczciwe - wtrąciła Laura.

- Uuu, no słodkie po prostu - zaśpiewała Bethany i zacmokała, imitując serię rozkosznych pocałunków. - Laura broni swej sekretnej miłości.

- Odwal się - odparła Laura, pokazując przyjaciółce środkowy palec.

Rat powtórzył uderzenie. Niebieska bila zagrzechotała nad kieszenią, ale nie wpadła.

- Ou yesss! - zasyczał Andy, łapiąc swój kij. - Brejk sto czterdzieści siedem, oto nadchodzi Andy!



Rat wyszał łyk soku pomarańczowego z kartonika i stanął obok Laury.

- Fajnie, że wszystkim powiedzieliśmy - uśmiechnął się.

Bethany prychnęła, przewracając oczami.

- Ta, bo to była straszna tajemnica. I tak wszyscy wiedzieli, co się dzieje.

Bethany zaczynała być irytująca. Laura znosiła cierpliwie jej liczne głupie zauroczenia, ale kiedy tylko sama znalazła sobie chłopaka, przyjaciółka najwyraźniej oszalała z zazdrości.

Brat Bethany Jake i grupka jego kolegów siedzieli na kanapie pod ścianą, czekając na zwolnienie stołu. Jake zaczął śpiewać:

- Laura kocha Rata, może mu da... ce-a-eł-u-es-ka-a.

Laura odwróciła się gwałtownie i posłała mu mordercze spojrzenie.

- Jeżeli nie chcesz chodzić z tym kijem sterującym z tyłka, sugeruję, żebyś się zamknął.

- Uuuu, jaka wrażliwa - zachichotał Jake.

- Chcesz się znowu popłakać, braciszku? - wtrąciła słodko Bethany, nagle biorąc stronę przyjaciółki.

Andy zepsuł łatwe uderzenie.

- Twoja kolej, Laura.

Wiedząc, że jest beznadziejną bilardzistką, Laura przyjęła radykalną strategię. Na środku stołu była nie rozbita grupa czerwonych bil. Uderzyła w nie najmocniej, jak potrafiła.

- Tak! - zawołała, unosząc pięść w powietrze, kiedy czerwona bila wpadła do kieszeni.

- Farciara - skrzywił się Andy.

Na dodatek jedna z rozpędzonych czerwonych kul potrafiła różową bilę, która zatrzymała się tuż przy narożnej kieszeni.

- Pięknie! - ucieszył się Rat, podczas gdy Laura ustawiała się do kolejnego uderzenia. - To sześć łatwych punktów.

Laura uśmiechnęła się, gdy różowa bila zniknęła w kieszeni, i zakląła, kiedy w ślad za różową podążyła biała.

- Ale głupia - zahuczał Jake. - Trzeba było zrobić backspina.

Laura skwitowała to wzruszeniem ramion z serii: „Mam to gdzieś”.

- Grałam w to tylko trzy razy. Nie wiem, jak się robi te wszystkie sztuczki.

Laura dzieliła kij z Bethany. Kiedy podawała go przyjaciółce, w sali zrobiło się dziwnie cicho. Kilku rozbrykanych chłopców, którzy uprawiali szermierkę na kielbaski Pepperami, rzucali chip-sami i wydawali odgłosy mieczy świetlnych, usiadło nagle na swoich miejscach z minami niewiniątek.

Laura musiała obejrzeć się przez ramię, żeby odkryć przyczynę: spiralnymi schodami schodziła do sali klubowej Zara Asker, nowo mianowana szefowa CHERUBA. Zara odszukała wzrokiem Laurę i podążyła w jej stronę.

- Możemy zamienić słówko w moim gabinecie? - zapytała.

Jake parsknął śmiechem, a potem wydał dźwięk trzaskającego bicia.

- Laura ma kłopoty - zaśpiewał ku ucieście swojej kompanii.

Zara odwróciła się gwałtownie i podetknęła Jake'owi palec pod nos.

- Stąpasz po bardzo kruchym lodzie, Parker - warknęła.

- Dostałam kilka skarg dotyczących twojego zachowania na lekcjach i ostrzegam - albo się opamiętasz, albo przygotuj się na tony karnych rundek plus kilka miesięcy dyżurów na zmywaku.

Jake lubił zgrywać twardziela przed zgrają swoich dziesięcioletnich kumpli, ale pod spojrzeniem Zary przysiadł.

Bethany pokazała mu język.

- Chodzi o pana Large'a? - zapytała Laura, kiedy były już na schodach poza salą klubową, w której znów zrobiło się gwarno.

Zara odpowiedziała dopiero, kiedy wyszły na świeże powietrze, i skierowały się w stronę głównego budynku kampusu.

- Nie, wszystko wyjaśnię ci w moim gabinecie. Ale skoro już wspomniałaś, dzwoniła do mnie partnerka pana Large. Jego stan się poprawia, ale wciąż jest bardzo zły i niewykluczone, że skończy się na wszczępieniu bypassów. Ale nawet jeżeli pan Large w pełni odzyska zdrowie, kiedy wróci do pracy, czeka go przesłuchanie dyscyplinarne.

- Dlaczego?

- Czytałam raporty o incydencie w Dales i wygląda na to, że pan Large nieźle się złożył, zanim dostał zawału. Na jedno, dwa piwka można by przymknąć oko, ale on miał pod opieką dwadzieścioro sześcioro dzieci i pijaństwo było nie do przyjęcia.

- Wyrzucicie go tym razem? - zapytała Laura, starając się ukryć uśmiech.

- Pewnie nie. - Zara wzruszyła ramionami. - Mimo wszystkich swoich przywar Norman Large jest człowiekiem trudnym do zastąpienia. Nie uwierzyłabyś, jak ciężko znaleźć dobrego szkoleniowca. Zresztą pomyśl, miałabyś ochotę poświęcić swoją karierę zawodową na bieganie po błotnistym torze przeszkód i uprzykrzanie życia dzieciakom?

Laura potrząsnęła głową.

- Do tego trzeba mieć chyba szczególny typ osobowości.

- W raporcie Arifa wypadasz bardzo dobrze - powiedziała Zara pogodnie. - Napisał, że opanowałaś sytuację, zanim wrócił do obozu.

- Kazałam wszystkim się spakować, złożyć namioty i tak dalej. - Laura skinęła głową. - Na szczęście Arif wrócił ze sklepu zaraz po

tym, jak weterynarz odjechał, i zdążyliśmy się zmyć, zanim przyjechała policja z opieką społeczną.

- Zdaje się, że jesteś urodzoną przywódczynią - podsumowała Zara. - W przyszłości widzę cię w polityce albo na czele jakiejś wielkiej firmy.

- Polityka to nudy - powiedziała Laura, odpowiadając niepewnym uśmiechem. - Zresztą wtedy wcale nie czułam się jak przywódca. Cała akcja była raczej chaotyczna, szczerze mówiąc, zwłaszcza kiedy ta babcia zaczęła wariować.

Zara uśmiechnęła się lekko.

- Och, zapomniałam ci powiedzieć, musimy pojechać z Klopsem do weterynarza.

- Co mu jest? - zaniepokoiła się Laura.

- Nie chciał jeść i nic dziwnego, bo w gardle miał zaklinowane cztery klocki lego. Dochodzi już do siebie, ale wciąż muszę przypominać Joshui, żeby nie zostawiał zabawek porozwalanych po całym dywanie.

- Ten pies zje wszystko - zachichotała Laura.

- Wiesz, że nadal możesz przychodzić i zabierać go na spacer, kiedy tylko chcesz.

Laura skinęła głową.

- Przyjdę, ale miałam mnóstwo pracy domowej, no i ostatnio sporo czasu spędzam z Ratem.

- Rozumiem. - Zara uśmiechnęła się znacząco.

Minęły fontannę i weszły na stopnie prowadzące do głównego budynku. Za wejściem przeszły przez recepcję i po kilku chwilach dotarły do gabinetu Zary. Za czasów poprzedniego prezesa doktora McAfferty'ego pokój był dosłownie wyłożony książkami, ale Zara nie zdążyła jeszcze zadomowić się na dobre. Ledwie znalazła czas na ustawienie rodzinnego zdjęcia i gabinet nadal wyglądał pusto. Laurę przeszedł dreszcz na widok dziewczyny Jamesa Kerry Chang siedzącej na krześle naprzeciw gigantycznego biurka. Po policzkach ciekły jej łzy.

- James zaginął - szlochala Kerry. - Może nawet... Może nawet nie żyje!

Laura poczuła się tak, jakby wewnątrz jej czaszki wybuchła bomba. Nagle ogarnęło ją odrętwienie, a w gardle urosła olbrzymia kula. Złapała się oparcia, żeby nie upaść.

- Usiądź, a ja naświetlę sytuację najlepiej, jak potrafię - powiedziała Zara, sadzając Laurę na jednym z obitych skórą krzesel. - James wykonywał zadanie w Aerogradzie, miejscowości na północy Rosji. Miejscowym oligarchą jest tam niejaki Denis Obidin, właściciel wszystkich tamtejszych zakładów produkcyjnych, większości ziemi i nieruchomości, a do tego burmistrz miasta. MI5 podejrzewa, że Obidin sprzedaje rakiety oraz rozmaite wrażliwe technologie wojującym rządóm i organizacjom terrorystycznym, ale ponieważ ma potężnych przyjaciół w Moskwie, rosyjski rząd jak dotąd przymyka na to oko. James pracował z dwójgim agentów MI5. Mieli nawiązać kontakt z Obidinem i umówić się na dostawę partii rakiet, rejestrując każdy etap transakcji. Mieliśmy nadzieję, że tak obciążające dowody zmuszą wreszcie rosyjski rząd do podjęcia kroków prawnych przeciwko Obidinowi. Rolę Jamesa uważano za zadanie niskiego do średniego ryzyka. Największą trudnością było przedostanie się do domu Obidina i założenie podsłuchów. Zespół MI5 dowiedział się, że Obidin zamierza wysłać swojego jedynego syna do ekskluzywnej prywatnej podstawówki w Anglii. Chłopiec brał lekcje angielskiego u miejscowego nauczyciela, ale szło mu nietęgo, dlatego posłaliśmy tam Jamesa jako siostrzeńca agentki MI5 przekazanego ciotce pod opiekę do czasu, aż jego matka wydobrzeje po załamaniu nerwowym. Wkrótce po jego przybyciu wujostwo napomknęli Obidinowi, że James mógłby udzielić jego synowi kilku nieformalnych lekcji angielskiego. Obidin połknął przynętę i James przez kilka tygodni odwiedzał chłopca po szkole, by prowadzić z nim konwersacje. Przy okazji poznał układ

domu Obidinów i zaczął rozmieszczać w nim nasze nowe miniaturowe urządzenia podsłuchowe.

- No więc co poszło nie tak? - chlipnęła Laura, a Kerry sięgnęła przez biurko, by podać jej chusteczkę.

Zara wzruszyła ramionami.

- Nie jesteśmy pewni. Wiemy tylko, że wczoraj wieczorem ciotka i wuj Jamesa udali się do domu Obidina na ważne spotkanie. Według innych informatorów MI5 w Aerogrodzie podczas spotkania doszło do awantury i Denis Obidin został zabity. Jego brat Władimir, który jest szefem aerogrodzkiej policji, wyruszył z posiadłości wraz z czterema mężczyznami, by schwytać Jamesa i przeszukać mieszkanie jego wujostwa. Według kilkorga innych Brytyjczyków mieszkających w tym samym budynku doszło do walki. Kilku goryli Obidina zostało znokautowanych, a Władimir postrzelony w udo.

- James uciekł? - zapytała Laura.

- Nie mamy bladego pojęcia. Po tym jak Denis zginął, a Władimira odwieziono śmigłowcem do prywatnego szpitala w Moskwie, pozostali członkowie rodziny ruszyli do walki o władzę i na razie nikt nie wie, kto rozdaje karty ani co się naprawdę dzieje. Krążą plotki, że James został złapany, ale słyszeliśmy też, że w Aerogrodzie wciąż trwa gigantyczna policyjna obława.

- Tak, ale ani razu się nie odezwał - powiedziała Kerry, tłumiąc szloch. - Gdyby wszystko było w porządku, na pewno już dawno zadzwoniłby na awaryjny.

- Miał komórkę? - zapytała Laura.

Zara skinęła głową.

- Miał, a nawet jeśli ją zgubił, w mieście na pewno są budki telefoniczne i różne instytucje z telefonami. Pewności nie mamy, ale najprawdopodobniej wpadł w ręce ludzi Obidina.

- Mogą go torturować - powiedziała Laura z przerażeniem w głosie. - Mogą... On nawet może już nie żyć!

Zara podniosła ją z krzesła i przytuliła.

- Przykro mi, kochanie - powiedziała cicho. - Dopóki nie wiemy tego na pewno, musisz zachować spokój i starać się nie myśleć o najgorszym.

- O mój Boże - zapłakała Laura, ściskając Zarę z całej siły. - Proszę, nie pozwól mu zginąć.

Zara masowała Laurze plecy, łykając łzy.

- James nie miał koordynatora w Aerogradzie, bo zajmowali się nim agenci MI5, ale Ewart pomagał w przygotowaniu operacji. W tej chwili leci do Moskwy i wieczorem powinien być w Aerogradzie. W rejonie stacjonują inni agenci MI5. Ewart nawiąże z nimi kontakt i spróbuje zlokalizować Jamesa.

Jednak do Laury nic już nie docierało. Szlochała tak gwałtownie i oddychała tak szybko, że zaczęło się jej kręcić w głowie. Pamiętała ten stan aż za dobrze: tak samo czuła się trzy lata temu, kiedy umarła jej mama.

Kerry pociągnęła nosem.

- Możliwe, że nic się nie stało, Laura. Wiesz, że James ma dar wywijania się z kłopotów.

- Ale przecież by zadzwonił! - ryknęła rozpaczliwie Laura. - Czemu on nie zadzwonił?!

## 7. GOŁĘBIE

Po ucieczce z apartamentowca Breżniew James wstąpił do jednej z czynnych przez całą dobę aerogrodzkich melin. Te nielegalne instytucje działały przeważnie w domkach działkowych lub mieszkaniach na parterze, zaopatrując miejscowych nałogowców w papierosy, alkohol i klej.

Garść rubli, które miał w kurtce, wymienił na kilka tabliczek czekolady - zajmujących niewiele miejsca, za to dających dużo energii do walki z mrozem - a także pudełko zapalek, cztery puszki coli i małą butelkę wódki.

Po zakupach ruszył truchtem w stronę granicy miasta z pistoletem wetkniętym za pasek dżinsów. Biegając, rozglądał się za budką telefoniczną, choć wiedział, że poza rojącym się od policji centrum ma nikłe szanse na jej znalezienie.

Brak telefonów miasto zawdzięczało kapryswi historii. Aero-gród zbudowano w czasach zimnej wojny jako miasto zamknięte z wszelkimi formami dostępu ściśle kontrolowanymi przez radzieckie siły powietrzne. Aż do lat dziewięćdziesiątych przyjeźdźni musieli występować o pozwolenie na wizytę, a cudzoziemców nie wpuszczano w ogóle. Prywatne telefony były zakazane i każdy, kto chciał zadzwonić w sprawie osobistej, musiał spędzić pół dnia w kolejce do telefonów w ratuszu.

Choć komunikacyjne restrykcje uchylono już wiele lat temu, władzom miasta rozpaczliwie brakowało pieniędzy i stacjonarne



linie telefoniczne pociągnięto wzdłuż zaledwie kilku ulic w pobliżu centrum Aerogrodu.

Jeżeli James miał dokądkolwiek zadzwonić, musiał zdobyć komórkę.

We wschodniej części miasta mieszkały niegdyś dziesiątki tysięcy pracowników olbrzymich zakładów przemysłowych. Ale młodzi i zdrowi już dawno opuścili Aerogród w poszukiwaniu pracy, ci zaś, którzy nie mieli dokąd pójść, przenieśli się do bloków bliżej centrum.

Rezultatem było osiedle widmo: tuziny opustoszałych bloków ogołoconych ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość, krušejących i z wolna zapadających się pod ziemię. James wybrał jeden na chybił trafił i spędził noc w mieszkaniu na drugim piętrze. Wobec braku ogrzewania - jak również większości drzwi i ram okiennych, już dawno wymontowanych na opał - wymościł sobie gniazdko w wannie, pod plastikową zasłoną prysznicową utrzymującą ciepło wokół jego ciała i stanowiącą zaskakująco ciepłą kołdrę.

Mógł wprawdzie rozpałić ogień, aby się ogrzać, albo pobiec z powrotem do miasta i włamać się do jakiegoś mieszkania po komórkę, ale CHERUB uczy swoich agentów cierpliwości: zapewne szukała go już cała aerogrodzka policja, a on nie znał terenu, na którym się znalazł. Postanowił ukrywać się w wannie do czasu, aż trochę wypocznie i zacznie jaśniej myśleć, a światło dzienne pozwoli rozejrzeć się po okolicy.

Przewracał się z boku na bok przez całą noc, nie mogąc zasnąć i zachodząc w głowę, co też mogło wydarzyć się na spotkaniu. Słuchając wiatru wyjącego w dziurach po drzwiach i oknach, powoli sączył wódkę, by zapanować nad dygotem, i ścisnął brzuch pulsujący tęnym bólem w miejscu, w które wcześniej zainkasował cios.

\*

Niepokój kazał Jamesowi zerwać się bladym świtem i niezwłocznie rozpocząć badanie otoczenia. Najpierw obejrzał mieszkanie, stąpając niepewnie po lodowatym, odartym z PCW betonie, a potem ostrożnie wyjrzał na długą zewnętrzną galerię, gdzie mieściły się wejścia do pozostałych opuszczonych mieszkań na drugim piętrze.

Po obejrzeniu reszty budynku chłopak doszedł do wniosku, że jego jedynym towarzyszem są setki gołębi gnieźdzących się na najwyższej galerii. Ale kiedy rozejrzał się po okolicy z wysokości, powiewające na sznurkach pranie i sączące się z okien smutki dymu powiedziały mu, że nie jest całkiem sam we wschodniej części Aerogrodu.

Już wcześniej uznał, że próba ucieczki jedyną drogą łączącą Aerogród ze światem byłaby zbyt ryzykowna: policja z pewnością urządziła tam blokadę. Rozważył pomysł ucieczki przez las do najbliższej miejscowości, gdzie mógł złapać okazję do Moskwy albo spróbować zadzwonić do CHERUBA. Kłopot polegał na tym, że do najbliższych osiedli ludzkich było ponad trzydzieści kilometrów. Zresztą nie miał pojęcia, gdzie one są, i musiał liczyć się z ryzykiem, że Obidinowie wysłali już tam swoich siepaczy.

Pozostała mu jedyna możliwość - zakraść się do centrum miasta, postarać o komórkę i zadzwonić po pomoc. Ale mając jedno ubranie, zostałby szybko rozpoznany, gdyby pojawił się tam za dnia. Musiał poczekać do zmroku, a potem przemknąć się do jednej z bogatszych części Aerogrodu i albo kogoś obrabować, albo włamać się do mieszkania.

James nie miał zegarka, ale pamiętał, że jasno robiło się około ósmej rano, a ściemniać zaczynało o czwartej po południu, kiedy wracał ze szkoły. Oznaczało to, że musi znaleźć sobie jakieś zajęcie na najbliższe siedem i pół godziny. Przede wszystkim musiał zabezpieczyć się przed zamrożeniem, a skoro poczuł się pewniej w swojej kryjówce, postanowił rozniecić ogień.

Choć w bloku brakowało większości okien i drzwi, paliwa wciąż było pod dostatkiem. James zebrał naręcze szmat i parę gazet na podpałkę, po czym za pomocą scyzoryka odłupał kilka długich drzazg z jakiegoś progu. Ułożywszy papier i drewno w urywalce, zapalił je zapałką.

Plomienie podsyczał oszczędnie; nie chciał spalić budynku ani wytworzyć na tyle gęstej smugi dymu, by można ją było wypatrzyć z ziemi. Jednak ogień był wystarczająco duży, by rozgrzać mu dłonie i podnieść temperaturę w małej łazience do kilku stopni powyżej zera.

Kiedy zrobiło się cieplej, myśli Jamesa powędrowały ku jedzeniu. Cukier w czekoladzie i coli kupionej poprzedniej nocy dałyby mu dość kalorii, by mógł od biedy przetrwać dzień, ale James łaknął ciepłego posiłku. Pomyślał o gołębiach na ostatnim piętrze.

Podczas szkolenia podstawowego zdarzało mu się łapać i jeść gołębie. Ich mięso było smaczne i całkowicie bezpieczne, jeżeli ptak został oprawiony i przyrządzony jak należy. Jeśli James chciał się umyć i napić czegoś ciepłego, potrzebował też czystej wody.

Co ważniejsze, chłopak doszedł do wniosku, że zajęcie umysłu gotowaniem wody i przyrządzaniem posiłku będzie znacznie zdrowsze dla jego psychiki niż spędzenie całego dnia na dygotaniu z zimna i zastanawianiu się, czy uda mu się uniknąć nieprzyjemnego spotkania z aerogrodzką policją.

Na balkonie leżała kilkucentymetrowa warstwa czystego śniegu, ale Jamesowi potrzebne było naczynie, w którym mógłby go roztopić i przegotować wodę. Na szczęście dla niego tylko garstka mieszkańców Aerogrodu miała samochody i wielu z nich, wyprowadzając się, postanowiło porzucić w mieszkaniach najcięższe i najmniej cenne rzeczy. Wystarczyła wycieczka po kilku lokalach, by James stał się posiadaczem dwóch poobijanych garnków, emaliowanego kubka, drucianej kratki z piekarnika

nadającej się na prowizoryczny grill, a nawet biurowego krzesła na kółkach, na którym mógł wygodnie usiąść.

James dorzucił do ognia, przykrył umywalkę metalową kratką, po czym wyszedł na balkon. Upewniwszy się, że na dole nikogo nie ma, zaczął zgarniać świeży śnieg do garnka. Napełnione po brzegi naczynie ustawił na kratce nad ogniskiem.

Następnym zadaniem było upolowanie obiadu. James przypomniał sobie szkolenie podstawowe i pana Large'a tłumaczącego juniorom, że gołębie są w gruncie rzeczy głupie i znacznie łatwiejsze do schwymania niż ryby czy ssaki. Mają zaledwie dwa stany umysłu. Pierwszy to: „O mój Boże, coś się zbliża, odlatujmy!”, a drugi: „Wszystko jest w porządku”. Jeżeli chce się upolować gołębia, wystarczy sprawić, żeby uwierzył, że wszystko jest okej, a wtedy sam wejdzie do rondla.

Podczas gdy w garnku na umywalce powoli topniał śnieg, James pognał na zaanektowane przez ptaki szóste piętro, ściskając w dłoni scyzoryk i drugi garnek. Taras wejściowy pokrywała zaskorupiała warstwa odchodów i piór. Oczywiście gołębie odfrunęły, kiedy tylko James zbliżył się do nich, ale ten niezrażony po prostu przykucnął plecami do ściany i znieruchomiał.

W ciągu kilku sekund ptaki zapomniały o jego istnieniu i zleciały się z powrotem, by spacerować wokół, jakby w ogóle go tam nie było. Widząc, że jeden z nich znalazł się o kilka centymetrów od jego dłoni, James złapał go, błyskawicznie skręcił kark i wrzucił do garnka. Jego nagły ruch spłoszył resztę, ale po minucie wszystkie znów dziobały sobie spokojnie u stóp Jamesa, a po kolejnych dziesięciu w garnku było już pięć martwych gołębi.

Wróciwszy na dół, zastał zadymioną, ale ciepłą łazienkę i śnieg topniejący nad rozbuchanym płomieniem. Nie zwlekając,

wziął się do oprawiania gołębi, zaczynając od podcięcia im gardła i odsączenia krwi do wanny.

Pierwszym zwierzęciem, jakie James kiedykolwiek samodzielnie oprawił i zjadł, była wiewiórka upolowana podczas szkolenia podstawowego. Kleisty dotyk wyciąganych garścią wnętrzości i ciepła krew na palcach, którymi zrywał z truchelka skórę, przysparzały go o mdłości. Wtedy zastanawiał się, jak taka umiejętność może się przydać tajnemu agentowi w dwudziestym pierwszym wieku, ale teraz błogosławił tamtą lekcję. Po fachowym wypatroszeniu ptaków kolejno rozłamał im klatki piersiowe, by uzyskać płaskie ochłapki, które upieką się równo na małym ogniu.

Nie zapomniał też o dorzucaniu do ognia i zanim skończył z gołębiami, miał już pół garnka wrzątku. Ułożywszy mięso na grillu, wyszedł na balkon i umył skrwawione ręce śniegiem, a po powrocie do mieszkania dodatkowo przetarł je wódką, żeby odkażać skórę. Przewróciwszy mięso patykiem, usiadł na plastikowym krześle, napełnił kubek gorącą wodą i upił trzy łyki, po czym podsunął go sobie pod brodę, by rozkoszować się dotykiem ciepłej pary na twarzy.

Dla Jamesa był to pierwszy moment względnego komfortu, odkąd osiem godzin wcześniej w brutalny sposób wyrwano go ze snu. Ale to chwilowe odprężenie przypomniało mu tylko, w jak paskudnej znalazł się sytuacji. Był daleko od domu i czuł się samotny jak jeszcze nigdy w życiu.

## 8. ŁOMOT

Laura i Kerry siedziały naprzeciwko siebie przy stole w kampusowej stołówce. Kerry powinna być na lekcji, ale nie czuła się na siłach, by na nią pójść. Nie chciały zostać same, ale z drugiej strony obie czuły się niezręcznie, siedząc tak razem i nie wiedząc, co powiedzieć.

Plotki rozchodziły się po CHERUBIE szybciej niż zarazki. Do lunchu wszyscy w kampusie zdawali się wiedzieć o zaginięciu Jamesa. Dziewczeta czuły się jak radioaktywne; przechodzący obok koledzy mamrotali wyrazy współczucia, po czym siadali tak daleko od nich, jak tylko się dało.

Po lunchu Laura miała grać w koszykówkę, a Kerry była umówiona z koleżankami na wypad do miasta, ale obie się rozmyśliły. Ostatecznie poszły do pokoju Kerry i spędziły sobotnie popołudnie, zabijając czas grą w scrabble z Ratem i przyjaciółką Kerry Gabriellą.

\*

W miarę rozgrzany i najedzony James opuścił mieszkanie, kiedy tylko zrobiło się ciemno. Niestety, w mieście znowu włączono prąd, co oznaczało, że w oświetlonym centrum jego pomarańczowa kurtka i rękawice będą rzucały się w oczy.

Większą część dnia spędził na zastanawianiu się nad sposobami zdobycia telefonu. Myślał o włamaniu się do pustego mieszkania w jednej z bogatszych części miasta, ale tamte rejony

były przeważnie dobrze pilnowane. Poza tym telefonów stacjonarnych było niewiele, a komórki ludzie na ogół zabierali ze sobą, kiedy wychodzili z domu.

Mógł też zwyczajnie podejść do kogoś i poprosić o użyczenie telefonu, ale to wiązało się z koniecznością pokazania twarzy w miejscu publicznym. Zresztą w podupadłym mieście o wysokiej przestępczości szansa na to, że ktoś z własnej woli wręczy komórkę potężnie zbudowanemu nastolatkowi wyglądającemu, jakby nie przespał nocy, nie była wielka.

James uświadomił sobie, że będzie musiał kogoś obrabować. Nie mogło to być przyjemne dla ofiary, ale to i tak herbatka u cioci w porównaniu z tym, co by się stało, gdyby złapali go ludzie Obidina.

Szarych ulic Aerogradu przy najlepszych chęciach nie dało się nazwać kwitnącymi, ale w centrum było kilka żywszych miejsc, gdzie ludzie z gatunku tych, których stać na komórkę, robili zakupy, jedli i hulali w jedynym nocnym klubie w mieście. Kłopot w tym, że praktycznie wszystkie tamtejsze sklepy i lokale należały do rodziny Obidinów i w okolicy roilo się od policji.

James postanowił poszukać ofiary przy aerogradzkim domu towarowym. Wielka blaszana hala była jednym z nielicznych obiektów, jakie zbudowano w Aerogradzie w ciągu minionych dziesięciu lat. James był tam kiedyś z Borysem i Ajlą. Sprzedawano tu wszystko - od chińskich dresów, przez konserwy, po tanie elektronarzędzia.

Przed sklepem był duży parking, ale niewielu klientów miało samochody i większość taszczyła zakupy do domu w torbach lub wózkach, brnąc kilometrami przez śnieg. James usiadł na niskim murku na brzegu parkingu i zaczął obserwować wejście. Wypatrywał kogoś, kto byłby sam i wyglądał na dość zamożnego, by mieć komórkę. Jednocześnie starał się nie przyciągać uwagi grupy bandytowatych nastolatków, którzy używali opustoszałej części

parkingu jako skate-parku.

James z pewnością nie był darem niebios dla skateboardingu. Sam robił z siebie błazna, ilekroć podejmował próbę okiełznania deski, i pokaz chłopców spod sklepu zrobił na nim nieliche wrażenie, zwłaszcza że dusili triki na śniegu i lodzie, za całą ochronę mając tylko bluzy z kapturami.

Po zlustrowaniu niezliczonej rzeszy emerytów i zagonionych, wymizerowanych sklepowych wózkopchaczy James zauważył młodą kobietę wychodzącą przez automatyczne drzwi z olbrzymią torbą wypchaną kompletem poduszek. Wyglądała na dziewiętnaście lat, a ubrana była w obcisłe džinsy, czarne skórzane kozaczki i futrzaną czapę. Nie była to jednak zgrzebna czapka uszanka, w jakie ubierały się starowinki, a jej torebka z brązowej skóry wyglądała na kupioną w eleganckim moskiewskim butik. Był to ten rodzaj torebki, w jakim można spodziewać się telefonu.

Zadowolony, że nie podeszła do żadnego samochodu, James odczekał, aż dziewczyna znajdzie się na nieoświetlonej ulicy przylegającej do wielkiego sklepu, po czym wstał i ruszył za nią.

- Uważaj, gnoju! - wrzasnął jeden z deskorolkarzy, mijając go o centymetry.

Koncentrując się na dziewczynie, James nie zauważył deski turkoczącej w jego stronę. Podczas gdy pierwszy skejt łapał jeszcze równowagę po uniku, drugi zeskoczył z deski, wyciągnął z kieszeni džinsów nóż sprężynowy i błysnął nim Jamesowi pod nosem.

- Szukasz kłopotów? - wyszczerzył się chłopak.

Był mniejszy od Jamesa, ale czuł się pewnie z ostrzem w dłoni i w otoczeniu kumpli. James podniósł ręce i cofnął się o krok.

- Przepraszam.



Ograniczył się do jednego słowa, bo młodzieńcy mogli słyszeć, że gliny poszukują angielskiego chłopca, a wtedy akcent z pewnością by go zdradził.

Chłopak, który omal się z nim nie zderzył, wyglądający na siedemnaście lub osiemnaście lat, zatrzymał się, podbił deskę do ręki i marynarskim krokiem ruszył w stronę Jamesa.

- To nasze miejsce - powiedział duży, nadymając pierś i zaciskając pięści.

- Przepraszam - powtórzył James, cofając się jeszcze bardziej i zerkając niespokojnie, czy jego cel wciąż jest w zasięgu wzroku.

Deskarze zarechotali nieprzyjemnie.

- Zaraz narobi w gacie.

- Jeszcze raz się tu pokażesz, to cię pochlastamy.

Ale James miał gdzieś ataki na jego dumę. Zależało mu na dziewczynie, a właściwie na telefonie, jaki miał nadzieję znaleźć w jej kosztownej torebce.

Wydostawszy się z parkingu, James podbiegł kawałek, by dogonić swoją ofiarę. Za sklepem dziewczyna skręciła w lewo w szeroką ulicę z placami budowy po obu stronach. Wyblakły znak informował, że pięćdziesiąt pięć tysięcy metrów kwadratowych powierzchni sklepowej i biurowej będzie do dyspozycji przed końcem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku, ale przedsięwzięcie posunęło się naprzód zaledwie o pół piętra.

Dziewczyna machnęła ręką, by przywołać przejeżdżającą obok taksówkę, ale kierowca jechał do innego klienta i zignorował ją. James najpierw wystraszył się, że zgubi cel, a kiedy ochłonął, uświadomił sobie, że to kolejny dobry znak: biedacy nie jeżdżą taryfami.

Ale lada chwila mogły pojawić się następne taksówki i któraś w końcu się zatrzyma. James musiał działać szybko. Oprócz niego i dziewczyny na ulicy nie było nikogo.

Obejrzał się jeszcze przez ramię, by sprawdzić, czy nikt za nim nie idzie: jakiś staruszek przechodził przez jezdnię, ale nie wyglądał na kogoś, kto mógłby sprawiać kłopoty.

Kobieta usłyszała go, kiedy nadbiegał, ale zdążyła zrobić tylko dwa kroki, nim pchnął ją na ścianę sklepu. Zamachnęła się niegroźnie poduszkami i kopnęła go w nogę czubem skórzanego buta, ale James był dla niej za silny. Szamoczącą się i parszkającą śliną przycisnął ją do muru z pustaków i zerwał z ramienia torebkę. Miał nadzieję szybko porwać łup i uciec, nie robiąc dziewczynie krzywdy, ale ona wydarła się i wczepiła kurczowo w pasek torebki, ani myśląc puścić.

- Oddaj, bo zrobię ci krzywdę.

- Mój chłopak cię zabije! - wrzasnęła. - Wiesz, kim on jest?! Wiesz?!

James nie wiedział, ale w Aerogrodzie ludzie, którzy coś znaczyli, byli handlarzami narkotyków, lichwiarzami albo kompanami Denisa Obidina. W którejkolwiek z grup znajdował się chłopak dziewczyny, James nie miał czasu na pogawędkę. Straciwszy wreszcie cierpliwość, złapał kobietę za kark, plasnął otwartą dłońią w twarz i mocno pchnął. Upadła w śnieg, krwawiąc z rozciętej wargi.

Krzywiąc się z niesmaku wobec samego siebie, James zgarnął torebkę i z ulgą powitał widok damskiego różowego telefonu obok portmonetki. Był to nietypowy aparat opatrzony znakiem lokalnego operatora.

James wepchnął portmonetkę do kieszeni kurtki i nie oparł się pokusie zerknięcia na wyświetlacz telefonu: dwie trzecie baterii, cztery z pięciu kresek siły sygnału. Poczul się jak sześcioleciek naprzeciw wielkiego stosu gwiazdkowych prezentów.

Kusiło go, by zadzwonić od razu, ale sterczenie nad krwawiącą kobietą na stosunkowo ruchliwej ulicy nie wydawało się dobrym pomysłem. Zaczął biec, a pokonawszy kilkaset metrów, przeszedł

do szybkiego marszu, by nie wzbudzać podejrzeń.

Co jakiś czas zerkał na telefon i zauważył, że dalej od centrum sygnał zaczyna słabnąć. Około półtora kilometra od domu towarowego skręcił w nieoświetloną alejkę pomiędzy dwoma opuszczonymi biurkami.

Kiedy wystukał 0044 - kierunkowy do Wielkiej Brytanii - telefon oświetlił mu twarz bursztynową poświatą, ale poza tym jedynym efektem był komunikat: „Klawiatura zablokowana”. Lekko poirytowany zaczął testować różne kombinacje odblokowujące: OK i krzyżyk - jak w nokii - przytrzymanie dziewiątki, przytrzymanie zera; ale za każdym razem otrzymywał ten sam komunikat.

Po dwóch minutach walki James wziął głęboki, uspokajający wdech i zaczął badać kombinacje po kolei. - Głupia, syfiasta komórka - mruknął do siebie. Pomyślał o wyjęciu baterii i zrestartowaniu urządzenia, ale byłby kompletnie ugotowany, gdyby po włączeniu telefon zażądał wprowadzenia PIN-u. Wtedy zauważył, że jego kciuk, oparty o bok obudowy, częściowo przykrywa maleńki przycisk opatrzone symbolem kłódki.

Wduślił przycisk. Po trzech sekundach telefon odezwał się dźwięcznym akordem, a na ekranie pojawił się i znikł napis: „Klawiatura aktywna”. James triumfował. Zaczął wybierać numer, ale wtedy zauważył cienie na końcu alei. Dopadli go, zanim zdążył się obejrzeć. Najpierw deskorolka spadła mu na twarz z taką siłą, że rąbnął tyłem głowy o mur za sobą. Kiedy podniósł ręce, by osłonić się przed następnym ciosem, czyjś adidas wbił mu się w brzuch, po czym ściana ciał powaliła go na beton, a na głowę i korpus posypał się grad kopniaków.

- Mamy Angliczanina - zaśpiewał ktoś radośnie. James sięgnął po pistolet, ale zanim zdążył go wyciągnąć, coś przycisnęło mu ręce do tułowia. Barczysty koleś usiadł mu okrakiem na piersi i

zaczął metodycznie obijać twarz pięściami. Był to chłopak, którego omal nie strącił z deskorolki.

- Mamy Angliczanina - powtórzył skejt i splunął Jamesowi w oko wielką pecyną gęstej śliny.

James pomyślał, że spróbuje sięgnąć po broń, kiedy koleś wstanie, ale ten wyczuł pistolet pod swoim udem. Natychmiast wyrwał go Jamesowi zza spodni, poderwał się na równe nogi, a potem skierował lufę w leżącego i poczęstował go siarczystym kopniakiem w jądra.

Pięciu deskarzy ryknęło śmiechem, kiedy James zwinął się z bólu i splunął krwią. Najmłodszy, wyglądający najwyżej na dwaście lat, podniósł komórkę i wyszczerzył się do kompanów.

- Wezwijmy gliny. Dwadzieścia pięć patoli na pięciu, ile to będzie na łebka?

- Z matny to jesteś dupa, co? - zarechotał starszy.

Ale największy z grupy, wciąż trzymający Jamesa na muszce, wyrwał telefon z dłoni małego i spiorunował go wzrokiem.

- Aleś pojechał, matole. Jak zadzwonimy po psy, oskubią nas na stówkę.

Inny deskarz pokiwał głową.

- No. Wklepią nam i sami zgarną nagrodę.

James rozglądał się za drogą ucieczki, ale uliczka była ślepa, a koleś wciąż trzymał go pod lufą. Omdlewał z bólu i był zły na siebie za to, że dał się zaskoczyć bandzie nastolatków.

- No to co robimy, Joe? - spytał niepewnie najmłodszy z grupy.

- Stul pysk i daj pomyśleć - odwarknął Joe, patrząc wzdłuż lufy na Jamesa.

- Dajcie mi zadzwonić - jęknął żałośnie James. - Znam ludzi. Podwoją waszą nagrodę, przysięgam.

Joe pokiwał głową z politowaniem.

- Faktycznie wyglądasz na nadzianego.

Zaczął wystukiwać numer.

- Gdzie dzwonicz, Joe?

- Na gorącą linię, co rano dawali w radiu.

- Pamiętasz numer?

- Trzy ósemki i trzy ósemki - prychnął Joe. - Co tu jest do pamiętania?

Lodowaty śnieg wtapiał się Jamesowi w ubranie, twarz spływała krwią, a żołądek skręcał się ze zgrozy. Straszna myśl odbierała mu zmysły: to już naprawdę koniec jazdy. Już nigdy nie wróci do kampusu, nie zobaczy Laury, Kerry ani tego, jak Arsenal strzela kolejną bramkę; nie odrobi lekcji ani miliona innych mniej lub bardziej przyziemnych rzeczy, jakie w tej chwili przemknęły mu przez głowę. W ciągu godziny znajdzie się w jakiejś mrocznej celi wraz z parą goryli Obidina, którzy będą go torturować, dopóki nie wyśpiewa wszystkiego, co zechcą usłyszeć...

- Halo! - krzyknął Joe do telefonu. - Jest ten kolo z biura burmistrza, co był rano w radiu... No to fajnie... Nie, słuchaj pan. Mam tego angielskiego dzieciaka... Powiem, ale nagrodę chcemy od ręki. W gotówce... Dobra, kurde, fajnie... Jesteśmy na wschodniej dzielnicy, szesnasta ulica; wiesz, gdzie kiedyś było kino...? No włacha... Tak, żyje. Musieliśmy mu dowalić, ale jeszcze się rusza... To za ile mniej więcej...? Dobra, czekamy.

## 9. SZPIEG

Zaledwie dziesięć minut później przed alejką zatrzymała się wypacykowana po wiejsku bulwarowa terenówka na alufelgach i z przyciemnianymi szybami.

- Dwadzieścia pięć patoli! - zawołał wesoło kierowca, wysiadając z wozu i wymachując plikiem rubli wartym jakieś pięćset funtów.

James rozpoznał głos: to był Sławek, strażnik, z którym czasem ucinął sobie pogawędki przy bramie Obidinów.

Joe wyglądał na uszczęśliwionego. Jego czterej młodszy koledzy kręcili głowami z bananami na twarzach, jakby spotkało ich coś zbyt pięknego, by mogło dziać się naprawdę.

- Wyświadczyć mi przysługę, chłopcy - powiedział mężczyzna, nagle poważniejąc. - Podzielcie się pieniędzmi po równo, zanieście je do domu i trzymajcie gęby na kłódkę. Jak będziecie obnosić się z forszą, w końcu ktoś was skroi.

- Mądrze gadasz, szefie - skinął głową Joe.

James zdołał dźwignąć się i usiąść pod ścianą zaułka. Bolało go w dwudziestu różnych miejscach, dzinsy miał przemoczone od śniegu i nie mógł opanować konwulsyjnego dygotu.

- Czym go potraktowaliście, walcem drogowym? - zaśmiał się Sławek, podchodząc do Jamesa i wyciągając z kieszeni kurtki parę kajdanek. - Wstawaj, chłopcze.

Nie chcąc zaliczyć kolejnego manta, James spróbował dźwignąć się na nogi, ale zdołał jedynie oprzeć się na jednym kolanie, po czym mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa i opadł z powrotem na ścianę. Kiedy podjął drugą próbę, Joe złapał go pod ramię i poderwał w górę. Sławek bezceremonialnie obrócił Jamesa twarzą do ściany i skuł mu ręce za plecami.

- Chłopcy, pomóżcie mi wsadzić go do wozu, a potem lepiej zmywajcie się stąd.

Joe gorliwie pokiwał głową.

- Nazywam się Josif Nowosi, proszę pana. Może mógłby pan wspomnieć o mnie... no wie pan komu. Może pan Obidin chciałby wziąć mnie do pracy? Jestem naprawdę silny. Jak byłem mały, trenowałem zapasy i gimnastykę, mam medale i w ogóle...

Sławek podrapał się w głowę.

- Po wczorajszym zrobił się tam dom wariatów, ale rodzina Obidinów na pewno doceni to, co dla nich zrobiłeś. Zobaczą, co się da zrobić.

- Dziękuję panu. - Joe kipiał z zachwytu.

Jeden z młodszych deskarzy otworzył drzwi samochodu i odsunął się, pozwalając Joemu i Sławkowi wtłoczyć pobitego na tylne siedzenie. Jamesa owionęło ciepłe powietrze i zapach skóry, po czym twarz wciśnięta w siedzisko kanapy eksplodowała bólem. Uderzenie deską musiało mu strzaskać nos.

Kilka chwil później usłyszał, jak Sławek sadowi się za kierownicą, zapina pas i uruchamia silnik. Dziurawa droga wprawiała jego obolałą głowę w dzikie podrygi. Spróbował usiąść, a wtedy Sławek przemówił po angielsku z autentycznym amerykańskim akcentem:

- No więc czemu MI5 uśmierciła Denisa Obidina?

- Co ty gadasz? - wymamrotał James, gdy minął mu pierwszy szok.

- To, co słyszysz, stary. Oni go zabili, James.

James był cały we krwi, pękała mu głowa i czuł oślepiający ból u nasady nosa. Niełatwo mu było zebrać myśli, więc uznał, że najlepiej będzie się nie odzywać.

- Co tam u twojej siostry, Laury? - ciągnął Sławek lekko zaczepnym tonem. - Twoim koordynatorem jest John Jones czy ktoś inny?

James osłupiał. Sławek wiedział o CHERUBIE!

- Nazywam się Eric Partridge - mówił dalej Sławek, prostując tor jazdy za zawadiacko pokonanym zakrętem. - Jestem z CIA, wydział do spraw rozprzestrzeniania broni. Siedzę tu od czterech lat, próbując rozpracować organizację Obidina. Ale muszę przyznać, że wy, Brytole, to jednak macie jaja. Żadnego cackania: dwoje ludzi jedzie na akcję, umawia się na spotkanie, zabija największą szycę.

James nagle bardzo zapragnął coś powiedzieć, ale w natłoku myśli zdołał jedynie potrząsnąć głową i wykrztusić kilka odezwanych słów.

- Jak to...? Ty... Moja siostra...

Sławek, a raczej Eric Partridge, błysnął zębami w szerokim uśmiechu.

- Przez ostatnie półtora roku pracowałem w ochronie rezydencji Obidina. Chodziłem po całym tym domu i sadiłem pluskwy. Obidin ma własny system wideo i do niego też się podłączyliśmy. Jakies dwa tygodnie temu moi koledzy z Waszyngtonu zaczęli zauważać zakłócenia podczas analizy zapisów z naszych urządzeń podsłuchowych. Specjaliści powiedzieli nam, że to przesłuch: interferencja sygnałów dwóch urządzeń podsłuchowych podobnego typu. No więc sprawdziłem kamery nadzoru, żeby zobaczyć, czy w rezydencji nie pojawiła się jakaś nowa twarz. Dasz wiarę? Zakłócenia zaczęły się tego samego dnia, kiedy po raz pierwszy przyszedłeś, by udzielić Markowi Obidinowi lekcji angielskiego.



Eric poruszył brwiami i ciągnął dalej:

- Kazałem jednemu z moich ludzi iść za tobą do domu. Następnego dnia, kiedy byłeś w szkole, poszperaliśmy w waszym mieszkaniu. Zabraliśmy kilka włosów z poduszek i trochę osadu ze szczoteczek do zębów. Wystaliśmy to do naszego laboratorium DNA i stała się rzecz niesłychana: wujek Borys i ciocia Ajla wyciągnęli puste losy, ale twoje DNA doprowadziło nas do ściśle tajnej teczki. Uzyskanie dostępu zajęło nam ponad tydzień. Zgodę musiało wyrazić najwyższe szefostwo CIA i FBI.

- Jakiej znowu teczki? - wybełkotał James. Jego sponiewierany mózg z trudem układał w całość to, co słyszał.

- Niezłe z ciebie ziółko, James. Kiedy wreszcie dali mi zgodę, w teczce znalazłem wszystkie szczegóły akcji, jaką dwa lata temu odstawieś w Arizonie: ucieczka z więzienia o zaostrzonym rygorze, jazda przez trzy stany z glinami na ogonie i przyskrzynienie Jane Oxford. W dokumentach widniało, że należysz do jakiejś angielskiej dziecięcej jednostki szpiegowskiej. Mówię ci, jak to usłyszałem, normalnie ścięło mnie z nóg.

James zrozumiał, że miał szczęście. Jankesi pewnie nie byli zachwyceni, że ze swoją misją przejechał im po palcach, ale raczej nie zamierzali dobrać się do niego z lutownicą.

- Jak mnie znalazłeś?

- Musiałem szybko myśleć, ale w sumie nie było to trudne - uśmiechnął się Eric. - Władimir Obidin jest tyranem, jego ludzie boją się go jak diabła. Zasugerowałem ustanowienie nagrody, załatwiłem komunikaty radiowe i zabrałem się do organizowania poszukiwań. Wszyscy byli zachwyceni, że biorę to na siebie, bo to moja głowa miała spaść, gdyby coś poszło nie tak.

- Co teraz? - mruknął James.

- Mam bezpieczny lokal na skraju miasta. Pojedziemy tam, wykąpiesz się, przebierzesz w czyste ciuchy i opatrzę ci rany. Wyglądasz na niezłe zmalretowanego.

- Będiesz spalony - zauważył James.

- Jasne - skinął głową Eric. - Te dzieciaki zaczną szastać forszą i rozpuszczą języki. Ludzie dowiedzą się, że odstawili cię w moje ręce i będę miał takie same kłopoty jak ty. Ale nie pracuję sam. Mamy rozstawionych innych agentów, którzy nadal będą pracować nad Obidinami, przynajmniej nad tymi, których wy, Brytole, ewentualnie postanowicie oszczędzić. Moim zadaniem było dorwanie cię przed Obidinami i zapytanie, w co wy, do diaska, pogrywacie?

James z wysiłkiem pokręcił głową.

- To nie było morderstwo - powiedział słabym głosem. - Mieli podpisać kontrakt na dostawę rakiet.

Eric oderwał wzrok od drogi, żeby posłać Jamesowi gniewne spojrzenie.

- Ocaliłem twój tyłek, dzieciaku. Nie wcieraj mi gówna w czoło, bo zawrócę i zostawię cię w zaspie.

- Ale oni nie mogli...

- James, ja znam tę część historii. Całą tę awanturę mam nagraną w klarownej czerni i bieli.

## 10. KREW

Bezpiecznym lokalem okazało się mieszkanie na parterze jednego z lepszych bloków Aerogrodu. Z sąsiednich mieszkań dobiegał jazgot telewizorów i kuchenne zapachy, ale hydraulika działała wystarczająco sprawnie, by James mógł wziąć prysznic.

Eric zabronił mu zamykać się w łazience, na wypadek gdyby miał zasłabnąć. Kiedy James zmył z siebie większość krwi, Eric pomógł mu włożyć szlafrok i zaprowadził do podwójnego łóżka. Na stoliku nocnym stała przegubowa lampka biurowa; Amerykanin skierował ją na Jamesa i przystąpił do oględzin jego ran i siniaków.

Po kąpieli James poczuł się lepiej; nie lepił się już od krwi i trochę rozjaśniło mu się w głowie. Wciąż jednak cierpiał, a najbardziej bolały go twarz, żołądek i jądra.

- Myślisz, że mam strzaskany nos? - zapytał.

Eric opatrywał mu właśnie głębokie rozcięcie na prawym ramieniu.

- Sam zobacz - powiedział, rzucając na pościel małe lusterko.

James aż jęknął na widok swojego zgniecionego nosa i opuchniętych oczu.

- Jak jeszcze raz zobaczę tego Joego, zabiję go.

- Będziesz musiał zachować przytomność przez co najmniej dwadzieścia cztery godziny. Jeżeli zaśniesz, istnieje ryzyko, że

zapadniesz w śpiączkę. Niepokoi mnie też ta rana nad lewym okiem. Będę musiał to zaszyć.

- Jesteś lekarzem?

Eric potrząsnął głową.

- Byłem wojskowym sanitariuszem. Mam środek znieczulający miejscowo, ale po tym, jak dzielili cię w łeb, boję się dawać ci cokolwiek odurzającego.

- No to jak mnie pozszywasz?

- Dam ci coś, żebyś miał na czym zacisnąć zęby.

James zmartwił.

- Eee... Gdyby to była noga czy coś, to rozumiem, ale nie możesz szyć mi twarzy bez znieczulenia.

- Mogę ci dać ze dwa paracetamole.

- Co to da?

- Niewiele. - Eric wzruszył ramionami. - Przykro mi, młody, ale twoja koszulka i dżinsy są przesiąknięte krwią. Gdybyś był w szpitalu, zrobiliby ci transfuzję, ale tutaj mogę najwyżej połatać cię na szybko, zanim stracisz jeszcze więcej krwi i odfruniesz na dobre.

James patrzył, jak Eric wydłubuje nawleczoną igłę ze sterylnej opakowania. Nagle zrobiło mu się niedobrze.

- Zagryź to - powiedział Eric, wręczając Jamesowi klin z twardej gumy.

James włożył gumę między zęby, zwinął dłonie w pięści i zacisnął powieki.

- Nie zamykaj oczu. Nie zszyję rozcięcia na rozciągniętej skórze.

James otworzył oczy i omal nie zemdlął. Choć widział trochę nieostro, natychmiast rozpoznał igłę wnikającą w spuchniętą tkankę nad jego okiem.

- Aaachhhh! - jęknął.

- Siedz cicho i nie ruszaj się - syknął Eric. - To jest nic. W Zatoce mój kumpel utknął pod gąsienicą czołgową i musieliśmy obciąć mu rękę toporkiem strażackim.

James wbił zęby w gumę i ścisnął kołdrę w obu garściach. Igła po raz drugi przebiła mu brew. Może amputacja ręki siekierą była gorsza, ale w tamtej chwili jakoś nie potrafił sobie wyobrazić, jak cokolwiek może boleć jeszcze bardziej.

- Dobry chłopak - uśmiechnął się Eric, wiążąc czwarty szew i odcinając nitkę.

James westchnął z ulgą, ale zaraz zeszytniał, bo Eric zabrał się do rozwiązywania paska jego szlafroka.

- Hej, co ty kur...

- Powiedziałeś, że kopnęli cię w jaja. Chcę je obejrzeć.

- Nic im nie jest - zapewnił pospiesznie James.

- Jeżeli pękło ci jądro, muszę odsączyć płyn. I wierz mi, James, gmeranie ci tam sprawia mi jeszcze mniejszą frajdę niż tobie.

\*

Godzinę później James odpoczywał w fotelu; rany miał opatrzone, a jądra okazały się tylko stłuczone. Zdołał nawet pochłonać dwie szklanki soku pomarańczowego i trochę spaghetti z puszki. Widział już nieco wyraźniej, ale rwały go wszystkie kości, a ból głowy, okolic oczu i nosa nasilał się w miarę narastania obrzęków.

Eric wciąż zadawał pytania, czym zaczynał działać mu na nerwy. James marzył tylko o tym, by zasnąć.

- Proszę bardzo - powiedział Eric, kładąc mu na kolanach mały zmyślny laptop. - Obejrzyj to, a potem spróbuj spojrzeć mi w oczy i powiedzieć, że nie chodziło o zabicie Denisa.

James przeniósł wzrok na ziarnisty obraz przedstawiający gabinet Denisa Obidina. Za pomocą touchpadu przesunął okno wyżej i wcisnął przycisk odtwarzania.

Znacznik czasu w rogu ekranu wskazywał, że nagranie wykonano o godzinie pierwszej poprzedniej nocy. Denis Obidin rozpiął się w fotelu za swoim wielkim biurkiem, paląc cygaro i

prowadząc swobodną rozmowę z Borysem i Ajlą, którzy siedzieli tyłem do kamery.

Po kolejnym wybuchu śmiechu Borys wstał, by ucisnąć wyciągniętą dłoń Denisa. Jamesowi opadła szczeka, kiedy jego opiekun złapał Obidina za rękę i pociągnął na biurko. Jednocześnie Ajła zerwała się z fotela i przyskoczyła do Rosjanina od tyłu; w jej dłoniach błysnęła metalowa struna. Borys zakrył Denisowi usta...

- Ja... ja... - zająknął się James. - Jezu.

Pół minuty później Denis leżał bezwładnie na biurku, pod Ajłą wciąż zaciskającą mu pętlę na szyi dla pewności, że nie żyje. Tymczasem Borys podbiegł do ściany z tyłu pokoju i zdjął z niej ogromny obraz. Następnie wyjął składany nóż i otworzył nim metalowy właz wbudowany w ścianę za malowidłem.

- Co się dzieje? - zapytał James.

- Nie mamy pojęcia, jak Borys i Ajła to znaleźli, ale wygląda na to, że Obidin ma w domu awaryjną drogę ewakuacyjną - wyjaśnił Eric.

- CIA wiedziała o niej?

Eric potrząsnął głową.

- Ale podejrzewaliśmy. W tych stronach napady i porwania są na porządku dziennym i bogaci Rosjanie chętnie wyposażają swoje domy w schrony lub tajne wyjścia.

James nie mógł otrząsnąć się z szoku.

- Nie miałem o tym zielonego pojęcia - powiedział.

Patrzył w osłupieniu, jak Borys i Ajła wpełzają do włazu, pozostawiając za sobą statyczną scenę z Denisem Obidinem rozciągniętym na wielkim biurku.

- Udało im się uciec? - zapytał James.

- Byli blisko, ale mieli pecha. Przewiń minutkę do przodu, to zobaczysz.

James kliknął podwójną strzałkę przewijania i patrzył na ekran z szybko zmieniającymi się cyframi zegara, dopóki

nie zobaczył otwierających się drzwi gabinetu. Cofnął film odrobinię, by zacząć od początku sceny.

- Twój mały kumpel miał zły sen - wyjaśnił Eric.

James patrzył, jak do pokoju wsuwa się sześcioletni Marek Obidin ubrany w piżamę z Batmanem i futrzane kapcie. Malec podszedł do ojca, by poklepać go po ramieniu, i wtedy zauważył małą plamę krwi sączącej się z rozcięcia na szyi Obidina. Marek przez chwilę wyglądał na zdezorientowanego, a potem obrócił się na pięcie i przeraźliwie wrzeszcząc, wybiegł z gabinetu.

Po kilku sekundach do pokoju wparowali Władimir i dwaj inni mężczyźni. Władimir złapał słuchawkę telefonu stojącego na biurku, a jego towarzysze zaczęli gramolić się do wjazdu, by ruszyć w pościg za Borysem i Ajlą.

- I tak chytry plan MI5 wziął w łeb - Eric się uśmiechnął. - Borys i Ajla wiedzieli, że zostaną przeszukani, więc nie mogli wnieść broni do domu Obidina. Jeśli ochroniarze ich dogonili, nie mieli żadnych szans.

James był tak wstrząśnięty, że zapomniał o bólu.

- Ale to... Mnie powiedziano, że idą na spotkanie negocjować kontrakt na dostawę uzbrojenia.

- Czemu miałbym ci wierzyć? - odparował Eric.

- CHERUB to nie jest banda morderców. A poza tym... Poza tym naprawdę wierzysz, że siedziałbym w domu i spał na kanapie, gdybym spodziewał się, że po mnie przyjdą?

Ból i zdenerwowanie przeszkadzały mu w porządkowaniu myśli, ale w jego wspomnieniach jeden szczegół rysował się wyraźnie: pamiętał Ajlę wynoszącą do samochodu dużą walizkę.

- Borys i Ajla mogli uciec, ale musieli wiedzieć, że Władimir wyśle po mnie ludzi do mieszkania. Wystawili mnie na odstrzał. Kiedy wychodzili z mieszkania, wiedzieli, że ludzie Obidina złapią mnie i będą torturować. Cieszę się, że te kanalie nie żyją.

- Ładna bajeczka - powiedział Eric z przekąsem, jakby nie do końca wierzył w wyjaśnienia Jamesa.

James wskazał ekran laptopa.

- Podaj mi jeden dobry powód, dla którego miałbym po czymś takim siedzieć i czekać na Władimira.

Eric uśmiechnął się.

- Przyznaję, myślałem o tym długo i jak dotąd nie wymyśliłem żadnego sensownego wytłumaczenia poza takim, że zostałeś wystawiony przez dwoje łajdaków.

- Mogłem zginąć - powiedział ponuro James, powoli kręcąc głową.

- Też uważam, że żyjesz tylko dzięki swojemu wyszkoleniu i potężnej porcji szczęścia - dorzucił Eric, zabierając komputer z kolan Jamesa i składając ekran. - Oraz, rzecz jasna, pomocnej dłoni twego uniżonego sługi.

Eric wsunął laptop do nylonowego pokrowca i wrócił do Jamesa, trzymając w dłoni masywny telefon satelitarny. W odróżnieniu od zwykłych komórek funkcjonujących w oparciu o sieć przekaźników naziemnych telefony satelitarne wysyłają sygnał od razu w kosmos i działają wszędzie na świecie.

- Zdaje się, że chciałeś zadzwonić, młodzieńcze.

Biorąc telefon, James zdobył się na lekki uśmiech.

- To co, wyciągniesz mnie stąd czy jak?

- Obawiam się, że „czy jak” jest bardziej prawdopodobne - powiedział Eric. - W ciągu kilku godzin w domu Obidinów zorientują się, że mnie nie ma, i ktoś zacznie mnie szukać. Jestem już spakowany. Teraz jadę do Moskwy i pierwszym samolotem wracam do starych dobrych Stanów Zjednoczonych. Szczerze mówiąc, cieszę się, że kończę z tą operacją. Nie widziałem moich dziewczynek od prawie dwóch lat.

- Nie możesz mnie zabrać ze sobą? - zapytał James.

- Z miasta wychodzi tylko jedna droga. Jest ruchliwa, a policja przeszukuje każdego. Jeśli zaświecę mi latarką do wozu i zobaczą



ciebie w tym stanie, to obaj możemy się uważać za martwych.

- Myślałem, że mi pomagasz - wyjąkał James zdjęty grozą na myśl o tym, że znów zostanie sam.

- Twój los to nie mój problem, chłopcze. - Eric wzruszył ramionami. - Wyciągnąłem cię z gówna i połatałem, bo chciałem posłuchać, co masz do powiedzenia. Twoi ludzie przysporzyli nam mnóstwa kłopotów. Wyświadczyłem ci przysługę, ale to twoi kumple z MI5 będą musieli cię stąd wyciągnąć. Wy, Brytole, macie z Obidinem ten duży kontrakt na silniki odrzutowe. Do Aerogrodu może i prowadzi tylko jedna droga, ale pasów startowych jest tu pod dostatkiem.

- Jasne - bąknął James.

- Nie będziemy już potrzebować tego mieszkania. Możesz tu zostać tak długo, jak chcesz. Popijaj mocną kawę i staraj się ruszać. W kuchni znajdziesz zapas konserw na miesiąc, a w szafie czyste ciuchy w różnych rozmiarach. Najważniejsze, żebyś nie zasnął. Wiem, że już dochodzisz do siebie, ale wciąż możesz zapaść w śpiączkę.

Eric zdjął płaszcz ze słupka łóżka i przewiesił go sobie przez rękę.

- Telefon zabieram, więc lepiej dzwoń, póki jestem.

James zamrugał, żeby trochę oczyścić zamglony wzrok, i wystukał awaryjny numer CHERUBA.

Odebrał mężczyzna z birminghamskim akcentem.

- Wulkanizacja Jednorożec, czym mogę służyć?

- Agent dwanaście zero trzy - powiedział James. - Połącz mnie pan z Ewartem Askerem?

Mężczyzna aż się zachłysnął.

- James, to ty? Mamy tu przez ciebie alarm pierwszego stopnia. Wszystko w porządku?

- Ręka, noga, mózg na ścianie - powiedział James zmęczonym głosem. - Ale zdaje się, że ciągle żyję.

## 11. MROK

Laura uznała, że chce zostać sama, i wróciła do swojego pokoju. Leżała wyciągnięta na łóżku przy telewizorze nadającym rezultaty rozgrywek piłkarskich, kiedy zadzwonił telefon. Pomyślała, że to Bethany, która brała udział w turnieju koszykówki poza kampusem. Na pewno dzwoniła w przerwie między meczami, żeby zapytać, czy są jakieś nowiny.

- Co tam? - rzuciła Laura do aparatu.

- Biuro nagłych wypadków właśnie odebrało telefon - powiedziała wesoło Zara. - Zdaje się, że jest nieźle poturbowany, ale żyje.

- Och, dzięki Bogu! - Laura zeskoczyła z łóżka. Oczy natychmiast zaszczyły jej łzami. - Jezu, jak cudownie. Co się z nim dzieło?

- Nie znam wszystkich szczegółów, ale wciąż jest w Aerogrodzie. Ewart już po niego leci.

- Będę mogła z nim później porozmawiać?

- Może. Ewart ma telefon satelitarny, więc pewnie uda się coś zorganizować, ale jeszcze nie wyszliśmy z lasu. Policja przeszukuje każdy samochód, jaki wyjeżdża z Aerogrodu. Chcemy przemycić Jamesa przez małe lotnisko.

- Ale nic mu nie grozi, prawda?

- Stuprocentowej pewności nie mamy, ale wiemy, że żyje i że ktoś się nim zajął.

- Kamień spadł mi z serca - westchnęła Laura.

- No dobra - powiedziała Zara. - Mam kilka telefonów do wykonania. Mogę liczyć, że powiesz Kerry i wszystkim zainteresowanym ?

- Jasne! - zawołała Laura radośnie. - Pójdę od razu.

Zatrzasnęła klapkę telefonu i wybiegła na korytarz. Sypialnia Rata mieściła się na drugim końcu ósmego piętra przy windach.

- Rat! - wrzasnęła Laura, waląc pięściami w drzwi. - Zara dzwoniła. Nic mu nie jest!

Rat wypadł z pokoju i pognał za Laurą na szóste piętro, gdzie mieszkała Kerry i większość znajomych Jamesa.

- Kerry! Kerry! Kerry! - wołała Laura, wypadając na korytarz szóstego piętra i omal nie taranując Bruce'a.

- Znaleźli go? - wyszczerzył się Bruce.

- Poturbowany, ale poza tym chyba wszystko w porządku - wyjaśnił Rat.

Tymczasem Laura wparowała do pokoju Kerry. Odkrycie, że nikogo w nim nie ma, trochę zbiło ją z tropu, ale po chwili zauważyła, że drzwi łazienki są zamknięte na zamek.

- Nic mu nie jest! - zawołała, waląc w drzwi kułakiem. Kerry otworzyła i rzuciła się koleżance w objęcia.

- Nie przeżyłabym, gdyby go zabili - chlipnęła żałośnie. Laura otarła łzę z policzka.

- O ile zakład, że za tydzień znów będziemy się na nie go wkurzać?

\*

Nissan almera zatrzymał się przed pasiastym szlabanem. Dochodziła północ. Aerogród nie miał prądu już drugą noc z rzędu, ale blaszany hangar przed samochodem oświetlały światła systemu bezpieczeństwa zasilane z niezależnego generatora.

Ewart opuścił szybę po stronie kierowcy i przemówił do strażnika fatalnym rosyjskim.

- Nazywam się Newman. Czekają na mnie.

Strażnik z obojętną miną nacisnął guzik unoszący szlaban. Wrota hangaru zdobił napis „Hilton Aerospace” wymalowany literami trzymetrowej wysokości. Ewart zerknął przez ramię na tylne siedzenie.

- Tylko mi tam nie zaśnij - powiedział surowym tonem.

James wyrzwał spod koca.

- Wiem, nie jestem idiotą - odpowiedział kwaśno.

Zatkane zatoki w strzaskanym nosie raziły go najostrzejszym bólem głowy, jakiego kiedykolwiek doświadczał, a czysta koszulka i spodnie od dresu, które zabrał z kryjówki, kleiły się do zasychających strupów.

Podczas gdy zbliżali się do hangaru, pomiędzy skrzydłami jego ogromnych wrót otworzył się prostokąt światła, na tyle szeroki, by Ewart mógł przezeń przejechać. Kiedy wysiadł z wozu, wielki mężczyzna w kombinezonie z logo Hilton Aerospace uściśnął mu dłoń.

- Dziękuję za tak szybki odzew, panie Edwards - powiedział Ewart.

- Żaden problem. I mów mi Craig. - Facet uśmiechnął się, widząc, że Ewart patrzy na wyblakłą trupa czaszkę i skrzyżowane kości wytatuowane na grzbiecie jego dłoni. - Zawsze chętnie pomogę rodakowi wykaraskać się z tarapatów. A to moja pani - Irene.

Irene nosiła identyczny kombinezon jak jej mąż. Kobieta podtoczyła do samochodu obszarpany wózek inwalidzki i otworzyła drzwi obok Jamesa.

- Ale ja mogę chodzić - powiedział James, gramoląc się z kanapy.

Kobieta potrząsnęła głową, a potem przemówiła z londyńskim akcentem.

- Samolot siada na pasie numer dwa. To ponad kilometr stąd, a na drogach kołowania jest lodowisko.

- To jaki jest plan? - zapytał James, opuszczając swoje obolałe ciało na wózek.

Odpowiedział Craig.

- Podwozimy cię na koniec pasa startowego. Przylatuje samolot; kiedy tylko się zatrzyma, ty i Ewart wskakujecie na pokład; pilot skręca o sto osiemdziesiąt stopni, daje gazu i jesteście w powietrzu w ciągu trzech minut od przyziemienia.

- A co z planem lotu? - zaniepokoił się James. - Ludzie Obidina nie dowiedzą się, że ktoś przylatuje?

- Zgodnie ze zgłoszonym planem maszyna transportowa Hilton Aerospace ma wylądować na naszym zwykłym lotnisku po drugiej stronie miasta. Tyle że w ostatniej chwili pilot zmieni kurs i wylądował tutaj. Dziś przez cały dzień gliniarze węszyli tam i grzebali nam w kontenerach. Tego lotniska używaliśmy kiedyś do przyjmowania dużych maszyn, kiedy przylatywały na serwis silników, ale Obidin stracił kontrakt i wszystko robimy teraz w Wielkiej Brytanii.

- A lot powrotny? - zapytał Ewart. - Zakładam, że nie dopadną nas mięgi obrony powietrznej.

Craig potrząsnął głową.

- Pilot będzie się trzymał z dala od stref kontrolowanych. Jeżeli z jakiegoś powodu wyłapie was kontrola ruchu, powie, że nasze biuro zapomniało zgłosić plan lotu. To nic wielkiego; prywatne maszyny i pomniejsi przewoźnicy używają tej wymówki nagminnie.

- O której najpóźniej ma się zjawić samolot? - zapytał Ewart, podczas gdy Irene opatulą Jamesa kocem, który wyjęła z samochodu.

Craig spojrzął na zegarek.

- Myślę, że mamy czas na szybką herbatę, ale potem zmykamy na pas.

Ściany hangaru służącego głównie brytyjskim mechanikom wykonującym przeglądy silników wielkich odrzutowców zdobiły rozneglizowane dziewczęta z rozkładówek i plakaty piłkarskie. Zanurzając ciastko w kubku z parującą herbatą, James poczuł

przyплыw nostalgii za krajem. Nie dopił nawet do połowy, kiedy usłyszał odległe buczenie maszyny, która miała go zawieźć do domu.

- Lepiej wciągajmy łyżwy - zażartował Ewart, łapiąc mały neser i kładąc go Jamesowi na kolanach.

James uściśnął Edwardsom dłonie i podziękował za pomoc, po czym Ewart pchnął wózek w stronę drzwi hangaru. Wyszli w nocne powietrze. James odchylił głowę, wystawiając twarz na kojący chłód delikatnie prószonego śniegu. Na tle czarnego nieba migotało światło antykolizyjne dyspozycyjnego odrzutowca.

- O Chryste! - jęknął Ewart, patrząc w stronę bramy.

James gwałtownie odwrócił głowę i zobaczył japońskiego pikapa z niebieskim kogutem na dachu stojącego przy szlabanie.

- Mam chyba zły tydzień - westchnął, kręcąc głową. - Myślisz, że strażnik dał im cynk?

Nie doczekał się odpowiedzi, bo Ewart już gnał z powrotem do hangaru. Po chwili wrócił w towarzystwie Irene i Craiga.

James odkliknął zatraski neserera, który trzymał na kolanach.

- Mogę spróbować ich przytrzymać - powiedział niepewnie Craig.

Ewart potrząsnął głową.

- W maszynie jest osiem miejsc. Musicie polecieć z nami.

- To nasz dom - zaprotestowała Irene. - Zresztą nie mamy paszportów ani niczego.

- Jeżeli James i ja uciekniemy, ludzie Obidina zamkną was, będą torturować i bardzo możliwe, że w końcu zabiją - powiedział Ewart szorstko. - Weźcie Jamesa i biegnijcie na pas. Ja się zajmę policją.

Ramię szlabanu uleciało w górę w chwili, gdy Ewart otworzył neser, by wyjąć z niego automatycznego glocka kaliber dziewięć milimetrów i paralizator.

Craig spojrzął na Ewarta.

- Mogę się przydać. Przed MI5 byłem w SBS\*. Ewart uśmiechnął się i wręczył Craigowi glocka wraz z zapasowym magazynkiem.

- Marynarz, tak? Miło słyszeć. Zacznę od subtelnego podejścia. Jak się schrzani, strzelajcie, gnajcie do samolotu i nie przejmujcie się mną.

Irene mimo woli pociągnęła nosem. Była bliska łez.

- Nic nam nie będzie, rybko - powiedział Craig twardo. - Bierz Jamesa i zmykaj. Dołączymy za pół minuty.

Irenę naparła na wózek i podjęła niełatwe zadanie toczenia go po oblodzonym betonie.

Jamesowi zrobiło się jej żal.

- Niech się pani nie martwi. Pani mąż jest byłym komandosem, a Ewart przechodził podobne szkolenia. Uliczni gliniarze nie mają z nimi szans.

Irenę potrząsnęła głową, wciąż przyspieszając kroku.

- Wiedziałam, że służył w marynarce, ale o MI5 usłyszałam dopiero dziś po południu, kiedy zapukał do nas Ewart. I nagle to: ja pcham wózek z uciekinierem w nocy po pustym lotnisku, Craig wymachuje pistoletem...

James uśmiechnął się.

- Nie tego się pani spodziewała, kiedy wstawiała rano z łóżka, co?

- Żebyś wiedział. A jak ty wplątałeś się w cały ten bałagan? Młody jesteś; pewnie się nawet nie golisz.

- Wie pani co, nie chcę być niegrzeczny, ale jestem zbyt skołowany, żeby wymyślić jakieś zgrabne kłamstwo, a będzie lepiej dla nas obojga, jeśli nie powiem prawdy.

Samolot przemknął z hukiem nad siatką ogrodzenia na skraju lotniska. Ewart sprężystym krokiem podszedł do pikapa, który zatrzymał się przed hangarem.

\* SBS - Special Boat Service, jednostka specjalna brytyjskiej marynarki wojennej, odpowiednik amerykańskiego komanda foki (US Navy SEALs) (przyp. aut.).

- Dobry wieczór, panowie. Czy mamy jakiś problem? - przemówił do kierowcy swoim straszliwym rosyjskim.

- Obawiam się, że tak. - Kierowca uśmiechnął się i wskazał ręką na odrzutowiec. - Pierwszy raz widzę maszynę lądującą tutaj o tej porze, a mój kolega z bramy twierdzi, że pierwszy raz widzi pana.

Ewart usłyszał drugi radiowóz zajeżdżający pod szlaban.

- Hilton Aerospace - skłamał. - To nasza rozkładowa dostawa.

- Bez planu lotu, bez oświetlenia pasa... - powiedział gliniarz, unosząc brew na znak, że nie wierzy w ani jedno słowo. - Może ja jestem Clint Eastwood, a pan to wielkanocny króliczek?

- Bry, chłopcy! - zagrzmiał Craig, zaskakując zarówno Ewarta, jak i policjantów.

Potężny Anglik podszedł do auta od strony pasażera, otworzył przednie drzwi i wbił masywną pięść w twarz policjanta, by w ruchu powrotnym wyciągnąć go z samochodu na śnieg. Ewart uświadomił sobie, że Craig postąpił mądrze. Musieli załatwić gliniarzy w pierwszym wozie, zanim nadjedzie drugi i przeciwnicy zdobędą przewagę liczebną. Kierowca sięgnął do kabury, ale nim wyjął broń, w dłoni Ewarta pojawił się paralizator i pięćdziesiąt tysięcy woltów pozbawiło Rosjanina woli walki. Ewart wywlókł go na beton, znokautował prawym prostym i odebrał pistolet.

- Tyłem ich! - krzyknął Craig.

Ewart był zaskoczony, znajdując się w roli raczej wykonującego niż wydającego rozkazy, ale Anglik najwyraźniej znał się na rzeczy. Nie zwlekając, wskoczył na miejsce kierowcy, zapiął pasy, włączył wsteczny bieg i pełnym gazem ruszył w stronę radiowozu, który właśnie przejechał pod szlabanem. Była to jedna z małych rosyjskich osobówek. Skrzynia wielkiego pikapa przemknęła jej nad maską, strzaskała przednie słupki i zgniotła dach w harmonijkę.



Ewart z rozmachem wbił pierwszy bieg, ale tylne koła wisały nad ziemią i wóz za nic nie chciał odłączyć się od małego radiowozu, przyduszonego do ziemi jego ciężarem. Była to niefortunna okoliczność: stracili środek transportu. Ewart wyskoczył z szoferki przy ogłuszającym ryku silników odrzutowca. Pilot musiał dać pełny ciąg na odwracaczach, żeby wyhamować maszynę przed końcem oblodzonego pasa.

Odbezpieczywszy pistolet, Ewart zajrzał do zgniecionego radiowozu. Jego szarża na wstecznym zaskoczyła dwóch policjantów, którzy nie zdążyli wypiąć się z pasów i zostali zmiażdżeni tyłem pikapa. Nie był to widok, jaki chciałoby się oglądać dwa razy.

Ewart rozejrzał się za Craigiem i odnalazł go tłukącego głową strażnika o pleksyglas wewnątrz stróżówki.

- Craig, samolot wylądował! - zawołał. - Lecimy!

Do pokonania mieli sześćset metrów, a oblodzony beton nie pozwalał na poruszanie się w tempie szybszym od żwawego marszu.

Tymczasem na końcu pasa drugi pilot odryglował i opuścił drzwi małego odrzutowca stanowiące jednocześnie schodki. Irene podtoczyła do nich wózek, zdjęła koc i pomogła Jamesowi wstać.

- Trzeba cię wnieść? - zapytał drugi pilot.

James pokręcił głową i chwiejnie postąpił naprzód, by złapać poręcz schodków.

- Czekamy jeszcze na dwóch - powiedział.

Drugi pilot wyglądał na zaskoczonego.

- Mielście być gotowi.

- Policja nas zaskoczyła - wyjaśniła drżącym głosem Irene. - Mój mąż i jego towarzysz będą tu lada chwila.

Wspiąwszy się z wysiłkiem do ciasnej kabiny odrzutowca, James opadł na najbliższy fotel, z trudem łapiąc oddech. Drzwi kabiny pilotów były otwarte i pani kapitan skinęła na niego ze

swojego miejsca za tablicą pełną świecących zegarów i wyświetlaczy.

- Hej - odpowiedział James ze słabym uśmiechem.

- Na co czekamy, dzieciaku?

- Dołączą jeszcze dwie osoby - powiedział James. Chciał dodać: „Mam nadzieję”, ale nie zrobił tego.

Za oknami panowała nieprzenikniona ciemność. Nagle James z przerażeniem zauważył światła kolejnych dwóch samochodów pędzących drogą za ogrodzeniem lotniska w stronę bramy.

Irenę stała przy samolocie, wrzeszcząc ile sił w płucach.

- Craig, gdzie jesteś?!

Kapitan wykręciła szyję, żeby spojrzeć w tył przez okna kabiny pilotów.

- Śnieg zamarza nam na skrzydłach - zawołała do drugiego pilota. - Odladanie jest włączone, ale jak nie ruszymy za minutę lub dwie, ktoś będzie musiał wejść tam ze skrobaczką.

James patrzył, jak radiowozy przemykają pod otwartym szlabanem. W tej samej chwili do uszu Irenę dotarł okrzyk ledwie słyszalny poprzez wycie turbin pracujących na jałowych obrotach.

- To Craig! - zawołała. - Już idą!

Ale kropki reflektorów były szybsze.

- Wszyscy do środka, wciągnąć schodki! - krzyknęła kapitan. - Zawracam i szykujemy się do startu.

Drugi pilot wepchnął Irene po schodkach.

- Nie zostawiajcie mojego męża - błagała ze łzami w oczach.

James patrzył z lękiem na drugiego pilota, który uwiesił się na poręczach, unosząc schodki na kilka centymetrów, żeby nie wlokły się po betonie. Ogluszający huk wtargnął przez otwarte drzwi do kabiny, kiedy kapitan delikatnie zwiększyła obroty prawego silnika, by obrócić samolot o sto osiemdziesiąt stopni na zahamo-

wanym lewym kole.

James spojrział przez okno po drugiej stronie maszyny. Reflektory radiowozów były coraz bliżej, ale wciąż nie dostrzegał Ewarta ani Craiga.

- Lecimy! - zawołała kapitan, klikając przełącznikami i wciskając guziki.

- Nie możecie ich zostawić! - wrzasnęła Irene.

- Mają broń - powiedział twardo drugi pilot. - To daje im szansę na ucieczkę. My mamy trzy tysiące litrów paliwa w skrzydłach i dodatkowy zbiornik w luku bagażowym. Jeden celny pocisk i kończymy jako kula ognia.

Jakby dla podkreślenia wagi tych słów tuż obok samolotu zaterkotała krótka seria z pistoletu automatycznego. Jeden z radiowozów musiał oberwać, bo nagle zaczął gwałtownie wężykować, zarzucając tyłem na lodzie; nie przerwał jednak pościgu. W następnej chwili coś stuknęło o karbonowy panel tuż pod fotelem Jamesa. Po pełnej grozy sekundzie przy schodkach pojawił się Ewart gramolący się z ziemi po dramatycznym wślizgu pod brzuchem samolotu. Kiedy tylko zdołał chwycić poręcz, pospiesznie wtarabanił się do kabiny.

- Gdzie jest mój Craig?! - zawyła Irene.

Gdzieś za samolotem rozszczękał się karabin maszynowy.

- Wciągnijcie te schody! Ale już! - zdenerwowała się kapitan.

- Ani mi się waż! - wrzasnęła Irene, podczas gdy Ewart gramolił się przejściem między siedzeniami, by opaść na fotel z tyłu.

- Jeszcze przed chwilą biegliśmy razem - wydyszał Ewart. - Ja prześliznąłem się dołem, Craig pobiegł dookoła ogona.

Drugi pilot wychylił się przez drzwi i dostrzegł Craiga leżącego dwa metry za ogonem samolotu. Wielki Anglik pośliznął się

na oblodzonym betonie, strzaskał kolano i miał kłopoty ze wstaniem.

- Co ty wyprawiasz, do diabła?! - krzyknęła z furią kapitan, kiedy drugi pilot zeskoczył na pas startowy.

James widział dłoń ściskającą manetki przepustnic gotową w każdej chwili zwiększyć obroty silników i rozpocząć start. Na zewnątrz najbliższy samochód był już niespełna dwieście metrów od odrzutowca.

James pochylił się do przodu, by wyrzeć przez drzwi i zobaczyć, co się dzieje. Craig skakał na jednej nodze w stronę samolotu wsparty na barkach drugiego pilota. Był tak wysoki, że bez trudu złapał poręcze na samej górze schodków, odbił się zdrową nogą i szarpnięciem potężnych ramion wciągnął się do kabiny, lądując na plecach na podłodze. Drugi pilot przesadził stopnie dwoma panicznymi susami, ale w drzwiach potknął się o olbrzymie ciało Anglika i rozciągnął jak długi na nim.

Kapitan spojrzała na Jamesa.

- Drzwi! - ryknęła przeraźliwie.

Nie wiadomo skąd James wziął tyle siły, by pochylić się ponad dwoma mężczyznami i szarpnąć metalową dźwignię podnoszącą schodki.

Kapitan pchnęła przepustnice, kiedy tylko stopnie oderwały się od ziemi. James musiał przytrzymać się uchwyty nad drzwiami, żeby nie upaść do tyłu. W kabinie pilotów rozwrzeszczała się syrena ostrzegawcza, a z głośnika popłynął beznamiętny głos:

- Uwaga, główne drzwi nie są poprawnie zabezpieczone. Uwaga, główne drzwi...

Drugi pilot zerwał się na równe nogi, by pomóc Craigowi, który z wysiłkiem gramolił się na fotel. W tej samej chwili hydrauliczny rygiel wskoczył na swoje miejsce, a czerwona lampa zgasła zastąpiona przez kojąco zielony prostokąt z napisem: „Drzwi zamknięte”.

Drugi pilot wpadł do kokpitu i usiadł na swoim miejscu. James zapiął pas bezpieczeństwa, ale szybkie spojrzenie przez okno po drugiej stronie kabiny upewniło go, że to nie koniec emocji. Z samolotem zrównał się radiowóz, ten sam, który po strzale Craiga wpadł w poślizg. Policjant na miejscu pasażera mierzył w maszynę z pistoletu. James pamiętał, co drugi pilot mówił o zbłąkanym pocisku wysadzającym w powietrze cały samolot, ale gliniarz zdążył oddać tylko jeden strzał, nim dwa potężne silniki odrzutowe wykazały swoją wyższość nad małym rosyjskim benzyniakiem.

Lód na nawierzchni nie ułatwiał pilotom zadania. Kapitan ostro pracowała sterem kierunku, starając się uchronić maszynę przed ześlizgnięciem się z pasa. James widział tylko dłoń na dźwigniach przepustnic, ale jej dygot i napięte ścięgna nie pozwalały wątpić, że nie jest to rutynowy start.

Wreszcie maszyna uniosła nos i wszelkie wibracje nagle ustały. Wszyscy na pokładzie wydali zbiorowe westchnienie ulgi.

James rozejrzał się i zatrzymał wzrok na Craigu w rozdartych spodniach i z krwawą raną na kolanie, przypiętym pasami w skórzanym fotelu tuż za nim. Potem wyrzwał przez okno na Aero-gród. Zobaczył ciemne, puste ulice, jeśli nie liczyć kilku plam światła rzucanego przez budynki z własnymi generatorami. Na dziesięć sekund ogarnęło go uczucie radosnej ulgi, a potem coś pyknęło mu w uszach i jego zatoki eksplodowały bólem.

## 12. PIELEŃNIARZ

Otwierał oczy powoli. Musiał kilka razy zacisnąć i rozchylić powieki, nim jego wzrok odzyskał zwykłą ostrość. Leżał w szpitalnym łóżku. Gardło piekło go jak wyszorowane drucianą szczotką; miał też rurkę w nosie, elektrody na piersi, kroplówkę podłączoną do ręki i dodatkowy wenflon do zastrzyków, przyczepiony plastrem do grzbietu dłoni. Był głodny, a jego przepełniony pęcherz groził wybuchem. Uniósł lekko głowę i dopiero wtedy dostrzegł Laurę.

- Hej - skrzeknął i patrzył półprzytomnie, jak na twarzy siostry wyrasta przeogromny uśmiech.

- Kerry! - krzyknęła radośnie Laura. - Obudził się!

- Gdzie jestem?

- W szpitalu wojskowym niedaleko kampusu - wyjaśniła Laura, podczas gdy do łóżka, popiskując butami, przydreptała Kerry. Była w kurtce i zimowych rękawiczkach, jakby właśnie szykowała się do wyjścia.

- Sprowadzę kogoś - sapnęła i ulotniła się.

James spróbował usiąść, ale Laura usiadła na brzegu łóżka i delikatnie pchnęła go z powrotem na materac.

- Leż, rurki sobie powyrywasz.

- Ale ja już nie mogę - zaprotestował James.

- Nie przejmuj się niczym - powiedziała łagodnie Laura. - Tam na dole też cię podłączyli.

- Że co?

- No, cewnikiem do worka.

James wzdygnął się. Wiedział, że cewniki wsuwa się do penisa, i choć nie pamiętał momentu zakładania przyrządu, natychmiast uświadomił sobie, że prędzej czy później będzie musiał znieść bolesny zabieg wyciągnięcia go na zewnątrz.

Nawet przykryty kołdrą, James czuł się niezręcznie, wiedząc, że siostra może zobaczyć, jak worek się wypełnia.

- Od dawna tu leżę?

- Od wczoraj - odpowiedziała Laura. - Ale przedtem dwa dni leżałeś w szpitalu w Finlandii.

- To znaczy byłem w śpiączce czy co?

- Nie takiej prawdziwej, ale wciąż traciłeś przytomność i budziłeś się. Teraz jesteś trochę ogłupiały, bo rano dali ci narkozę przed operacją.

- Operacją?

- Masz pęknięte zebro. Zrobili ci tylko małe nacięcie na kłacie, żeby wyciągnąć luźny kawałek kości. Przy okazji popracowali trochę nad twoim nosem.

- Ostatnie, co pamiętam, to zamykanie drzwi samolotu... i koleś z rozwalonym kolaniem, i...

Laura pokiwała głową.

- To było w sobotę, a dzisiaj jest środa. Miałeś zakrzep w nosie. Kiedy zaczęliście się wznosić, ciśnienie spadło, powietrze w twoich zatokach zaczęło się rozpręzać i zemdlałeś z bólu. Samolot musiał wylądować awaryjnie w Helsinkach.

Kerry wróciła na oddział, prowadząc grubego pielęgniarza. Ten powitał Jamesa szerokim uśmiechem, po czym przemówił z karaibskim akcentem, wydobywając z kieszeni małą latarkę:

- Miło, że do nas wróciłeś, James. A teraz spójrz na światło i spróbuj podążać za nim wzrokiem.

James posłusznie wodził oczami za plamą światła poruszającą się przed jego twarzą.

- Znakomicie - powiedział z uśmiechem pielęgniarz, a potem wcisnął kilka guzików na stojącym przy łóżku urządzeniu monitorującym.

Maszyna zaszumiła i wypluła zadrukowaną papierową wstęgę.

- Wygląda nieźle - mruknął pielęgniarz, marszcząc brwi nad wydrukiem. - Jak się czujesz?

James wzruszył ramionami.

- Trochę przytłumiony. Jakbym był owinięty watą czy czymś.

- Coś jeszcze?

- Boli mnie nos i umieram z głodu.

Laura spojrzała na pielęgniarza.

- Nic mu nie będzie?

Mężczyzna pokiwał głową.

- Będzie skołowany przez następnych kilka godzin, ale puls i natlenienie krwi ma w porządku. Niedługo powinien przyjść doktor Packard i pewnie zażyczy sobie jeszcze kilku badań, ale moim zdaniem wszystko wygląda dobrze.

- Kiedy przylecieliście do Helsinek, miałeś niebezpiecznie niski poziom tlenu we krwi - wyjaśniła Laura. - Bali się, że dojdzie do uszkodzenia mózgu.

- Lecę już, wpadnę jutro - rzuciła niespodziewanie Kerry, kiedy pielęgniarz wyszedł z sali.

- Nie możesz zostać trochę dłużej? - jęknął James.

Kerry potrząsnęła głową.

- Jest północ. Miałam wyjść już dziesięć minut temu. Taksówkarz pewnie toczy pianę z pyska.

- No to dobranoc - westchnął James, patrząc, jak Kerry niechętnie posuwa się w stronę drzwi. Po chwili zwrócił się do Laury. - A ty?

- Neeee - zabrzczała, kręcąc głową. - Będę tu siedzieć tak długo, jak zechcesz. Wczoraj, jak cię przywieźli, powiedziałam im,



że nie wychodzę ze szpitala, chyba że razem z tobą. Zara była na mnie zła, ale kiedy... - Laura przerwała, żeby stłumić szloch. - Kiedy...

James wysunął rękę spod kołdry i położył siostrze dłoń na kolanach.

- Najpierw, jak zaginałeś, to tak się bałam... - załkała Laura. - Potem cię znaleźli i było w porządku, ale potem powiedzieli, że było awaryjne lądowanie i że ciągle tracisz przytomność, i że nie wiedzą, jak bardzo jesteś ranny... No więc jak tu wróciłeś, to ja powiedziałam Zarze, że nie odejdę od twojego łóżka, a jak spróbują mnie stąd wywlec, to będę wrzeszczeć i wierzczać.

James poczuł, że oczy zachodzą mu łzami.

- Już dobrze, siostrzyczko, nic mi nie jest.

- Wiem, że mamy własnych przyjaciół i w ogóle, James, ale między nami to coś wyjątkowego. Tak było zawsze, nawet kiedy mama jeszcze żyła. Pamiętam, jak kiedy jeszcze ledwo umiałam chodzić, wkurzałeś się, bo wszędzie za tobą łąziłam.

Gdyby nie kroplówki, cewniki, siniaki oraz kompletny brak energii, James usiadłby i przytulił siostrę do serca.

- Rodzeństwa są dziwne - chlipnął. - Jakimś cudem potrafią kochać się na zabój, choć na co dzień doprowadzają się do szału.

## 13. ŚLEDZTWO

Dwa dni po operacji James wciąż leżał w szpitalu, powoli odchodząc od zmysłów. Sińce i obrzęki zmniejszyły się. Zdjęto mu wszystkie rurki i czujniki. Mógł już normalnie jeść, a nawet korzystać z toalety na korytarzu. Laura zgodziła się wrócić do kampusu, kiedy przekonała się, że jej brat z wolna dochodzi do siebie, ale wciąż jeździła do szpitala codziennie po lekcjach, zwykle w towarzystwie Kerry oraz dwóch kolegów Jamesa.

Najgorzej było za dnia. James oglądał telewizję, grał na PSP i przeglądał pisma motocyklowe, jednak samotność okropnie mu doskwierała, dlatego szczerze się ucieszył, kiedy po lunchu odwiedzili go Zara i Ewart Askerowie.

Zara - która nosiła się elegancko, odkąd została prezesem - była w szarym kostiumie w prążki, ale Ewart wyglądał tak samo jak zawsze. O dziesięć lat młodszy od swojej żony, przyszedł w pościętych dżinsach i koszulce Planeta mała.

- Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? - uśmiechnął się James, kiedy para opadła na zielone fotele przy jego łóżku.

Zaczął Ewart.

- Przesłuchiwałem nagrania, które zrobiłem wczoraj, kiedy rozmawialiśmy o misji, i... naprawdę nie ma sposobu, żeby powiedzieć to delikatniej, James, ale nie bardzo wiemy, w ile z twojego zeznania możemy uwierzyć.

James był wstrząśnięty.

- Twierdzenie, że nakłamałem?

Zara potrząsnęła głową.

- Nie tyle nakłamałeś, ile przekłamałeś, James. Zostałeś ciężko pobity, spędziłeś noc na mrozie i działałeś pod ogromną presją.

Ewart przejął pałeczkę.

- Chodzi o to, James, że dwoje świetnych agentów operacyjnych nie żyje. Omawiałem sytuację z szefami MI5. Oni nie kupują twojej wersji; nie wierzą, że Borys i Ajla zginęli po zamordowaniu Denisa Obidina.

- Ewart, mówiłem ci już wczoraj. Gość z CIA zabrał mnie do swojej kryjówki, położył laptop na kolanach i pokazał całe zajście na wideo.

- Jesteś absolutnie pewien, że na filmie byli Borys i Ajla?

James cmoknął z irytacją.

- No pewnie, że tak. Zanim wyszli, widziałem, jak się ubierali. Mieli te same ciuchy i wszystko...

Ewart pokiwał palcem.

- Ale w zeznaniu, które nagrałem wczoraj, powiedziałeś, że miałeś pulsujący ból głowy, zapuchnięte oczy, a obraz był niewyraźny. Zatem czy naprawdę możesz być pewny?

- Czułem się marnie - przyznał James - ale nie oślepiłem. To był zapis z kamery przemysłowej, owszem, czarno-biały i trochę niewyraźny, tak samo jak każdy zapis z przemysłówki, jaki kiedykolwiek widziałem.

- Zatem rozpoznałeś Borysa i Ajlę na filmie bez cienia wątpliwości - powiedziała Zara.

Ewart wtrącił się, zanim James zdążył odpowiedzieć.

- Zdaniem MI5 film, który ci pokazano, był dokładnie tym, co CIA, czy ktokolwiek, dla kogo naprawdę pracuje ten... Partridge, chciał, żebyś zobaczył. To mogła być inscenizacja z aktorami albo prawdziwy zapis przetworzony za pomocą komputerów.

- Nno... niby tak - powiedział z namysłem James. - Wiem tylko, że dla mnie to wyglądało autentycznie, i jak rozumiem, udało

się potwierdzić, że Borys, Ajla i Denis nie żyją.

Ewart skinął głową.

- To fakt.

- Nie możecie skontaktować się z CIA i postarać o ten film? - zapytał James.

Zara uśmiechnęła się.

- James, na pewno spróbujemy, ale to delikatna sprawa. Nie możemy po prostu zadzwonić do kwatery głównej CIA i powiedzieć: „Hej, jesteśmy bandą brytyjskich szpiegów, którzy oficjalnie nie istnieją. Słuchajcie, w sprawie tej waszej supertajnej operacji w północnej Rosji...”.

- Dobra, dobra, wiem. - James pokręcił głową. - Ale Amerykanie to nasi sojusznicy, tak? Pracowałem już z CIA i FBI dwa lata temu w Arizonie.

- Świat wywiadu nie jest czarno-biały, James - powiedział Ewart. - W niektórych wypadkach, jak w sprawie Arizona Max, interesy Brytyjczyków i Amerykanów pokrywają się i wtedy pracujemy razem. W Aerogrodzie sytuacja jest bardziej pogmatwana. Denis Obidin był ważną figurą w rosyjskim przemyśle lotniczym. Jego kontrakt z Hilton Aerospace na montaż brytyjskich silników i serwis rosyjskich samolotów jest wart miliardy. Choć obroty spadają, wielkie amerykańskie koncerny lotnicze nadal z radością przejęłyby ten interes, by zaistnieć na rosyjskim rynku lotniczym.

- No właśnie, pomyśl - podjęła Zara. - Gdyby dwoje brytyjskich agentów faktycznie wtargnęło do gabinetu Denisa Obidina i zamordowało go, z łatwością mogłoby to pchnąć kilka lukratywnych kontraktów obronnych w ręce Amerykanów. CIA nie miałyby nic przeciwko temu, by Rosjanie uwierzyli w taką wersję.

- No... chyba tak. - Argumenty Zary nie do końca trafiły Jamesowi do przekonania. - To, co mówicie, nie jest niemożliwe, ale

co, jeśli ten kolo z CIA mówił prawdę, a MI5 ściemnia i nie chce przyznać się do winy? Zara pokiwała głową.

- Na razie tylko gromadzimy dowody. Nie czynimy założeń i niczego nie wykluczamy.

- A zresztą dlaczego my, Brytyjczycy, jesteśmy tacy chętni do robienia interesów z Obidinami? - ciągnął James. - Myślałem, że celem mojej misji było zebranie wystarczających haków na Obidina, by posłać go za kratki za nielegalny handel bronią.

- Oczywiście, że zależało nam na dowodach - uśmiechnął się Ewart. - Ale MI5 ugrałaby więcej, gdyby użyła ich do szantażowania Obidina. W ten sposób skłoniliby go, by przestał sprzedawać broń ludziom, których nasz rząd nie lubi, przy okazji zaklepując trzy tysiące ciepłych posadek dla Brytyjczyków.

James zmarszczył brwi.

- Trefna sprawa.

Zara skinęła głową.

- Masz słuszość, ale rosyjskie sądy bywają równie skorumpowane jak policja. Nawet gdybyśmy przedstawili żelazne dowody przeciwko Obidinowi, nie mamy żadnej gwarancji, że przepukieni sędziowie go nie uniewinnią.

Znów odezwał się Ewart.

- Niepokoi mnie także inny aspekt twojego zeznania...

- Hola, zaraz - zdenerwował się James. - Jakim cudem nagle zrobiło się z tego zeznanie? Wczoraj wieczorem przyszedłeś do mnie na niby to normalną wizytę i spytałeś, czy czuję się na siłach, żeby odpowiedzieć na kilka pytań. Powiedziałeś też, że nagrasz rozmowę, żebyś nie musiał wszystkiego zapisywać. Myślałem, że robimy normalny raport kooperacyjny, ale teraz wypytyjesz mnie o dodatkowe rzeczy, gadając jak prawnik i rozkładając na części wszystko, co powiedziałem.

- James, musimy przeprowadzić gruntowne dochodzenie i ustalić, co poszło nie tak - powiedziała Zara. - Dwoje agentów nie żyje, a ty cudem wyszedłeś z tego cało. Nie twierdzimy, że kłamiesz, ale nie możemy po prostu tego zostawić i udawać, że nic się nie stało. Ewart ma dokładnie zbadać każdy aspekt misji w Aerogrodzie. Rzecz jasna, będzie szukał dowodów potwierdzających twoją wersję, ale poza tym musi zachować bezstronność, a to oznacza, że będzie musiał przyjrzeć się twojemu postępowaniu podczas wykonywania zadania i zadać ci kilka trudnych pytań.

James wzruszył ramionami i odpowiedział zmęczonym głosem:

- Cóż, czy postanowicie mi uwierzyć, czy nie, wszystko, co powiedziałem wam wczoraj, uważam za szczerą prawdę.

Zara wyprostowała się w fotelu i przybrała surowy ton.

- Chodzi o to, James - i przyszedłem tu dziś z Ewartem, bo chciałem powiedzieć ci to osobiście - że CHERUB musi wyjść z tego bielszy niż śnieg. Oprócz dochodzenia Ewarta MI5 prowadzi własne śledztwo dotyczące wydarzeń w Aerogrodzie i obie organizacje mają złożyć raport ministrowi wywiadu najszybciej, jak to możliwe. Do tego czasu zmuszona jestem tymczasowo anulować twój status aktywnego agenta CHERUBA.

- Co?! - James zachłysnął się z gniewu. - Po wszystkim, co tam przeżyłem? Jaja sobie robicie?!

- Nikomu z nas to nie pasuje, James, ale do czasu zakończenia dochodzenia i zwolnienia cię z wszelkiej odpowiedzialności nie mam innego wyboru, jak tylko cię zawiesić.

- Ale ja nic nie zrobiłem!

- To nie jest kara, James - powiedziała Zara łagodnie.

- Co za gówno!

- Hej, licz się ze słowami! - zawołał Ewart.

- Daj spokój, Ewart - poprosiła Zara. - James, wiem, że to dla ciebie paskudna sytuacja, ale wszyscy musimy stosować się do pewnych zasad. Jedna z tych zasad głosi, że nie możemy wysyłać na misję agentów, których postępowanie podczas poprzedniej misji jest przedmiotem dochodzenia.

- Omal tam nie zginąłem! - wrzasnął James. - Najpierw wystawili mnie zdrajcy z MI5, a teraz wy?

- James, naprawdę mi przykro - powiedziała Zara. - Masz prawo być zdenerwowany, ale uwierz mi, nikogo nie próbujemy wystawić...

- Wiecie co? Chrzanić to. Dlaczego miałbym nadstawiać karku w kolejnej misji dla ludzi, którzy mi nie ufają i nie zamierzają trzymać mojej strony? Odchodzę. Wyślijcie mnie do jakiegoś domu dziecka i dobranoc.

- Dajże już spokój, James - zirytowała się Zara. - Wiem, że to może wyglądać, jakbyśmy kopali leżącego, ale spróbuj spojrzeć na to z szerszej perspektywy. Dochodzenie potrwa pewnie miesiąc lub dwa, a ty i tak nie pojechałbyś na kolejną długą misję, dopóki nie doszedłbyś do siebie i odrobił zaległości w nauce. Wpływ, jaki zawieszenie wywrze na przebieg twojej kariery, prawdopodobnie będzie minimalny.

James zastanawiał się przez chwilę.

- Może to i prawda, ale wszyscy w kampusie będą wiedzieli, że jestem podejrzany, a poza tym wiem, jak takie sprawy lubią się ciągnąć. Teraz mówisz miesiąc, dwa, ale równie dobrze mogą być cztery albo pięć.

Ewart przewrócił oczami.

- James, nie jesteś pierwszym agentem zawieszonym z powodu dochodzenia i założę się, że ostatnim także nie.

- Ponadto - dorzuciła Zara - jeśli odejdziesz, skończysz w jakiejś zwyczajnej szkole, bez przyjaciół i nawet połowy wyposażenia, jakie masz w kampusie.

- Pewnie masz rację - westchnął James. - Przepraszam, nie chciałem wam ubliżyć. Po prostu potrzebne mi to jak dziura w głowie, zwłaszcza po wszystkim, co przeżyłem przez ostatni tydzień.

Zara sięgnęła do torby, którą przyniosła ze sobą, i wyjęła duże pudełko drogich czekoladek.

- Zestaw kontynentalny - powiedziała z uśmiechem. - Kerry powiedziała, że je lubisz. To osobisty prezent od Ewarta i ode mnie. Drugi jest od CHERUBA.

James wziął bombonierkę, a Zara jeszcze raz sięgnęła do torby, by wydobyć z niej pudełko ozdobione logo Apple.

- Nie bardzo znam się na tych rzeczach – powiedziała tonem usprawiedliwienia. - Kerry wspomniała, że chciałeś mieć iPoda do biegania. Dałam to wczoraj Kyle'owi, żeby wgrał ci trochę muzyki i kilka książek audio, żebyś się nie nudził.

James ucieszył się z prezentów, choć pozostawiły po sobie posmak goryczy: miał dziwne wrażenie, że jest przekupywany.



## 14. PYTANIA

Dwa tygodnie później

James zszedł ze szlaku przełajowego i sprintem przeciął boisko piłkarskie, kierując się do tylnego wejścia głównego budynku kampusu. Przez większą część poprzednich trzech dni padał deszcz, więc nogi miał upstrzone bryzgami błota. Dotarłszy do podwójnych drzwi, spojrzął na swój sportowy zegarek i przeleciał przez zapisy: czas dwadzieścia dwie minuty i siedemnaście sekund, dystans pięć kilometrów i trzydzieści metrów, puls sto trzydzieści dziewięć uderzeń na minutę. Tylko pół minuty zabrakło mu do osobistego rekordu, a ten ustanowił przecież, kiedy grunt był twardy.

Kiedy oparł się o ścianę, by ściągnąć przemoczone adidasy, zauważył Kyle'a i Shaka nadbiegających przez boisko jego śladem. W pierwszym odruchu postanowił poczekać, ale miał przepoconą do suchej nitki koszulkę i nie chciał się przeziębować.

Tylny korytarz na parterze pachniał parnym powietrzem sączącym się z kampusowej pralni. Na windę zawsze czekało się wieki, a James czuł się rześko, więc ruszył truchtem w stronę schodów.

- Panie Adams... - powiedział ktoś surowym tonem.

James zmartwił, kiedy odwróciwszy się, ujrzał swojego nauczyciela geografii, pana Norwooda. Norwood był ekscherubinem grubo po trzydziestce. Jak wielu pracowników CHERUBA, którzy

nie mieli rodzin, mieszkał w apartamencie na czwartym piętrze głównego budynku. Podszedł do Jamesa, trzymając plastikowy kosz na pranie wypełniony złożonymi koszulami i dżinsami.

- Biegamy sobie, jak widzę - uśmiechnął się nauczyciel, spoglądając na ubłocone buty zwisające na środkowym i wskazującym palcu Jamesa.

- Tak, proszę pana.

Pan Norwood postukał się palcami w brodę w udanym zamyśleniu.

- Ciekawe, bo mam wrażenie, że wspominałeś coś o tym, że wciąż dochodzisz do siebie. Powiedziłeś mi, że kazano ci się oszczędzać i przez jakiś czas nie przemęczać się pracą domową.

James starał się być szczery.

- To prawda, panie psorze. Omal nie zginąłem.

Przez podwójne drzwi wtargnęli do holu roześmiani Kyle i Shakeel.

- Śmignąłeś nam jak sam szatan, stary - wyszczerzył się Kyle, poklepując Jamesa po plecach.

Pan Norwood spojrzał na Kyle'a.

- James jest w niezłej formie, prawda, chłopcy?

Kyle i Shak gorliwie pokiwali głowami.

- Ma silne nogi - powiedział Kyle. - Na równym nie jest taki szybki, ale jak podbiegaliśmy pod ostatnią górkę, przeleciał koło nas jak wariat.

Koledzy Jamesa poszli dalej i James odwrócił się, by pobic za nimi.

- Miło się gawędziło, panie Norwood - rzucił pospiesznie za siebie. - Lepiej wezmę prysznic, zanim zasmrodzę cały budynek.

- Do widzenia, James - odrzekł sucho nauczyciel. - Widzę cię we wtorek rano razem z twoją pracą o ekosystemach lasów tropikalnych.

- Panie profesorze, ja wciąż mam bóle głowy.

Pan Norwood wzruszył ramionami.

- Daję ci wybór, James: albo przyniesiesz pracę, albo zwolnienie z pracy domowej napisane przez twoją opiekunkę.

James zrozumiał, że przegrał.

- W porządku, przyniosę pracę - mruknął zrezygnowanym tonem.

- I wiesz co, James, nie podoba mi się, że próbujesz mnie naciągać.

James powlókł się w kierunku klatki schodowej. Na półpiętrze natknął się na Kyle'a i Shaka pękających ze śmiechu.

- Przechlap, nie? - wyszczerzył się Shak.

- Zamknij się - warknął James. - Zresztą mam to gdzieś. To tylko jakiś gówniany test, a w mojej klasie jest Kerry. Przepiszę od niej i po sprawie.

- Super - ucieszył się Shak. - Ja też mam lekcje z Norwoodem, dasz mi przepisać od siebie?

Dotarliszy do swojego pokoju na szóstym piętrze, James zauważył, że automatyczna sekretarka mruga na niego kontrolką. Trzepnął przycisk odtwarzania i zaczął szykować się do kąpieli, odsłuchując wiadomości.

- Masz dwie nowe wiadomości. Pierwszą wiadomość otrzymano dzisiaj o dziewiątej siedemnaście.

James rozpoznał głos Ewarta:

- Cześć, James. Słuchaj, wiem, że jest sobota, ale znowu dzwoniли do mnie z MI5. Chcą, żebyś przyjechał do Londynu i odpowiedział jeszcze na kilka pytań. Jeśli nie masz nic przeciwko, to spróbuję ustawić wszystko na czwartek.

James jęknął, ciskając przepoconą koszulkę na podłogę.

- Jakich znowu pytań?! Byłem tam już dwa razy.

James miał prawo odmówić współpracy ze śledczymi, ale nie wyglądałoby to dobrze w jego aktach. Zresztą plusem czwartku w

Londynie było to, że oddalał o kilka dni termin oddania pracy zaliczeniowej z historii.

- Drugą wiadomość otrzymano dzisiaj o jedenastej trzydzieści siedem.

- James, tu Meryl. - Ostry ton głosu opiekunki sugerował wzburzenie. - Chcę widzieć twój smutny tłusty tyłek w sali konferencyjnej na drugim piętrze, jak tylko skończysz biegać i weźmiesz prysznic. I nie zwracaj sobie głowy czystymi ciuchami.

- Nie ma więcej wiadomości. Aby odsłuchać ponownie tę wiadomość, wciśnij jeden. Aby odsłuchać ponownie wszystkie...

James wyłączył sekretarkę, potrząsnął głową z rezygnacją i uniósłszy ubłocone szorty z podłogi na dużym palcu stopy, cisnął je do kosza z brudną bielizną, chybiając dosłownie o włos. Wszedł pod prysznic, łamiąc sobie głowę, dlaczego Meryl jest taka wściekła. Pan Norwood nie zdążyłby się jej poskarżyć w czasie, gdy James wbiegał po schodach, a zresztą wiadomość Meryl pochodziła sprzed ponad godziny. Cokolwiek nabroił, suggestia, by założył stare ubranie, była złym znakiem. To mogło oznaczać czyszczenie kuchenek, kopanie rowów albo inny równie przyjemny sposób spędzenia sobotniego popołudnia.

\*

Dwa piętra wyżej Laura Adams właśnie skończyła poranne lekcje, co wprawiło ją w wyśmienity humor. Wróciwszy do siebie, włączyła miniwieżę, zwiększyła głośność do poziomu ryku, po czym wyrzuciła na łóżko zawartość szafki z ubraniami i zaczęła pakować walizę na kółkach, kiwając głową przy dźwiękach System Of A Down.

Omali nie wyskoczyła ze skóry, kiedy tuż przy jej uchu rozległ się głos mężczyzny.

- Przepraszam! - zawołał niespodziewany gość. - Pukałem trzy razy!

To był John Jones, koordynator misji o lśniącym łysym kopu-  
stej czaszce, który pracował z Laurą i Jamesem podczas kilku  
poprzednich operacji. Miał na sobie elegancki brązowy garnitur z  
kamizelką nadającą mu wygląd prowincjonalnego dżentelmena.

Laura przyskoczyła do miniwieży i wyłączyła muzykę.

- Przepraszam, John. Ale mnie przestraszyłeś.

- Wolę Elvisa - uśmiechnął się John. - Dokąd się wybierasz?  
Miałem nadzieję, że pomożesz mi w jednej misji.

- Och... Nie będzie mnie tylko jeden dzień. Jedziemy ze zna-  
jomymi na jedną noc do hotelu ze spa.

- Świetnie - powiedział John. - Chciałbym mieć kogoś na  
miejscu najszybciej, jak to możliwe, ale chyba mogę poczekać  
dzień czy dwa. Potrzebuję młodej agentki władającej rosyjskim  
na przyzwoitym poziomie i zdolnej do pracy w pojedynkę.  
Szczercie mówiąc, według mnie jesteś jedyną kandydatką, na któ-  
rej mogę całkowicie polegać.

- Eee, no tak, dzięki. - Laura zmieszała się nieco, słysząc ten  
komplement. - W sumie na razie niczego mi nie przydzielono. To  
jak, mam przyjść do twojego biura w poniedziałek rano czy...?

- Nie - powiedział John, wyjmując z kieszeni rulon spiętych  
zszywaczem kartek formatu A4. - Mam ze sobą fotokopię wpro-  
wadzenia. Zadanie nie jest bardzo skomplikowane, ale sam mam  
młodszą córkę i rzecz dotyczy sprawy, która porusza mnie szcze-  
gólnie mocno.

- A o czym właściwie mówimy? - zapytała Laura.

- O handlu ludźmi.

\*

**\*\*TAJNE\*\***

**WPROWADZENIE DO ZADANIA**

**DLA LAURY ADAMS.**

**DOKUMENT CHRONIONY ELEKTRONICZNIE: KAŻDA  
PRÓBA WYNIESIENIA GO Z CENTRUM PLANOWANIA  
MISJI SPOWODUJE URUCHOMIENIE ALARMU**

## **NIE KOPIOWAĆ, NIE SPORZĄDZAĆ WYPISÓW.**

### **HANDEL LUDŹMI I NIEWOLNICTWO**

WZMIANKA O NIEWOLNICTWIE PRZYWODZI NA MYŚL WIZJE AFRYKANÓW PRZEWOŻONYCH STATKAMI DO KOLONII W AMERYKACH W XIX W. NIEWIELE OSÓB ZDAJE SOBIE SPRAWĘ, ŻE PROBLEM TEN WCIĄŻ JEST ŻYWY, ZARÓWNO W BOGATYCH, JAK I BIEDNYCH KRAJACH. RAPORT ONZ Z 2004 R. STWIERDZA, ŻE NIEWOLNICTWO JEST NA TRZECIM MIEJSCU WŚRÓD NAJWIĘKSZYCH ŹRÓDEŁ NIELEGALNYCH DOCHODÓW, ZARAZ PO HANDLU NARKOTYKAMI I BRONIĄ. CO WIĘCEJ, HANDEL LUDŹMI ROZPOWSZECHNIA SIĘ TAK SZYBKO, ŻE W CIĄGU NAJBLIŻSZYCH DWUDZIESTU LAT MOŻE STAĆ SIĘ NAJBARDZIEJ DOCHODOWYM PRZESTĘPCZYM PROCEDEREM NA ŚWIECIE.

**NIEWOLNICTWO WE WSPÓŁCZESNYM ŚWIECIE** NOWOCZESNE NIEWOLNICTWO PRZYJMUJE WIELE FORM. NAJCZĘSTSZY SCHEMAT POLEGA NA TYM, ŻE LUDZIE UBODZY - ZWYKLE DZIECI LUB MŁODZI DOROŚLI - SĄ PORYWANI ALBO PODSTĘPEM NAKŁANIANI DO WYJAZDU W BOGATSZE REJONY ŚWIATA, GDZIE NASTĘPNIE WIĘZI SIĘ ICH I ZMUSZA DO PRACY WBREW ICH WOLI.

W BIEDNYCH KRAJACH CZĘSTO ZDARZA SIĘ, ŻE DZIECI SĄ PORYWANE I ZMUSZANE DO HARÓWKI W OBOZACH PRACY, WALKI W DZIECIĘCYCH ODDZIAŁACH BOJOWYCH ALBO PRACY W SEKSIBIZNESIE. NIEKIEDY UBODZY RODZICE DOBROWOLNIE PRZEKAZUJĄ DZIECI W OPIEKĘ LUDZI, KTÓRZY OBIECUJĄ IM LEPSZE ŻYCIE W INNYCH CZĘŚCIACH ŚWIATA. INNI ODDAJĄ SVOJE DZIECI ORGANIZACJOM PRZESTĘPCZYM, SPŁACAJĄC W TEN SPOSÓB SVOJE ZOBOWIĄZANIA; ZASTRASZANI, ZA BARDZO SIĘ BOJĄ, BY SKARŻYĆ SIĘ POLICJI. SZOKUJĄCY JEST FAKT, ŻE WIELU MAŁOLETNIICH NIEWOLNIKÓW TO DZIECI ULICY ALBO SIEROTY SPRZEDANE SVOIM OPRAWCOM PRZEZ PRAWNIKÓW POLICJI BĄDŹ OPIEKI SPOŁECZNEJ.

W BOGATYCH PAŃSTWACH, TAKICH JAK WIELKA BRYTANIA I STANY ZJEDNOCZONE, OGROMNĄ WIĘKSZOŚĆ OFIAR NIEWOLNICTWA STANOWIĄ NASTOLATKI ZMUSZANE DO PROSTYTUCJI I PRACY W PRZEMYSŁE PORNO-

GRAFICZNYM. MŁODE DZIEWCZĘTA Z BIEDNIEJSZYCH KRAJÓW, NIEKIEDY NAWET DWUNASTOLETNI, SĄ PRZEMYCANE DO WIELKIEJ BRYTANII, BITE, TERRORYZOWANE, CZĘSTO ODURZANE HEROINĄ LUB INNYMI NARKOTYKAMI, BY NIE STAWIAŁY OPORU, A NASTĘPNIE ZMUSZANE DO UPRAWIANIA SEKSU ZA PIENIĄDZE.

PROBLEM JEST BARDZO POWAŻNY. SZACUJE SIĘ, ŻE W ZJEDNOCZONYM KRÓLESTWIE W SEKSBIZNESIE PRACUJE NIEWOLNICZO PONAD DWADZIEŚCIA PIĘĆ TYSIĘCY OSÓB (W UNII EUROPEJSKIEJ PIĘCSET TYSIĘCY) I ŻE PONAD DZIEWIĘDZIESIĄT PROCENT Z NICH STANOWIĄ DZIEWCZĘTA PONIŻEJ DWUDZIESTEGO ROKU ŻYCIA. WIELE Z OWYCH DZIEWCZĄT POCHODZI Z AZJI I AFRYKI, ALE WIĘKSZOŚĆ PRZESZMUGLOWANO Z ROSJI I BIEDNIEJSZYCH REJONÓW EUROPY WSCHODNIEJ.

### **ZADANIE CHERUBA**

NA POCZĄTKU WRZEŚNIA PODCZAS SZTORMU NA KANAŁE LA MANCHE SZYBKI PROM PASAŻERSKI ZDERZYŁ SIĘ Z NIEWIELKIM JACHTEM MOTOROWYM. CHOĆ JACHT ZOSTAŁ POWAŻNIE USZKODZONY, JEGO DOWÓDCA ODMÓWIŁ PRZYJĘCIA POMOCY I ZBIEGŁ Z MIEJSCA WYPADKU.

Z POWODU ZŁEJ POGODY ZASOBY WSZYSTKICH SŁUŻB POSZUKIWAWCZO-RATOWNICZYCH BYŁY WYKORZYSTANE W STU PROCENTACH. WŁADZE NIE BYŁY W STANIE ŚLEDZIĆ JACHTU, ALE KILKA GODZIN PÓŹNIEJ FUNKCJONARIUSZKA SŁUŻB CELNYCH NA PATROLU ZAUWAŻYŁA ŁÓDŻ ZACUMOWANĄ PRZY NIEWIELKIM MOŁO DWA KILOMETRY OD NADMORSKIEGO MIASTECZKA WORTHING.

ZRAZU JACHT WYDAWAŁ SIĘ OPUSZCZONY, ALE BLIŻSZA INSPEKCJA UJAWIŁA DWUNASTOLETNIĄ DZIEWCZYNKĘ UWIĘZIONĄ NA KOŃCU MOŁA. DWOJE FUNKCJONARIUSZY CELNYCH STAWIŁO CZOŁO FALOM PRZELEWAJĄCYM SIĘ PRZEZ POMOST I Z NARAŻENIEM ŻYCIA SPROWADZIŁO MAŁĄ NA BRZEG.

FUNKCJONARIUSZE PODEJRZEWALI, ŻE DZIEWCZYNKĘ PRÓBOWANO PRZEMYCIĆ DO PRACY W SEKSBIZNESIE I PODCZAS PRZESZUKANIA ŁÓDZI PRZEPROWADZONEGO WKRÓTCE PO UCICHNIĘCIU SZTORMU ZNALEZIONO ODZIEŻ I OSOBISTE PRZEDMIOTY NALEŻĄCE DO DZIESIĘCIU DZIEWCZĄT W WIEKU KILKUNASTU LAT I MŁODSZYCH.

URATOWANA DZIEWCZYNIKA OD WRZEŚNIA PRZEBYWA W DOMU DZIECKA POD BRIGHTON. BYŁA PRZESŁUCHIWANA PRZEZ POLICJĘ I OPIEKĘ SPOŁECZNĄ, ALE UPARCIE ODMAWIA PODANIA JAKICHKOLWIEK INFORMACJI POZA TYM, ŻE MA NA IMIĘ ANNA.

POLICJA NIE ZDOŁAŁA WYTROPIĆ LUDZI, KTÓRZY ZORGANIZOWALI PRZERZUT ANI ŻADNEJ Z POZOSTAŁYCH DZIEWCZĄT PRZEWOŻONYCH USZKODZONYM JACHEM. CHOĆ DOCHODZENIOM DOTYCZĄCYM HANDLU LUDŹMI ZAWSZE PRZYJNAJE SIĘ WYSOKI PRIORYTET, TA SPRAWA SZCZEGÓLNIENIE NIEPOKOI POLICJĘ, PONIEWAŻ UWAŻA SIĘ, ŻE NAWET POŁOWA PRZEMYCANYCH DZIEWCZĄT MIAŁA MNIEJ NIŻ CZTERNAŚCIE LAT I PRAWDOPODOBNIENIE ZOSTAŁA SPRZEDANA PEDOFILSKIM GANGOM.

JAK DOTĄD WSZELKIE PRÓBY DOWIEDZENIA SIĘ CZEGOKOLWIEK OD ANI SPEŁZYŁY NA NICZYM, JAKKOLWIEK PSYCHOLOGOWIE WYRAŻAJĄ NADZIEJĘ, ŻE DZIEWCZYNIKA OTWORZY SIĘ PRZED ZAUFANĄ PRZYJACIÓŁKĄ.

CHOĆ ANIA MÓWI PO ANGIELSKU CORAZ LEPIEJ, UZNANO, ŻE NAJWIĘKSZĄ SZANSĘ NA ZDOBYCIE JEJ ZAUFANIA I WYDOBYCIE INFORMACJI ZARÓWNO O NIEJ, JAK I GANGU, KTÓRY PRZESZMUGŁOWAŁ JĄ DO WIELKIEJ BRYTANII, BĘDZIE MIAŁA DZIEWCZYNIKA W WIEKU JEDENASTU DO TRZYNASTU LAT, DOBRZE WŁADAJĄCA JĘZYKIEM ROSYJSKIM.

ZOSTANĄ POCZYNIONE PRZYGOTOWANIA UMOŻLIWIAJĄCE FUNKCJONARIUSZCIE CHERUBA WPROWADZENIE SIĘ DO DOMU DZIECKA W BRIGHTON I ZAMIESZKANIE W JEDNYM POKOJU Z ANIĄ. ZADANIEM AGENTKI BĘDZIE ZASKARBNIENIE SOBIE WZGLĘDÓW DZIEWCZYNIKI I ZDOBYCIE JAK NAJWIĘKSZEJ ILOŚCI INFORMACJI DOTYCZĄCYCH ANI ORAZ PRZEMYTNIKÓW.

**WAŻNE: KOMISJA ETYKI JEDNOGŁOŚNIE ZATWIERDZIŁA PLAN OPERACJI POD WARUNKIEM, ŻE WSZYSCY AGENCI PRZYJMĄ DO WIADOMOŚCI, CO NASTĘPUJE:**

ZADANIE ZAKWALIFIKOWANO DO KATEGORII NISKIEGO RYZYKA. AGENTCE PRZYPOMINA SIĘ, ŻE MA PRAWO ODMÓWIĆ WZIĘCIA UDZIAŁU W OPERACJI, JAK RÓWNIENIEŻ PRZERWAĆ WYKONYWANIE ZADANIA W KAŻDEJ CHWILI.

OPERACJA PRAWDOPODOBNIENIE NIE POTRWA DŁUŻEJ NIŻ MIESIĄC. JEJ GŁÓWNYM CELEM JEST ZDOBYCIE INFORMACJI BĘDĄCYCH W POSIADANIU



OFIARY PRZESTĘPSTWA. ZAGROŻENIE WOBEC AGENTKI NALEŻY  
UZNAĆ ZA MINIMALNE.

- Mój Boże - westchnęła Laura, przeczytawszy wprowadzenie.  
- Te biedne dziewczyny. Oczywiście, że biorę tę misję. Nie miałam pojęcia, że to taki problem. Myślałam, że prostytutki uprawiają seks, bo w ten sposób można zarobić kupę forsy. Nie wiedziałam, że są do tego zmuszane.

- Niestety, bardzo wiele z nich jest - powiedział John. - Od jakiegoś czasu sprawa jest trochę lepiej nagłaśniana, ale tak naprawdę ludzi wciąż nie obchodzi los tych kobiet. Otwierasz niedzielną gazetę i czytasz, że jakiś znany piłkarz przespał się z prostytutką. Większość facetów zarechocze i powie: „Tak trzymaj, synu”. Nie myślą o tym, że te kobiety często są szprycowane narkotykami i terroryzowane.

Laura skinęła głową.

- Założę się, że tak zachowałby się James i jego głupi koledzy. A właśnie: James. Muszę lecieć na dół. Mogę przedzwonić do ciebie później, żeby obgadać resztę?

- Niech będzie - zgodził się John, odwracając się za Laurą pędzącą już w stronę drzwi. - Będę w biurze jeszcze przez kilka godzin, a komórkę zostawię włączoną na całą noc. Nie bierzesz walizki?

- Nie teraz! - zawołała Laura i puściła się sprintem wzdłuż korytarza.

## 15. NIESPODZIANKA

James włókł się do sali konferencyjnej w nastroju zepsutym do reszty. Wciąż zachodził w głowę, czym zasłużył na cięgi od Meryl, ale nie przypominał sobie żadnych grzechów o kalibrze odpowiadającym wściekłości w jej głosie nagrany na automatyczną sekretarkę.

W konferencyjnej był do tej pory raz, kiedy musiał obejrzeć niewiarygodnie nudny film szkoleniowy o bezpiecznym stosowaniu odpornych na wszelkie ostrza kamizelek ochronnych. Pchnął drzwi i ze zdumieniem zauważył, że w pozbawionej okien sali panuje całkowita ciemność.

- Meryl? - zawołał niepewnie.

Nagle wszystkie świetlówki naraz zaczęły migotać, budząc się do życia. Spod konferencyjnego stołu dobiegł chóralny wrzask:

- Niespodziaaankaaa!

James drgnął i odwrócił się gwałtownie, by ujrzeć tuzin swoich kolegów i koleżanek gramolących się spod długiego blatu. Na ekran po drugiej stronie sali wypłynęła grafika przedstawiająca urodzinowy tort z piętnastką u dołu i napisem: PS: Sorka, że tak późno.

Kerry podeszła i pocałowała go w usta.

- Wszystkiego najlepszego, James.

Meryl wyszła z kąta za drzwiami, skąd obsługiwała włączniki światła.

- Widzę, że odebrałeś moją wiadomość.

Jamesowi opadła szczęka. Okręcił się na pięcie w stronę opiekunki i wycelował w nią palec.

- Tyyy...! - ryknął.

- Pewnie robiłeś w gacie, jak tu szedłeś - wyszczerzył się Bruce.

- Fakt - przyznał James. - I za nic nie mogłem sobie przypomnieć, co ja takiego zrobiłem.

Meryl pocałowała Jamesa w policzek i w tej samej chwili do sali wparowała Laura.

- Aaaa! - jęknęła, łapiąc się za głowę. - Nie zdążyłam! Jak wyglądał?

- To było niezłe - zachichotała Gabriella, najlepsza przyjaciółka Kerry. - Kompletnie go замуrowało.

- Wie już, co robimy? - zapytała Laura.

- To jeszcze nie koniec? - zainteresował się James.

Meryl uśmiechnęła się.

- O nie. Nie miałeś ostatnio lekkiego życia: pobili cię, zawiesili, a potem Ewart i pół MI5 posadzili cię na grillu. Dlatego Zara zasugerowała, żebyśmy sięgnęli do pokaznego zasobu punktów hotelowych CHERUBA i zabrali cię na magiczną tajemniczą wyprawę.

- Super, dokąd jedziemy?

- Gdybyśmy ci powiedzieli, nie byłoby tajemnicy - powiedziała Kerry, zerkając na zegarek. - Spakowałam cię już i lepiej ruszajmy, jeżeli mamy zdążyć.

\*

Na szczęście spośród dobrych kumpli Jamesa tylko bliźniaki Callum i Connor byli na misji. Laura, Rat, Kyle, Bruce, Kerry, Gabriella, Shak, Mo i nowy chłopak Gabrielli Michael wtoczyli się do minibusu razem ze swoimi torbami podróżnymi. Jakimś cudem Laura zdołała wydebić zaproszenie także dla Bethany, chociaż wszyscy wiedzieli, że James nienawidzi jej do bólu.

Kyle nagrał płytę z ulubioną muzyką Jamesa i towarzystwo puściło ją na cały regulator, podczas gdy Meryl powoziła z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, wiedząc, że nigdy nie dostanie mandatu w wozie zarejestrowanym na CHERUBA.

- Czapa - rozkazała Meryl, skręcając z autostrady.

W rękę Shaka pojawiła się wełniana kominiarka. Kerry i Laura przytrzymały solenizanta w fotelu i po chwili jego głowa znikła w czapce założonej w taki sposób, by otwory na oczy i usta znalazły się z tyłu.

- Swędzi - poskarżył się James, ale Kerry tylko dźgnęła go w zebra i powiedziała, żeby przestał jęczeć jak dziecko.

Zaczynało się ściemniać, kiedy wjechali na wysypany żwirem parking. James niewiele widział przez ciasny splot kominiarki, ale rozpoznał odległe brzęczenie dwusuwowych silników i miał nadzieję, że akcja ma coś wspólnego z motocyklami. W miarę jak prowadzono go przez parking, dźwięk był coraz głośniejszy. Za bramą ktoś bezceremonialnie zdjął mu z głowy kominiarkę.

Był nieco rozczarowany, gdy ujrzał rzęsiście oświetlony tor wyścigowy rozjeżdżany przez małe czterokołowe buggy. Nie chcąc okazać się niewdzięcznikiem, wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Ekstra! - zawołał, patrząc, jak jeden z samochodzików wyskakuje w powietrze, by wylądować z impetem w kałuży błota.

To dlatego Meryl kazała mu włożyć stare ciuchy. Nie były to wprawdzie motocykle, ale i tak zapowiadała się niezła frajda.

Poszli w stronę wiaty z blachy falistej osłaniającej kilka prostych ławek. Meryl ruszyła w stronę cherlawego nastolatka trzymającego podkładkę do pisania, otoczonego przez grupę pijanych karków w identycznych T-shirtach z napisem: „Weekend kawalerski Kevina Jonesa 2006”.

- Nie możecie jeździć w tym stanie - tłumaczył młodzieniec, ignorując pięć bojowo nadętych klat.

- No to oddawaj kasę.

- Kiedy nie mogę - jęknął nastolatek. - Wszystko jest w regulaminie, ale i bez tego nie trzeba być geniuszem, żeby wymyślić, że w takie miejsca jak to nie przychodzi się po pijaku.

- A zęby cię nie swędzą? - zapytał największy z pijanych. Mężczyźni wyglądali jak rugbyści i nawet najmniejszy z nich był dwa razy szerszy od nastolatka. Meryl przerwała im rozmowę.

- Dwanaście osób na nazwisko Spencer.

- Ale jazda, chłopaki! - zawołał jeden z karków. - To ta kenijska laska, która wygrała stumetrówkę na olimpiadzie. Moja siostra ma w sypialni twój plakat. Co powiesz na buziaczka?

- Co powiesz na sklepaną twarz? - odwarknęła Meryl.

Mężczyzna ściągnął usta jak do pocałunku i zatoczył się do przodu prosto na Meryl. Tymczasem z tyłu odezwał się największy z bandy.

- Eee tam, za bardzo żyłasta, żeby ją bzykać. Normalnie wygląda jak facet.

Meryl złapała napastującego ją koleśka za kciuk, wykręciła mu rękę za plecami i pchnięciem powaliła na ziemię przed olbrzymem, który nazwał ją facetem.

- Lepiej już idźcie - powiedziała sztywno.

- Nieładnie tak traktować dżentelmena - powiedział olbrzym oślisłym tonem, sięgając do pośladka Meryl, przy czym lubieżnie zatrzepotał wysuniętym językiem.

Meryl przez całe życie musiała znosić facetów nazywających ją babochłopem, pytających, jak często się goli i imputujących jej posiadanie jąder. Straciła cierpliwość i wykorzystała swoją mocną budowę ciała do poczęstowania natręta wybuchowym pchnięciem. Koleś zatoczył się dot yłu, potknął o krawężnik i wymachując

rękami w powietrzu, ciężko klapnął na ziemię.

- Dotknij mnie jeszcze raz, to zobaczysz, co z tobą zrobię! - krzyknęła Kenijka.

Pozostali czterej mężczyźni zaczęli wycofywać się w stronę parkingu, łypiąc wrogo na Meryl.

- Lesba! - huknął olbrzym, dołączając do kolegów.

- Byłabym nią, gdyby wszyscy faceci byli tacy jak wy! - odkrzyknęła Meryl.

Jej głos drżał z wściekłości i jedenaścioro cherubinów nagle przestało się śmiać. Kiedy odwróciła się w stronę nastolatka, chłopak wyglądał na wstrząśniętego.

- Nic ci nie jest? - zaniepokoiła się Meryl.

Nastolatek potrząsnął głową.

- Nienawidzę tej roboty. Nie uwierzycie, co muszę znosić za najniższą krajową. Szkoda, że nie poszedłem do Maca, miałbym znacznie mniej problemów.

- Tacy kolesie to straszne ciotki - powiedziała Kerry współczująco.

Nastolatek spojrział na nią.

- Babskie imprezy są jeszcze gorsze: banda przymilnych kur domowych mrużących, jakim to jesteś ślicznym chłopcem i próbujących uszczypnąć cię w tyłek.

James i Kyle mimo woli parsknęli śmiechem.

- No dobra - westchnął nastolatek, podnosząc do oczu podkładkę z dokumentami. - Powinniście wejść dopiero za dwadzieścia minut, ale wiszę wam przysługę za wypłoszenie tych idiotów, więc dam wam resztę ich czasu za friko. Bierzcie kaski, rękawice i jazda na tor.

\*

Samochodziki miały mniej niż dwa metry długości. Napędzane były małymi silniczkami od motoroweru, ale wyposażone w otwarte nadwozie z aluminiową klatką bezpieczeństwa nie ważyły nawet pięćdziesięciu kilo, dzięki czemu do maksymalnych

trzydziestu na godzinę rozpędząły się w niecałe trzy sekundy. Granitowo twarde zawieszenie, malutka kierownica i fotel wiszący piętnaście centymetrów nad ziemią sprawiały, że prędkość ta wydawała się znacznie wyższa.

- Zajebioza - wyszczerzył się James, ściągając kask i sięgając po jedną z wiszących przy torze szmatek, by przetrzeć szybkę.

Tak jak wszyscy Kerry była przemoczona i ochlapana błotem.

- Zamarzam - poskarżyła się, podskakując na palcach z dłońmi wciśniętymi pod pachy.

James zrobił zdziwioną minę.

- Nie podoba ci się?

Meryl i inni wysiadali ze swoich autek i kierowali się w stronę Jamesa i Kerry.

- Jest super - zaszczekała zębami Kerry. - Ale następnym razem zróbmy to dla kogoś, kto ma urodziny latem.

W ośrodku znajdowały się trzy tory, które zaliczało się po kolei. Pierwszym był błotnisty placyk z kilkoma niskimi górkami, gdzie jeździło się w kółko, przyzwyczajając do sprzętu. Drugi etap, który grupa z CHERUBA właśnie ukończyła, był próbą czasową, którą przechodziło się pojedynczo. Kręty tor zaczynał się łatwo, ale kończył trzema sporymi skoczniami, gdzie należało rozpędzić się do największej prędkości, inaczej lądowało się w głębokiej wodzie.

- Słuchajcie wszyscy, proszę o uwagę! - zawołał nastolatek, przyjmując z lekka oficjalny ton. - Podaję wyniki próby czasowej grupy pani Spencer. Na trzecim miejscu, z czasem siedmiu minut i szesnastu sekund, wóz numer osiem: James Adams.

Kilkoro cherubinów zaklaskało, ale grube rękawice tłumiły dźwięk, więc nie był to głośny aplauz.

- Na drugim miejscu, siedem minut, piętnaście i pół sekundy, wóz numer trzy: Meryl Spencer.

- Udławcie się, dzieciaczki! - zawołała Meryl.

- A zwyciężcą z czasem sześciu minut i trzydziestu sześciu sekund, jakiego nie powstydziliby się nasi stali bywalcy, została... Bethany Parker!

James skrzywił się z niesmakiem, kiedy nastolatek wręczył Bethany tandetny plastikowy puchar wart nie więcej niż piętnaście pensów.

- Mistrzynie świata! - zawołała Bethany, wznosząc puchar nad głową.

Gabriella pstryknęła jej zdjęcie komórką.

- Żebyś tak zdechła, ty głupia krowo - mruknął James do siebie.

Jednak Kerry i Mo, którzy stali najbliżej Jamesa, usłyszeli i zaczęli chichotać.

- Kochasz ją nad życie, co? - szepnął Mo.

- No dobra! - zawołał chłopak z obsługi. - Za chwilę otworzę bramę i przejedziecie na tor wyścigowy. Normalnie robi się dzieśięć okrążeń, ale mamy trochę dodatkowego czasu, więc dam wam piętnaście. Tym razem będziecie ścigać się wszyscy jednocześnie. Każdy, kto będzie zanadto agresywny, zobaczy czerwoną flagę i wtedy musi zjechać do boksów. Jakies pytania...? W porządku. Wracajcie do samochodów i pamiętajcie, żeby porządnie zapiąć pasy.

Dwanaście plażowych buggy z ogłuszającym warkotem przemknęło wąskim przejazdem na sąsiedni tor. Tam cherubini musieli chwilę poczekać, aż obsługa ściągnie do boksów uszkodzonego buggy z poprzedniego wyścigu i odbuduje barierę z opon.

Dwanaścioro zawodników ustawiło się na starcie w kolejności, w jakiej ukończyli próbę czasową. Oświetlony jupiterami tor był zbudowany na zboczach wzgórza i tuziny wyścigów codziennie



przemieniły go w błotniste bagno. James stanął na trzeciej pozycji, mając Meryl i Bethany przed sobą, a Kerry tuż obok.

Odwrócił się do niej i krzyknął ponad warkotem silników:

- Zniszczę cię, dziewczyno!

Kerry pokazała mu środkowy palec.

- Nie myśl, że pozwolę ci wygrać, bo dziś są twoje urodziny!

James przegazował silnik, kiedy zapaliły się trzy czerwone lampy, a kiedy zgasły, natychmiast pchnął dźwignię biegów na drive. Poczłł ostre szarpnięcie w przód: to Kyle - który musiał popełnić falstart - wjechał mu w tył.

Uderzenie dodało mu przyspieszenia, wypychając o pół długości samochodu przed Kerry. Niestety, wóz Bethany zabuksował w błocie i zaczął rosnać Jamesowi w oczach. James rzucił kierownicą w lewo, aby uniknąć kolizji, ale tym samym zjechał drogę Kerry, dociskając ją do pomalowanego w biało-czerwone pasy krawężnika.

Zanim wyswobodził się ze zwarcia z Kerry, dwa autka wyprzedziły go po zewnętrznej. Był jednak w lepszej pozycji do wejścia w pierwszy zakręt i wyszedł z niego, mając przed sobą tylko Meryl.

Następne dwa wiraże pokonał tuż za tylnym światłem swojej opiekunki. Ledwie widział przez kurtynę błota tryskającego spod jej tylnych kół. W lusterkach błyskały mu reflektory Kerry, Bruce'a i Bethany.

Poczłł nagły przyptyw adrenaliny, kiedy Meryl weszła w zakręt zbyt szybko. Tył jej auta zamiótl tor po zewnętrznej i choć nie wyglądało to groźnie, straciła sporo prędkości. Na następnej prostej James śmignął obok niej wraz z trzema zawodnikami na ogonie.

James był podekscytowany nagle zdobytym prowadzeniem, ale za następnym łukiem miał poczuć przedsmak najdzikszej części

toru. Tylna prosta miała szerokość czterech buggy, ale biegła od szczytu do stóp wzgórza, rozpoczynając się niemal pionowym zjazdem i wyrównując na dole, gdzie tor zwężał się, wyprowadzając zawodników na dwie strome skocznie.

Na najbardziej stromej części zbocza samochodzik oszalał. James walczył z wyrwywającą mu się z rąk kierownicą, z najwyższym trudem utrzymując mniej więcej pożądaną kierunek.

Mizerna widzialność i nierówna nawierzchnia sprawiały, że na zjeździe element szczęścia gwałtownie nabierał znaczenia. Kiedy James zatrząsł się na wybojach, po jego prawej stronie Bruce załapał się na gładszy kawałek toru, dzięki czemu zdołał wyprzedzić Kerry i zaraz potem odebrać Jamesowi prowadzenie.

Jednak nadmierna prędkość Bruce'a przyniosła mu zgubę. W miejscu, w którym tor zwężał się przed pierwszą z dwóch skoczni, jego samochód zareagował na próbę przyhamowania dzikim wierzgnięciem i kompletną utratą sterowności. Wóz odbił się od bariery z opon, przeciął piruetami całą szerokość toru, mijając Jamesa o centymetry, by wreszcie wbić się w opony po drugiej stronie ustawiony tyłem do kierunku jazdy. Zanim Bruce znalazł sposobność do zawrócenia, spadł na ostatnią pozycję.

Kerry i James przelecieli przez obie skocznie praktycznie równolegle, ale w gorączce walki o prowadzenie zapomnieli zwolnić przed ostatnim zakrętem. Oba autka wypadły na zewnętrzną stronę toru, zostawiając Bethany miejsce na piękny powerdrift po wewnętrznej. Gdy po raz pierwszy minęli linię mety, Beth miała ponad dziesięć metrów przewagi.

James próbował atakować, ale była po prostu za dobra. Podczas gdy on ślizgał się i raz po raz ocierał o ściany z opon, Bethany wydawała się wprost idealnie dobierać prędkość i tor jazdy.

Z każdym zakrętem dystans między nimi był coraz większy.

Pod koniec jedenastego okrążenia Bethany znikła Jamesowi z oczu, on sam walczył z Kerry o drugie miejsce, a dwadzieścia metrów za nimi kłębili się Meryl, Kyle, Mo i Laura czyhający na ich najdrobniejszy błąd. Michael wpadł w poślizg i został pięćdziesiąt metrów w tyle, zaś Gabriella i Rat pojechali tak bez nadziei, że zdublowali ich wszyscy oprócz Bruce'a, który znów wbił swój samochód w ścianę z opon podczas szaleńczej próby odzyskania miejsca na czele stawki.

Dwa okrążenia przed metą za ostatnim zakrętem James złapał w nozdrza duszący zapach palonego oleju. Wyszczrzył się z zachwytem, widząc Bethany stojącą na zadymionym pasie serwisowym i wściekle szarpiącą pasek kasku. „Ideolo” - pomyślał, przemykając obok Gabrielli po zewnętrznej, dublując ją po raz drugi. Od kurczowego ściskania kierownicy bolały go palce. Wchodząc w pierwszy zakręt, musiał wdusić hamulec, by uniknąć zderzenia z Laurą, którą Rat przepuścił na wewnętrzną stronę toru.

Przez chwilę był wściekły na kolegę za tak jawne faworyzowanie jego siostry, ale nie miał czasu rozpamiętywać urazy, bo teraz jechał wciśnięty ciasno między Laurę a Kerry. Z uśmiechem satysfakcji wykorzystał błąd Laury na trzecim zakręcie i przejął prowadzenie z Kerry depczącą mu po piętach.

Kiedy podskakując na wybojach, James wypadł na stromiznę tylnej prostej, Kerry wysunęła się z jego cienia aerodynamicznego i zaczęła się z nim zrównywać. Po chwili gnali łeb w łeb w dół, w stronę zwężenia przed pierwszą skocznią.

James był na właściwym torze i uśmiechał się do siebie, gdyż Kerry musiała przyhamować i schować się za nim, jeżeli nie chciała zakończyć wyścigu na barierze z opon.

Ale Kerry nie przyhamowała. Mniej niż dwadzieścia metrów przed skocznią skręciła w stronę Jamesa, żeby zepchnąć go na bok. Gdyby ustąpił, oboje pokonaliby dwie skocznie, ale Kerry znalazłaby się na lepszej pozycji do wejścia w ostatni zakręt. Byłoby to równoznaczne z oddaniem jej zwycięstwa, a na to nie miał najmniejszej ochoty.

W ostatniej chwili Kerry zrozumiała, że popełniła błąd. Wdusiła hamulec i odbiła w lewo, ale było już za późno. Jej buggy wbił się w ścianę z opon w miejscu, gdzie tor się zwał, przy okazji potrącając tył auta Jamesa.

Kerry znikła wśród opon, a James poczuł, że jego buggy ustawia się bokiem do kierunku jazdy. Zmiana położenia wywarła dramatyczny wpływ na szybkość i zamiast przemknąć nad kałużą po drugiej stronie skoczni, sunący ukosem samochodzik przewalił się przez krawędź toru, by runąć bokiem na stos starych opon. Odbiwszy się od nich, znieruchomiał bezceremonialnie zatrzymany przez piankową barierę ustawioną właśnie po to, by fruujące buggy nie wrywały się poza tor i nie rozbiły o rosnące tam drzewa.

Silnik wyłączył się automatycznie, kiedy samochodzik stanął na boku. Sypiąc sól upokorzenia na ranę porażki, Laura, a potem trzech kolejni zawodnicy śmignęli nad skoczniami, triumfalnie opryskując Jamesa fontannami błota. Odczekawszy, aż przejedzie pierwsza grupa, James pospiesznie odpiął pasy, po czym przetoczył się po mokrych oponach, by zeskoczyć w miękką wyściółkę po drugiej stronie. Nieco dalej Kerry zeskoczyła z tej samej bariery i wściekłym ruchem uniosła szybkę kasku.

- Dlaczego nie zjechałeś, ty idioto?! - krzyknęła z furją.

- To ja byłem na dobrym torze - odparł James, mocując się z zapieciem kasku.

- Musiałeś wiedzieć, że wjadę w opony.

James wyszczerzył się.

- A co to, mój problem?

- Świnia! - krzyknęła Kerry, ciskając w Jamesa kaskiem. - Myślałam, że mnie kochasz. Gdybyś mnie kochał, dałbyś mi wygrać.

James zaczął się śmiać. Zdjął kask i odpiął piankowy ochraniacz szyi.

- Miłość to jedna rzecz, kochanie, a wyścigi - druga.

Kerry oparła dłonie na biodrach i zmierzyła Jamesa złym wzrokiem.

- Przestań się śmiać albo spuszczę ci manto.

- Powiadasz? - James postąpił o krok w stronę swojej dziewczyny. - Wiesz, nawet z tą szopą na głowie i błotem na ciuchach wciąż jesteś seksowna.

Kerry próbowała utrzymać groźną minę, ale wbrew jej woli komplement wycisnął z niej przelotny uśmiech.

- Masz szczęście, że to twoje urodziny - burknęła niechętnie.

- Wiedziałem, że nie będziesz się złościć - powiedział James, pochylając się do pocałunku.

## 16. POKOJE

Zgromadzone przez CHERUBA punkty hotelowe honorowano w Lake Lodge, luksusowym hotelu z klubem sportowym i spa urządzonym w przebudowanym wiejskim dworze. Meryl stanęła przy kontuarze okazałej recepcji z ozdobnym sklepieniem, gobelinami na ścianach, fortepianem i przygrywającym na nim facetem w smokingu upodabniającym go do pingwina.

Wśród gości przeważały pary w średnim wieku i starsze, dostojnie sunące w stronę restauracji w sukniach wieczorowych i eleganckich garniturach. Wszyscy robili zaskoczone miny na widok jedenastki ubłoconych dzieciaków stojących przy obrotowych drzwiach w skarpetkach.

Recepcjonistka postukała w klawiaturę, przeciągnęła kartę Meryl przez czytnik i podsunęła jej do wypełnienia długi formularz z wypisanymi nazwiskami wszystkich dzieci. Widząc to, patykowaty kierownik hotelu podniósł klapę kontuaru i bezszelestnie przysunął się do swojej podwładnej.

- Geraldine, może wydamy już klucze do pokojów, a panna Spencer zejdzie na dół i dopełni formalności później, kiedy dzieci doprowadzą się do porządku. Spójrz, nasi młodzi goście ociekają wodą... na dywan.

Kierownik pospiesznie zaprogramował magnetyczne klucze i wręczył każdy parze dzieci.

- Jeden z pokoi miał być apartamentem – przypomniała Meryl.
- Taka była oferta dla rezerwujących więcej niż pięć pokoi.

Jako solenizant James został ulokowany w apartamencie, który wywarł na nim ogromne wrażenie. Był cztery razy większy od jego pokoju w kampusie i zawierał luksusowe łoże z baldachimem, oddzielny salon z gigantycznym telewizorem zawieszonym na ścianie, kominek z prawdziwym ogniem oraz parujący minibus na tarasie.

James wziął już drugi prysznic tego dnia, po czym, włożywszy hotelowy szlafrok i kapcie, zadzwonił do Kerry na komórkę.

- Czółko, mała. Ale mam wypasiony pokój. A jak jest u ciebie?

- Szykownie, nie powiem - odpowiedziała Kerry. - Ale na pewno nie tak jak u ciebie.

James wyłowił palcami dwa winogrona z kryształowej misy na owoce stojącej obok łóżka.

- Nie wiem tylko, czemu boy nie wniósł tu mojej torby. Nie zostawił jej przypadkiem u was?

- Jest w pokoju Laury - wyjaśniła Kerry. - Czekam na Gabrielę, aż skończy robić włosy, a potem wszyscy idziemy do ciebie.

- A mogę przyjść i wziąć swoje ciuchy?

- A możesz poczekać? - odparła sztywno Kerry i James natychmiast pojął, co się święci.

- Uuu, czyżby czas prezentów?

- Wszystkiego się dowiesz w swoim czasie.

James padł plecami na swoje olbrzymie łoże i uśmiechnął się, pocierając policzkiem o miękki kołnierz szlafroka. Najpierw fantastyczne wyścigi, a teraz leżał w niesamowitym apartamencie luksusowego hotelu, czysty, odprężony, zadowolony. Dokładnie tego potrzebował po przeżyciach kilku minionych tygodni. Jedy-  
nym zgrzytem było to, że nos wciąż nie zagoił mu się do końca i

zawsze bolał, kiedy James wchodził z zimna do ogrzanego pomieszczenia.

Pierwsza zapukała Meryl, ubrana w szlafrok, wlokąc za sobą wózek obsługi hotelowej wyładowany czekoladowymi ciastkami oraz parującymi dzbankami kawy i kakao.

James grzał sobie dłonie kubkiem, kiedy dziesięcioro jego przyjaciół wparowało do pokoju en masse. Laura - z rozetą zwycięzcy wyścigu wpiętą w poję szlafroka - wtoczyła do pokoju odlotową torbę Samsonite, którą rzuciła Jamesowi na łóżko, zanim przywitała go pocałunkiem.

- Wszystkiego najlepszego, bracie.

- To moja torba? - zapytał James lekko zaskoczony.

- Teraz już tak. - Meryl skinęła głową, podczas gdy dzieci nalewały sobie kakao do kubków. - Z najlepszymi życzeniami od CHERUBA. Miałaś tylko ten obszarpany plecak, który bierzesz na ćwiczenia, i pomyślałam, że przydałoby ci się coś porządniejszego na wycieczki i krótkie misje.

- Jeśli kiedykolwiek puszcza mnie jeszcze na misję - westchnął James, pochylając się nad torbę, by ją rozpiąć.

- Oczywiście, że cię puszcza - uśmiechnęła się Meryl. - Śledztwo skończy się w mgnieniu oka.

James uchylił kłapę i z lekka osłupiał. Spodziewał się prezentu leżącego na jego własnych ubraniach, a tymczasem nie rozpoznawał ani jednej rzeczy z zawartości torby.

- Łał! - wyrwało mu się na widok kompletu kosztownych przyborów toaletowych z eleganckim pędzlem do golenia i lusterkiem. - Przybory z Body Shop i woda toaletowa od Paula Smitha. Klasa!

- Wiem, że jeszcze się nie golisz, ale niebawem nastąpi ten moment - wyszczerzył się Kyle.

- Dzięki.

James wyjął z torby pięknie uprasowaną białą koszulę i parę chinosów. Były całkiem fajne, choć nie do końca w jego stylu.



- Uznałyśmy z dziewczynami, że przyda ci się zmiana wizerunku - wyjaśniła Laura.

- Poza tym idziemy później do restauracji - dodała Kerry. - Nie będziesz przynosił nam wstydu, siedząc jak zwykle w koszulce Arsenалу i trampkach.

- Dzięki - powiedział James z uśmiechem, wyjmując z torby kilka par nowych skarpetek, jedwabny krawat w prążki, dwie koszulki Gap, parę skąpych kąpielówek i paczkę slipów od Calvina Kleina. Żadna z tych rzeczy nie była przesadnie droga, ale prezenty sprawiły mu przyjemność, ponieważ świadczyły o tym, że jego przyjaciele zorganizowali się i wspólnie ułożyli plan, by jego urodziny były naprawdę wyjątkowe.

- Wiem, że nosisz bokserki, ale myślę, że te slipy będą w sam raz na ciebie - powiedziała Kerry.

- Możesz wpaść w nich do mojego pokoju, kiedy tylko chcesz - zaferował Kyle.

- Taa, już lecę, Kyle - parsknął James, kręcąc głową, podczas gdy Bethany i Laura jęknęły z obrzydzeniem.

Nie był pewien, czy zrobiły to dlatego, że Kyle jest gejem, czy raczej z powodu wizji Jamesa w slipach.

Ostatnimi prezentami w torbie była para butów i album Manchester United 2007.

- To twoje buty, ale wyczyszczone - wyjaśniła Kerry.

- Chyba po raz pierwszy, odkąd je masz, sądząc po ich stanie - dodała Gabriella.

- A to coś? - skrzywił się James z udanym obrzydzeniem, unosząc album w dwóch palcach i trzymając na odległość ramienia od siebie.

- To ode mnie - powiedziała Bethany, uśmiechając się niewinnie. - Myślałam, że lubisz piłkę.

James sapnął z irytacją.

- Pewnie się przyda, jak będę musiał wytrzeć jakieś rzygi.

\*

Kolacja w Lake Lodge była nieco zbyt wyszukana jak na gust Jamesa. Zdecydowanie wolałby cheeseburgera z frytkami albo solidną porcję jakiejś niezdrowej smażeniny, ale miło było zjeść przy świetle świec w eleganckiej sali restauracyjnej z widokiem na jezioro. Podobało mu się, że wszyscy są wystrojeni, a zwłaszcza Kerry w czarnej odsłaniającej ramiona sukience i w złotym naszyjniku, który podarował jej na urodziny.

Po ptysiach w gorącej polewie czekoladowej Meryl oznajmiła, że idzie do baru, i poprosiła cherubinów, by zachowywali się jak należy. Wówczas zdecydowali, że wypróbują basen na tarasie Jamesa.

Idąc na górę, James znalazł się za Laurą i Ratem. Laura, która sześć miesięcy wcześniej za skarby świata nie włożyłaby sukienki, była w zielonych pończochach i czarnej minispódniczce. Rat obejmował ją w talii.

Laura skończyła dopiero dwanaście lat, ale jej stanik miał już co podtrzymywać, a biodra zaczęły się poszerzać, przez co jej pupa nabierała bardzo kobiecych kształtów. James nie czuł się z tym dobrze. Było w porządku, kiedy droczył się z nią, że powinna w końcu znaleźć sobie chłopaka, ale kiedy naprawdę jakiegoś znalazła, Jamesowi wcale się to nie spodobało.

Wchodząc na korytarz trzeciego piętra, James pojął, czemu tak go gryzie. Do tej pory mógł spokojnie uganiać się za dziewczynami ze świadomością, że jest ktoś, dla kogo zawsze będzie najważniejszy. Ale w ciągu tych kilku lat, jakie zostały im do opuszczenia CHERUBA, Laura najpewniej znajdzie sobie poważnego partnera i stopniowo wyrośnie z emocjonalnych więzi łączących ją z bratem. Jej minispódniczka była niemal jak zawieszony na pośladkach znak oznajmiający, że Laura szuka kogoś, kto zastąpiłby Jamesa w świecie jej uczuć.

- A ty coś tak zmarkotniał? - zapytała Kerry, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Ja? No co ty? - James udał zdumionego.

Dziesięć minut później wszyscy z wyjątkiem Kyle'a siedzieli w bulgocącym baseniku na tarasie Jamesa. Frajdę mieli olbrzymią, bo woda była gorąca, listopadowe powietrze rześkie, a z tarasu rozpościerał się widok na wijącą się w dali świetlną nitkę autostrady i pobliskie miasteczko z ogromnym, pięknie podświetlonym kościołem.

- Dokąd polazł Kyle? - zainteresowała się Gabriella, wynurzywszy się na środku basenu i przeczesując dłonią długie zaplecione w warkoczyki włosy.

James wzruszył ramionami.

- Wziął ode mnie klucz i powiedział, że musi coś przynieść z autobusu.

Kyle pojawił się kilka minut później, wciąż w koszuli i marynarce, trzymając przed sobą kartonowe pudło.

- Co to? - zapytał James, kiedy Kyle postawił pudło i zaczął rozrywać tekturowe ścianki.

- Szampan - wyszczerzył się Kyle, pochylając się nad basenem, by wręczyć Jamesowi butelkę. - Nie taki prawdziwy. To australijskie wino musujące, sześć dziesięćdziesiąt dziewięć za butelkę w Sainsbury's.

- Żeby tylko Meryl nie zobaczyła - powiedziała Laura nerwowo. - Obedrze nas żywcem ze skóry.

- Przy minibarku jest taca z kieliszkami - powiedziała Kerry.

Kyle cmoknął z niesmakiem.

- A na cóż to zmarł ostatni sługa, panienko Chang?

Kerry uśmiechnęła się z przekąsem.

- Zdaje się, że wkopałam mu głowę do szyi, kiedy odmówił przyniesienia kieliszków do szampana.

Kiedy Kyle poszedł po kieliszki, James otworzył z hukiem swoją butelkę i pociągnął kilka łyków.

- Masz, leniwy tyłku - powiedział Kyle, stawiając tacę z kieliszkami na brzegu basenu obok Kerry, po czym odrzucił marynarkę i zaczął rozpinać koszulę.

Kerry zaczęła napełniać kieliszki bąbelkowym płynem i rozdawać je cherubinom w basenie. Tymczasem James otworzył drugą butelkę, a Kyle zdjął spodnie, ujawniając całkowitą nieobecność bielizny.

- Idź coś włóż! - zdenerwowała się Gabriella, przytykając dłoń do skroni, by zasłonić oczy. - Nie chcę patrzeć na to coś przez cały wieczór.

Kyle wyszczerzył się radośnie i wszedł do basenu.

- Sorry, koledzy, ale pan Kyle kąpie się nago. Przynajmniej kiedy zapomni kąpielówek.

- No pięknie - uśmiechnęła się Laura z kieliszkiem przy ustach. - Teraz brakuje nam tylko tego, żeby James zaczął pierdzieć.

\*

O pierwszej w nocy James miał skórę pomarszczoną jak żółw, butelki były puste i schowane pod umywalką w łazience i wszyscy z wyjątkiem Kerry rozeszli się do swoich pokoi.

- Wyglądasz jak suszona śliwka - zachichotał James, leżąc na łóżku i całując Kerry w kark.

- A ty to jesteś pan gładziutki, tak? - odpowiedziała, przekręcając się na drugi bok.

Oboje byli trochę zawiani. James sięgnął do stolika przy łóżku i wziął stamtąd płaską kolorową paczuszkę.

- Znalazłem w szafce w łazience - wyjaśnił. - W tym hotelu pamiętają o wszystkim.

Kerry uniosła brwi.

- Odłóż tę prezerwatywę, James - powiedziała stanowczo. - Nie będzie ci potrzebna.

- Przestań - zamruczał James. - Dlaczego nie?

Kerry jęknęła.

- Rozmawialiśmy o tym milion razy. Jeśli zaczniemy się kochać, zanim skończymy szesnaście lat, wywalą nas z CHERUBA.

- A kto się dowie?

- Dowiedzą się, jak zajdę w ciążę.

- A to niby do czego? - zakpił James, potrząsając w powietrzu kondomem.

- Mam dopiero czternaście lat, a prezerwatywy nie są stuprocentowo skuteczne.

James przewrócił oczami.

- Będę bardzo delikatny, Kerry, przysięgam. Zrób dla mnie tę jedną malutką rzecz...

Kerry wytrzeszczyła oczy i z furją odepchnęła Jamesa od siebie.

- Jedna malutka rzecz, tak? Co to ma znaczyć, do diabła?! - Kerry usiadła na łóżku i rozłożyła szeroko ręce. - Latałam po sklepach za twoimi prezentami, znalazłam w internecie hotel i tor wyścigowy, wyczyściłam nawet twoje śmierdzące buty!

- Ja wiem, Kerry, ja tylko... - James nie wiedział, co powiedzieć. - Na pewno nie będziemy pierwszymi nieletnimi cherubinami, którzy uprawiali seks.

Kerry wskazała na dolną połowę swojego kostiumu kąpielowego.

- Moje ciało, moja decyzja. Może, jeżeli wciąż będziemy razem, jak skończę szesnaście lat, ale w tej chwili nie wiem nawet, czy będziemy ze sobą jutro rano. Mam powyżej uszu twojego nagabywania. Jesteś jak stary obleśny zboczuć.

Kerry zgarnęła swój szlafrok z podłogi. James usłyszał chlipnięcie i zrobiło mu się głupio.

- Przepraszam, Kerry, nie płacz. Jesteś zmęczona, trochę wypłaś i zrobiłaś się przewrażliwiona.

- Nie jesteś wart, żeby przez ciebie płakać, wiesz? - Kerry pociągnęła nosem, zawiązując szlafrok i rozglądając się za kapturą-

mi. - Planowałam to od tygodni. Wszystko miało być idealnie. Nie masz krzty szacunku dla mnie i moich uczuć.

- Ale co ja poradzę? - zawołał rozpaczliwie James. - Naprawdę dobrze się dziś bawiłem. Naprawdę cię kocham i chcę być fantastycznym, cudownym, kochającym, czułym chłopakiem, który rozumie twoje uczucia i tak dalej, ale jestem też piętnastoletnim prawiczkim i naprawdę strasznie potrzebuję kogoś bzyknąć.

Kerry otarła łzę rękawem szlafroka. Kiedy podchodziła do drzwi, Jamesowi wydało się, że słyszy jej śmiech.

- Dobranoc, Casanovo.

## 17. BRIGHTON

Jamesa obudził dzwonek do drzwi. Kiedy nagi rozglądał się za szlafrokiem, dźwięk rozległ się znowu.

- Moment, już idę!

Zdumiał się na widok Laury, kompletnie ubranej i z walizką na kółkach.

- No cześć - powiedział, ziewając szeroko. - Która godzina?

Laura zerknęła na zegarek.

- Osiem po siódmej - oznajmiła, wchodząc do pokoju.

James, który długo nie mógł zasnąć, martwiąc się sytuacją z Kerry, miał za sobą mniej niż cztery godziny snu, a od wina ciążyła mu głowa.

- Co się dzieje? - zapytał. - Nie wiedziałem, że mamy coś w planach na dziś rano.

- Ty nie masz - powiedziała Laura, patrząc na brata, który usiadł na rogu łóżka i zaczął trzeć oczy pięściami. - Z tego, co wiem, na później masz zaklepaną sesję w spa, masaż i takie tam. Też chętnie bym skorzystała, ale jadę na misję. John Jones czeka na dole.

- Naprawdę? - James nie ukrywał zaskoczenia. - Od kiedy wiesz?

- Dowiedziałam się wczoraj, ale nic nie mówiłam, bo kiedy ktoś wyjeżdża, zawsze robi się trochę schyłkowy nastrój. Nie chciałam psuć zabawy.

- Na długo?

- Na krócej niż miesiąc i tylko do Brighton, więc pewnie będziemy się widywać.

- Z kim jedziesz?

- John będzie moim koordynatorem, ale zadanie wykonuję sama.

- Uuu, czarna koszulka i pierwsza solowa misja w wieku dwunastu lat. Jesteś naszą małą gwiazdą, co? - powiedział James nieco sarkastycznym tonem.

Laura zarumieniła się i wbiła wzrok w dywan, pojmując, że zabrakło jej wycucia.

- Mam nadzieję, że wszystko się ułoży z tym dochodzeniem i w ogóle - powiedziała ostrożnie. - No bo przecież do tej pory nikt się nie mógł do ciebie przyczepić. To ty byłeś na obu misjach, które załatwiły Help Earth!. Wiele osób mówi, że za coś takiego należy ci się czarna koszulka.

- Jestem pewien, że wszystko skończy się dobrze - powiedział James niezbyt przekonującym tonem i westchnął. - Tak czy owak, powodzenia na misji. I uważaj na siebie.

- Zakwalifikowali ją jako NR, więc nie ma się czego bać - uśmiechnęła się Laura, ściskając brata na pożegnanie. - Aha, i jeśli mogę cię prosić, zajmij się trochę Ratem chociaż przez kilka dni. Wczoraj odrobinę się podłamał, kiedy powiedziałam mu, że wyjeżdżam. Jest w CHERUBIE od niedawna i Andy to jego jedyny bliższy kolega.

James pokiwał głową.

- Zaproszę go, jak coś się będzie działo. Zresztą lubię go, chociaż przy tym Andym robi się niezręcznie. Wciąż ma pretensje, że mu wtedy wklepałem.

- Trudno się dziwić. - Laura uśmiechnęła się krzywo. James rozłożył ręce.

- Przeprasiłem go z osiemdziesiąt sześć razy. Co jeszcze mógłbym zrobić?

- No dobra, John czeka w recepcji. Lecę, James.



- Czekaj. Nie rozmawiałaś z Kerry, prawda? Wczoraj wieczorem trochę się poprzytykaliśmy, no i...

Laura wbiła wzrok w prezerwatywę leżącą na nocnym stoliku.

- Ciekawa jestem o co - powiedziała z przekąsem.

- Strasznie mi głupio - wymamrotał James, drapiąc się w głowę. - Ty i Kerry zorganizowałyście to wszystko, a ja jak głupi musiałem się z nią pokłócić. Poza tym wypić kilka kieliszków, a wiesz, jaka się wtedy robi. Zareagowała bardzo emocjonalnie...

- Nie rozmawiałam z nią - powiedziała Laura - ale zalecam płaszczenie się i błaganie o litość. W maksymalnych dawkach.

\*

James nie mógł już zasnąć. Wreszcie zamówił herbatę z grzanką do pokoju i usiadł na łóżku, by poczytać znalezioną pod drzwiami niedzielną gazetę.

Kyle zadzwonił tuż po dziewiątej.

- Wszyscy już zwlekli się z wyrek. Idziemy na śniadanie, a na dziesiątą jesteśmy zapisani do spa.

- Oki doki - powiedział James. - Tylko co do tego spa... Byłeś kiedyś w czymś takim? To brzmi strasznie... jakoś tak niemięsko.

- Nie mogę powiedzieć, że byłem, ale trzeba było zobaczyć, jak dziewczyny piszczały nad broszurą - powiedział Kyle.

- Czyli ty idziesz - upewnił się James.

- Wiem, że to nie twój klimat, James, ale dziewczyny poszły się ścigać, bo wiedziały, że ty to lubisz.

- No tak - burknął James nieprzekonany.

- Poza tym jest nas pięciu chłopaków, więc pewnie skończy się tak, że będziemy stać i robić sobie jaja z siebie nawzajem.

- Kto wie, może mi się nawet spodoba?

- Właśnie - powiedział Kyle. - Widzimy się na śniadaniu.

Odczekawszy, aż Kerry i inni zejdą do jadalni, James przemknął tylnymi schodami do westybulu i ukradł różę z ozdobnego bukietu. W jadalni włożył ją w zęby i ukląkł przed Kerry.

- Witaj, najśłodsza - powiedział uroczyście, siląc się na wytworny akcent i wręczając kwiat dziewczynie. – Błagam najpokorniej, przyjmij moje przeprosiny za moje wczorajsze niegodne zachowanie.

Kerry uśmiechnęła się z wyższością. Zakręciła różą między palcem wskazującym a kciukiem, po czym zwróciła się do wszystkich zebranych.

- Dobra, kto uważa, że powinnam przyjąć przeprosiny?

Przy stole wybuchła wrzawa; wśród śmiechów latały komentarze od: „Kopnij go w tyłek” po „Wydź za niego i skończcie już z tym”. James trochę się bał, bo położył głowę na pieńku i Kerry, gdyby tylko zechciała, mogła go łatwo upokorzyć. Ale Kerry pochyliła się nad nim i delikatnie pocałowała w policzek.

- Coś ci powiem - oznajmiła. - Przebaczę ci, jeśli przyniesiesz mi z bufetu jeszcze jedną grzanekę.

\*

Laura przybyła do Rejonowego Centrum Opiekuńczego w Aldrington wczesnym niedzielnym popołudniem. Całą drogę spędziła na studiowaniu materiałów wprowadzających rozłożonych na tylnej kanapie sportowego range-rovera. Poza przeoraniem się przez stertę raportów o handlu ludźmi musiała przeczytać i zapamiętać wszystkie szczegóły własnej legendy starannie przygotowanej przez Johna.

Nazywała się Laura Juran i była córką Angielki, która zmarła podczas porodu. Do ósmego roku życia mieszkała na wschodzie Rosji, ale potem oddano ją pod opiekę jej brytyjskiej babci, po tym jak ojciec trafił do więzienia za udział w napadzie z bronią w rękę. Niestety, w ciągu następnego roku babcia zmarła na atak

serca i kolejne trzy lata Laura spędziła w rozmaitych domach dziecka i pogotowiacz rodzinnych.

Do ośrodka w Aldrington wysłano ją po nieudanym pobycie w rodzinie zastępczej w Croydon, a ponieważ mówiła po rosyjsku, dyrektor domu dziecka - który nie miał pojęcia o operacji CHERUBA - zgodził się umieścić ją w pokoju razem z tajemniczą Anną.

Laura Adams mieszkała już w domu dziecka w Londynie, w czasie pomiędzy śmiercią jej mamy a przyjęciem do CHERUBA. Spodziewała się podobnego budynku z ponurymi odrapanymi korytarzami i pleśnią w łazienkach, ale RCO w Aldrington miało mniej niż dwa lata, a nowoczesne domy opieki buduje się całkiem inaczej.

Było tam nieduże biuro i ogólna kuchnia, w której przygotowywano główne posiłki, ale sam dom dziecka składał się z pięciu samowystarczalnych jednostek mieszkalnych. Każda była w istocie szeregowym domem z kuchnią i pokojem dziennym na dole oraz sześcioma dwuosobowymi sypialniami na górze.

John wyjął z samochodu torbę Laury i powlókł ją przez pusty plac zabaw w stronę drzwi domu numer trzy.

- Otwarte! - krzyknął ze środka jakiś dzieciak.

Laura pchnęła drzwi i weszła do przestronnej kuchni z dwiema pracującymi pralkami i oklejonej kartkami z napisami w stylu: „Przed przygotowaniem jedzenia umyj blat; po posiłku wstaw WSZYSTKIE kubki i talerze do zmywarki”. Na największej z nich wypisano wielkimi pomarańczowymi literami: „Żadnych chipsów ani innych przekąsek przed odrobieniem lekcji i podpisaniem ich przez opiekuna dyżurnego”.

W kuchni było gorąco. Laura trochę się spieszyła na widok nagiej klaty przystojnego nastolatka siedzącego przy stole nad najnowszą książką Caroline Lawrence.

- Szukam Chrisa Powella - powiedział John.

- Ma dzisiaj wolne - odparł młodzieniec. - Dyżur pełni Madison. Jest w dużym pokoju z dziećmiakami.

Na dźwięk otwieranych drzwi troje małych dzieci siedzących na dywanie przed Playstation odwróciło się jednocześnie i natychmiast wróciło do gry. Laura i John weszli do pokoju. Madison wyglądała na trochę ponad trzydzieści lat. Na nosie miała niewytłumaczalnie wielkie okulary w czerwonej plastikowej oprawce, a na piersi T-shirt ze zdjęciem ludzików z lego.

- Cześć, Laura - powiedziała promiennie, pobrzękując ogromnymi kolczykami. - Jestem jedną z twoich opiekunek. Witamy w RCO. To są Luke, Seb i Una, a niedługo poznasz też Anię, z którą będziesz mieszkać.

Laura pomachała nieśmiało dzieciakom, które po kolei zerknęły na nią i witały skinieniem głowy.

- A ty musisz być John Clarkson - zauważyła Madison, wyciągając rękę do Johna.

- Zgadza się - skłamał John.

- Od dawna pracujesz w opiece społecznej w Croydon? - zapytała Madison.

- Tak w ogóle to jestem na emeryturze - odrzekł John. - Przyszedłem na kilka tygodni zastępstwa za dziewczynę na macierzyńskim.

- Jasne. Słuchaj, jak chcesz, to idź do kuchni i zaparz sobie herbatę. Muszę pokazać Laurze jej pokój.

John potrząsnął głową.

- Dzięki, ale ja już pójdę. Chcę zdążyć na mecz na Sky o czwartęj.

Kiedy Madison wyszła z pokoju, John przyłożył do ucha dłoń złożoną w kształt słuchawki i bezgłośnie powiedział do Laury: „Później”.

Kiedy Laura i Madison razem taszczyły torbę na piętro, opiekunka zaczęła objaśniać rozmaite zasady i rozkłady zajęć obowią-

zujące w domu dziecka. Zapytała też, czy są jakieś potrawy, za jakimi Laura przepada.

- A to jest twoja współlokatorka Ania - powiedziała wesoło Madison, wchodząc do komfortowo wyglądającej sypialni z dywanem oszpeconym wielką czarną plamą. - Zostawię was, żebyście mogły się poznać. Gdybyś miała jakiegokolwiek pytania, będę na dole.

W pokoju stały dwa piętrowe łóżka z drewnianymi drabinkami. Pod każdym stały dziecięcego rozmiaru szafa, komoda i wysuwane biurko.

- Cześć - powiedziała Laura, podchodząc do Ani i uśmiechając się.

Dziewczyna siedziała na łóżku, bawiąc się koralikami na szyi. Nie wyglądała zdrowo. O dziesięć centymetrów niższa od Laury, miała wąską talię, porcelanowobiałą skórę i wiotkie, trzciniowate kończyny. Laura, masywna jak jej brat, odniosła wrażenie, że mogłaby unieść Rosjankę nad głowę, tak jak podrzuca się w zabawie małe dziecko.

Laurze nieraz zdarzało się zastanawiać nad odejściem z CHERUBA, na przykład kiedy dostawała do przeczytania cegłowaty podręcznik komputerowy albo omdlewała z wycieńczenia podczas brutalnych ćwiczeń w upalny letni dzień. Jednak kiedy patrzyła na kogoś takiego jak Ania, zdając sobie sprawę, że jej misja może uchronić wiele podobnych jej dziewcząt od niewyobrażalnego koszmaru, wtedy nie miała najmniejszych wątpliwości, że warto było się męczyć.

- Ty co patrzysz? - wyjąkała Ania.

Uczyła się angielskiego dopiero od kilku tygodni i na razie mówiła fatalnie.

- Przepraszam - powiedziała Laura, po czym przeszła na rosyjski. - Gadasz jak Rosjanka.

Ania rozpromieniła się.

- Mówisz po rosyjsku?

- Niewiele, odkąd przeniosłam się do Anglii, więc trochę wyszłam z sprawy, ale mój ojciec był Rosjaninem. Mieszkałam tam jeszcze trzy lata temu.

- Niesamowite - ucieszyła się Anna, klaszcząc w dłonie. - Ja mówię tylko, kiedy przychodzi tłumacz, ale wtedy gadają tylko o moich problemach, więc nie odpowiadam.

- Znam to uczucie. - Laura pokiwała głową. - Opiekunowie nic tylko nawijają makaron na uszy. Czasem mam ochotę po prostu włączyć iPod'a i powiedzieć im, żeby się wypchali.

Anna wybuchła śmiechem.

- Nie mogę uwierzyć, że jesteś Rosjanką.

- Przy tobie będę mogła poćwiczyć język - uśmiechnęła się Laura. - Co za dziwny zbieg okoliczności...

## 18. PLANY

Był niedzielny wieczór i James odpoczywał w swoim pokoju w kampusie. Leżał na łóżku i oglądał telewizję, kiedy zadzwoniła Laura.

- Joł, pokemonie! - wyszczerzył się James. - Jak tam solowa misja?

- Nieźle - odpowiedziała Laura. - Dziewczyna, z którą mam się zakumplować, wydaje się miła, ale jest strasznie zamknięta w sobie. Dziś całe popołudnie uczyłam ją robić filofuny.

- Dlaczego szepczesz?

- Jestem w łazience, Ania jest obok w pokoju. Pogodziliście się z Kerry?

- No raczej. - James skinął głową. - Myślę, że trochę wyluzowała, bo to była moja urodzinowa imprezka.

- A jak było w spa?

- Obłąd! - zaślinił się James. - Jedna obłądna laska zrobiła mi masaż i były nieźle jaja, bo Bruce'owi dostał się taki wielki tłusty grubas z włóchatymi piętami. Potem wywalili nas z sauny za oblewanie się zimną wodą z kubłów, a potem... przyszła taka piękna kosmetyczka. Oblepiła mi twarz błotem i zrobiła mani-kiur.

- A mnie oczywiście musiało to minąć - jęknęła Laura. - Zawsze chciałam pójść w takie miejsce.

- Kojarzysz, jakie mam zwykle popękane i brudne pazury? Teraz są gładziutki i błyszczące, a babeczka dała mi jeszcze parę

porad i butelkę takiego specjalnego płynu, który mam dodawać do kąpieli. Ma mi wysuszyć skórę i zlikwidować pryszcze.

- Podobało wam się?

- Tak, tylko nie Bruce'owi - zaśmiał się James. - Nie spodziewałem się, że tak będzie, i poszedłbym tam jeszcze raz, gdyby ktoś mi zafundował. I żebyś widziała Kerry i Bethany! Wydały majątek w sklepie kosmetycznym.

- Na co?

- Bo ja wiem, dla mnie to wyglądało jak stoiki ze śmierdzącą papką. A właśnie, mamy dla ciebie mały prezent, bo ominęła cię frajda: zestaw różnych olejków i taka drewniana kula do masażu, która wygląda jak mina morska. Aha, i nie martw się, sprawdziłem, zanim zapłaciliśmy, i powiedzieli, że kosmetyki nie zawierają żadnych świństw pochodzenia zwierzęcego ani substancji testowanych na zwierzętach.

- Dzięki, James - powiedziała Laura. - Jak chcesz, to mam w telefonie fajne foty z ostatniej nocy. Jest obłędne zdjęcie tego starego pułkownika, jak machał na nas laską, kiedy świeciliśmy mu tyłkami z tarasu.

\*

Poniedziałkowe poranki James zaczynał od treningu samoobrony o siódmej, więc kiedy kwadrans po ósmej dotarł do stołówki, był już wykończony. Meryl dopadła go, kiedy sunął w stronę Kerry i Kyle'a siedzących przy ich ulubionym stole.

- Co za zdrowy początek dnia - powiedziała, wpatrując się znacząco w tacę Jamesa załadowaną jajami sadzonymi na bekonie, grzankami i plackami ziemniaczanymi.

- No nieee - jęknął James. - Nawet nie zaczynaj. Wiesz, że Zara kazała im wyłączyć automat z colą aż do lunchu?

Meryl wytrzeszczyła oczy.

- Pijesz colę do śniadania?



- Nie codziennie... Zresztą piję tylko dietetyczną, bo od normalnej się tyje.

- Nieważne - przerwała lekko wstrząśnięta Meryl. - Zauważyłam, że uczysz się do małej matury tylko z pięciu przedmiotów, a do dużej tylko z rozszerzonej matmy. Twój plan zajęć wydaje się bardzo luźny, dlatego dokonamy w nim pewnych modyfikacji.

James cmoknął.

- Ale przecież już mam zaliczoną maturę z ruska i matmy. Z hiszpana zdam na stówkę, a ze ścisłych jestem tak dobry, że o rozszerzoną matematykę i fizykę nie muszę się martwić. Z pięcioma maturalnymi idę na każdy uniwersytet, jaki mi się zamarzy.

- James, zdaję sobie sprawę, że dzięki kursom językowym CHERUBA i swoim wyjątkowym zdolnościom matematycznym nie będziesz miał żadnych problemów z dostaniem się na wybraną uczelnię, ale to nie oznacza, że pozwolę ci się wałkonić przez następne trzy miesiące. Wszyscy cherubini są bystrzy, ale oczekujemy od was ambicji i nieustannej pracy nad sobą. Kerry powinna latem bez trudu zdać maturę z trzech języków, do tego przygotowuje się do małej matury z dziewięciu przedmiotów, a jest prawie o rok młodsza od ciebie.

- Tak, ale... - zająknął się James. - Kerry jest dobra ze wszystkiego. Ja nie nadaję się do niczego, gdzie trzeba dużo czytać i pisać. Ona pisze wypracowania dwa razy szybciej niż ja.

- Cóż, jeśli nie chcesz za dużo się uczyć, jest jeszcze jedno wyjście.

James zbystrzał.

- Jakie?

- Nasz szef wyszkolenia pan Pike nieustannie rozgląda się za chętnymi do pomocy przy przygotowywaniu czerwonych koszulek do szkolenia podstawowego. Zwłaszcza teraz, kiedy pan Large

dochodzi do siebie po operacji, a panna Smoke jest na macierzyńskim.

- Mhm - mruknął James, niezbyt zachwycony sugestią opiekunki.

Cherubinów często proszono o pomoc przy treningach i ćwiczeniach, ale instruktorzy szkoleniowi należeli do najmniej popularnych członków personelu w kampusie i pomaganie im, delikatnie mówiąc, nie przysparzało przyjaciół. Nie wspominając o tym, że instruktorzy pracowali równie ciężko, a często nawet ciężiej niż szkolone dzieci.

Meryl uśmiechnęła się.

- Jeśli nie chcesz pomagać panu Pike'owi, James, będę musiała zapisać cię na kilka dodatkowych kursów akademickich. Słyszałam, że pan Reddit wznawia swoją łacinę dla początkujących, a parę tygodni temu zaczęły się kursy przygotowujące do małej matury z socjologii i ekonomii. Kiedy już nadrobisz zaległości, zapewne sprawią ci dużą frajdę...

- Nie! - prawie krzyknął James. - Daj spokój, Meryl, wiesz, że nienawidziłbym każdej minuty. A łacina? Co komu po niej, jeżeli nie chce się zostać nauczycielem łaciny?

- A praca z panem Pikiem?

James spuścił wzrok na swoją tacę ze śniadaniem.

- Przypuszczam, że to byłoby mniejsze zło.

- No to świetnie - ucieszyła się Meryl. - Bo masz spotkanie z panem Pikiem dziś po południu, po lekcjach.

- Ale... - jęknął James i sposepniał, uświadomiwszy sobie, że opiekunka wystawiła go do wiatru.

- Tak myślałam, że socjologia i łacina ci nie podejdą - uśmiechnęła się Meryl. - A teraz idź i jedz swój tłuszcz, za nim ci ostygnie.

\*

Laura miała chodzić do szkoły w Brighton, ale zorganizowanie miejsca miało potrwać kilka dni, co zresztą niezbyt ją martwiło.

Kiedy wszystkie dzieci z jej segmentu zjadły śniadanie i poszły do szkoły, wróciła do swojej sypialni i zaczęła przeglądać rzeczy Ani.

Inspekcja była żałośnie krótka. Anna zesłała na ląd z tym, co miała na sobie, i w ciągu kilku tygodni swojego pobytu w Wielkiej Brytanii zdołała zgromadzić tylko kilka dodatkowych ciuchów i garść drobiazgów.

Laura ostrożnie przekartkowała zbiór notesików wypełnionych flamastrowymi rysunkami Rosjanki. Styl Ani był staranny, z czarnymi konturami pieczołowicie wypełnianymi kolorem. Niektóre strony zawierały bezsensowne bazgroły, inne dokumentowały wysiłki podejmowane przez Anię w ramach nauki angielskiego - wypełniały je szeregi malutkich obrazków z angielskimi podpisami i wymową zapisaną grażdanką.

Po przejrzaniu szuflad biurka Laura wspięła się po drabinie na łóżko współłokatorki. Do jednego ze słupków przyklejono taśmą plastikowy breloczek z zamkniętą pod wieczkiem małą fotografią. Zdjęcie miało zniszczone od wody brzegi i przedstawiało Anię w budce fotograficznej. Wyglądała na osiem lub dziewięć lat i opierała się na kolanie bardzo młodo wyglądającej mamy. Na drugim kolanie siedział ponury niemowlak z czarnymi prostymi włosami i smoczkiem w buzi.

Laura widziała powiększoną wersję fotografii wśród dokumentów, jakie musiała przeczytać w drodze do domu dziecka, ale widok tej autentycznej pamiątki, małego fragmentu przeszłości Ani, wprawił ją w przygnębienie.

Rozpoczęła drobiazgową inspekcję łóżka, zaczynając od podniesienia poduszek i sprawdzenia, czy nie ma nic ukrytego w poszewkach, a potem sondując dłonią szparę wokół krawędzi materaca. Poza kurzem, okruchami i przywiedłą skarpetą znalazła plik kartek pokrytych pismem Rosjanki.

Kartki zostały wydarte z zeszytów w linię. Nie było na nich rysunków, tylko równiutko wypunktowane listy wypisane po rosyjsku fioletowym długopisem żelowym. Każda zaczynała się tak samo. Punkt pierwszy brzmiał: „Nie zdradzić, kim jestem”, a drugi: „Pracować ciężko w szkole i dobrze nauczyć się angielskiego”.

Dalej listy różnicowały się. Niektóre wyglądały sensownie jak ta:

- (3) Zdobyć dobrze płatną pracę.
- (4) Znaleźć Georgija i ściągnąć go do Anglii.
- (5) Założyć własną firmę (salon fryzjerski albo samochodowy).
- (6) Zdobyć bogactwo i kupić ładny dom.
- (7) Wyjść za mąż, mieć synka i dwie córeczki.

Podczas gdy inne stanowiły zapis najdzikszych fantazji Ani:

- (3) Chodzić do najfajniejszych klubów w Londynie.
- (4) Zaprzyjaźnić się z bogatymi i sławnymi ludźmi.
- (5) Wyjść za muskularnego gwiazdora futbolu i zamieszkać w Barcelonie.
- (6) Znaleźć Georgija i kupić mu dom obok naszego w Hiszpanii.
- (7) Założyć własne linie lotnicze za pieniądze męża.
- (8) Po trudnym starcie zostać najbogatszą kobietą na świecie.
- (9) Zapłacić ludziom, żeby wrócili do domu i zabili wszystkich, których nienawidzę. Powoli!!!

Niektóre z list Ani były zabawne, inne budziły smutek. Laura nigdy nie bawiła się w wypisywanie marzeń w punktach, ale od czasu do czasu robiła coś podobnego, kiedy nie mogąc zasnąć, kreśliła w głowie plany na przyszłość.

Listy Ani były chaotyczne, ale bardzo wymowne. Przede wszystkim policyjni psychologowie podejrzewali, że Rosjanka nie mówi o swojej przeszłości z powodu doznanego urazu, jednak

zapiski nie pozostawiały wątpliwości, że Ania celowo utrzymuje swoją tożsamość w tajemnicy. Poza tym Ania wspominała o odnalezieniu tylko Georgija - Laura zgadywała, że chodzi o malca z fotografii. Oznaczało to, że matka dziewczynki albo nie żyje, albo nie ma kontaktu z córką.

Nie były to konkretne informacje, jakich Laura potrzebowała do wytropienia szajki handlarzy ludźmi, ale przynajmniej zrobiła jakiś krok do przodu.

## 19. INSTRUKTORZY

Instruktorzy szkoleniowi CHERUBA urzędowali w obskurnym prefabrykowanym baraku poza granicami ośrodka szkoleniowego. James załomotał w blaszane drzwi.

- Właż! - zawołał pan Pike.

Pokój zawierający wyświechtaną wykładzinę oraz kilka sfatygowanych biurek zaścielały brudne elementy sportowej garderoby i mokre ręczniki. W powietrzu unosiła się woń starego potu i dezodorantu.

Pan Pike siedział na końcu długiego stołu między swoimi zastępcami, panem Speaksem i panem Greavesem. Ku zaskoczeniu Jamesa pan Greaves miał nogawki bojówek podwinęte do kolan, a stopy zanurzone w misce z parującą wodą.

- Klapnij sobie, James. Kawki? - powiedział pan Pike, wskazując na dzbanek stojący na środku stołu.

James skinął głową i usiadł. Czuł się trochę nieswojo, widząc tych trzech potężnie zbudowanych mężczyzn po służbie. Zwykle podczas bliskich spotkań z instruktorami było się skrajnie przerażonym albo wycieńczonym. I oto patrzył na tych samych ludzi po dniu pracy wyglądających jak trzej zwyczajni zmęczeni faceci w średnim wieku, którzy marzą tylko o tym, by wrócić do domu i zasnąć przed telewizorem.

Upijając łyk kawy z podsuniętego kubka, James zauważył rozłożone na stole poufne akta ośmiu czerwonych koszulek i trojga nowych rekrutów.

- Za miesiąc zaczyna się kolejna tura szkolenia podstawowego - wyjaśnił pan Pike. - To nasze wstępnie spotkanie. Omawiamy mocne i słabe strony każdego kandydata, próbujemy połączyć ich w jak najlepiej uzupełniające się pary i ustaliśmy dokładną formę ćwiczeń, jakie możemy im zafundować, nie przekraczając budżetu wyprawowego.

James był zaskoczony.

- Zawsze myślałem, że zestawiacie pary losowo.

- Przeciwnie - powiedział pan Pike. - CHERUBOWI brakuje agentów i władze chcą, byśmy przepychali przez podstawówkę jak najwięcej rekrutów.

- Nie obniżając standardów - dodał pan Speaks, przeciągając poplamiony ręcznik między palcami stopy.

- Chciałbym, żebyś przyjrzał się temu dzieciakowi - powiedział pan Pike, popychając w stronę Jamesa jedną z leżących na stole teczek. - Z napowietrznym torem przeszkód radzisz sobie bez kłopotów, prawda?

James przytaknął skinieniem głowy.

- Byłem tam tyle razy, że nawet o tym nie myślę.

- Chłopak z tej teczki ma z tym poważny problem.

James przewrócił tekturową okładkę i ujrzał czarno-białą fotografię juniora, który skończył dziesięć lat trzy tygodnie wcześniej. Nazywał się Kevin Sumner. James nie znał go, ale czasem widywał w kampusie.

- Lęk wysokości? - zapytał James.

- Paniczny. - Pike smutno pokiwał głową. - Dopóki nie pokona tego strachu, nie ma najmniejszych szans na przejście szkolenia podstawowego. Kev to fajny, twardy dzieciak z głową na karku, ale kiedy miał siedem lat, zdarzyła mu się przykra przyгода na kolejce górskiej. Hamulec bezpieczeństwa włączył się w połowie pętli i biedaczysko spędził trzy godziny, wisząc głową w dół, zanim strażacy wydobyli go z wagonika. Od tamtej pory koszmarnie boi się wysokości.

- To jak, mam spróbować ostrożnie go przeprowadzić? - zapytał James.

Pan Pike potrząsnął głową.

- Próbowaliśmy. Prawie zarzygał mi się na śmierć. Chcę, żebyś zastosował inną technikę. Pamiętasz, jak uczyłeś się pływać?

James nigdy by tego nie zapomniał. Kiedy wstąpił do CHERUBA, panicznie bał się wody i miesiąc intensywnych lekcji pływania nie poprawił sytuacji. Trzeba było dwóch szesnastoletnich drabów, którzy raz po raz wrzucali go do wody po głębokiej stronie basenu, by wreszcie pokonał swój strach.

- Musisz być bezwzględny, James - powiedział pan Pike. - Weź sobie do pomocy kogoś z kolegów. Możecie wykroić sobie z zajęć lekcyjnych tyle czasu, ile potrzebujecie, a jeśli sprawicie, że Kevin pokona tor bez pomocy, dopilnuję, żeby zaliczyli wam małą maturę z dowolnie wybranego przedmiotu.

- Nie będę musiał pisać zaliczeniówki z historii?

- Mogę to załatwić, jeśli chcesz - skinął głową instruktor. - Ale pamiętaj, ten sposób działa tylko wtedy, jeżeli dzieciak boi się ciebie bardziej niż skoku z dwudziestego piętra.

James spojrzał na fotografię. Zastanawiał się, czy ma w sobie ten sadystyczny rys niezbędny, by sprawdzać się jako instruktor szkoleniowy w CHERUBIE. Z drugiej strony, jeżeli dzięki temu miał zaliczyć małą maturę z historii...

\*

John Jones zamieszkał w pensjonacie niecały kilometr od Rejonowego Centrum Opiekuńczego w Aldrington. Kiedy Laurze znudziło się czekanie, aż Anna i pozostałe dzieci wrócą ze szkoły, umówiła się z koordynatorem w pobliskiej kawiarence i powiedziała opiekunce, że wychodzi na spacer.



Kawiarnia mieściła się na tyłach piekarni rozsiewającej miły zapach gorącego chleba. Laura i John zamówili herbatę i pączki.

- Zaczynam się zastanawiać, czy mała Ania naprawdę jest tak niewinna, jak się wydaje - powiedział John.

- A to czemu? - zdziwiła się Laura.

- Te listy, które czytałaś. Wynika z nich, że Ania jest zdecydowana nie ujawniać swojej tożsamości. To całkiem chytre posunięcie, jeżeli chce się zostać w Anglii.

- Jak to?

- Gdyby Ania ujawniła swoje nazwisko i powiedziała władzom, skąd pochodzi, prawdopodobnie deportowano by ją do Rosji w ciągu paru dni.

- Ale przecież wiemy, że jest Rosjanką - zauważyła Laura. John skinął głową.

- Owszem, ale przepisy nie pozwalają po prostu wsadzić dziecka do pierwszego samolotu do Moskwy. Władze muszą wiedzieć, kim ona jest i skąd pochodzi, a także mieć pewność, że ktoś się nią zajmie, kiedy już wróci do kraju. Skontaktowaliśmy się z rosyjską policją i wiemy, że nikt nie zgłosił zaginięcia Ani. Jeżeli będzie milczeć przez rok czy dwa, trzeba będzie urządzić ją tutaj. Wystarczy, że oświadczy, że ma w Anglii przyjaciół i chce tu zostać. Lokalne władze uruchomią formalne postępowanie w celu zapewnienia jej opieki, rada miejska Brighton zostanie jej kuratorem i Ania otrzyma brytyjskie obywatelstwo.

- To brzmi jak całkiem chytry plan - powiedziała Laura. - A ona ma tylko jedenaście czy dwanaście lat.

- Listy dowodzą, że Ania myśli o swojej przyszłości. Podejrzewam, że któraś z pozostałych dziewcząt na łodzi była już wcześniej przemycana i powiedziała Ani, jak ma się zachowywać, jeżeli zostanie złapana.

Laura wytrzeszczyła oczy.

-Wcześniej przemycana?

- To się często zdarza - przytaknął John. - Kiedy gang, który zajmuje się handlem kobietami, złapie dziewczynę w swoje sidła, uważa ją za swoją własność. Dziewczęta złapane przez brytyjskie władze są przeważnie od razu deportowane do Rosji. Nie mając domu ani pracy, są szybko zgarniane z ulic przez gangsterów i natychmiast przetrzucane z powrotem do Anglii.

- Czy rząd nie może czegoś z tym zrobić?

John potrząsnął głową.

- Polityka - westchnął. - Duża część społeczeństwa nie lubi imigrantów. Rząd może liczyć na większe poparcie, jeżeli traktuje ich twardo, a ponadto każdy system, jaki wprowadzą władze, by wspomóc owe dziewczęta, będzie otwarty na nadużycia. Jeśli zaczniemy traktować wyjątkowo kobiety zmuszane do prostytucji, nagle będziemy mieli tysiące nielegalnych imigrantek twierdzących, że są do niej zmuszane.

- Niby tak - zgodziła się niepewnie Laura. - Ale jak można odsyłać te dziewczyny do domu bez żadnej ochrony przed gangsterami?

John wzruszył ramionami.

- To jedna z tych paskudnych sytuacji, z których nie ma łatwego wyjścia.

## 20. WILKOŁAKI

James nie był pewien, czy nadaje się na instruktora, ale wiedział, kto może mu pomóc. Bruce Norris miał czternaście lat i był drobnym jak na swój wiek, ale był też niepokonanym mistrzem w pięciu rodzajach sztuk walki i opinię sadysty.

- Tylko pamiętaj - wyszeptał James, podczas gdy skradali się ciemnym korytarzem na drugim piętrze bloku juniorów. - Musimy wystraszyć go do granic możliwości, ale nie możemy zrobić mu krzywdy. To znaczy zbyt wielkiej...

- Wiem, wiem. - Bruce machnął ręką. - Jestem spokojnym człowiekiem, James. Zakończyłem pewnie z pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt bijatyk, ale jeszcze nigdy żadnej nie zacząłem.

Chłopcy byli ubrani w bojówki w panterkę, glany, czarne kurtki i także rękawice. Opiekunka, która wpuściła ich do bloku juniorów, oznajmiła, że nie życzy sobie obudzenia wszystkich czerwonych koszulek krzykami, więc musieli zgnać ofiarę po cichu.

Zanim weszli przez otwarte drzwi do pokoju, który Kevin Sumner dzielił ze swoim kolegą, James i Bruce naciągnęli na głowy kudłate maski wilkołaka.

- Na trzy - szepnął James, patrząc na spokojną twarz śpiącego dziesięciolatka. - Raz, dwa... trzy.

James runął na łóżko, by przycisnąć Kevina kolanem do materaca, a Bruce w tej samej chwili ścisnął małemu nos.

Chłopiec gwałtownie otworzył oczy, ale jego krzyk uwiąził w brudnej skarpecie, którą Bruce zatkał mu usta.

- Czas na spacer - wyszczał James, podnosząc swoją ofiarę z łóżka i przerzucając sobie przez ramię.

Kevin wściekle wierzgał i miotał się, wrzeszcząc w cuchnącą skarpetę, podczas gdy wilkołak niósł go korytarzem, po schodach w dół i przez główne wejście prosto w chłód nocy. Po dwustumetrowej przebieżce po błocie James wyrwał skarpetkę z ust Kevina i bezceremonialnie cisnął go w kałużę.

- Wstawaj, gnoju! - krzyknął Bruce, w ślad za Jamesem włączając diodową czołówkę.

Szlochając, Kevin podźwignął się, bosy, chroniony przed zimnem tylko przez podkoszulek i spodnie od pizamy.

- Za wolno! - wrzasnął Bruce i silnym kopnięciem w łydki ściał Kevina z nóg.

Chłopak padł twarzą w błoto.

- Wstawaj! Już! - krzyknął James.

- Tym razem szybciej - dodał Bruce.

Kevin płakał i dygotał na całym ciele.

- Patrz na malutką dzidzię - wycodził Bruce z paskudnym uśmiechem, jednocześnie stawiając glan na bosej stopie ofiary.

James zaszedł Kevina od tyłu, tak że roztrzęsiony chłopiec znalazł się wciśnięty pomiędzy oślepiające snopy światła połykające na jego pozlepianych błotem włosach.

- Czego ode mnie chcecie? - zapytał słabym głosem.

- Od tej pory jesteś własnością wilkołaków - wyszczerzył się James. - Pan Pike powiedział nam, że jesteś małym trzęsiportkiem. Powiedział, że nigdy nie przejdiesz szkolenia podstawowego, bo masz lęk wysokości i wysiadasz na torze przeszkód. No więc dopóki nie weźmiesz się w garść i nie przestaniesz zachowywać się jak pipcia, będziemy zatruwać ci życie najlepiej, jak potrafimy.

- Jeżeli zwiejesz, złapiemy cię - powiedział Bruce. - Jak będziesz płakał, będziemy się śmiać. Jeżeli kiedykolwiek choćby pomyślisz o podniesieniu na nas ręki... - Zamiast dokończyć zdanie, Bruce zacisnął dłoń w czarnej rękawicy na szyi chłopca.

- Zostawcie mnie w spokoju! - wycharczał Kevin.

Bruce naciskał coraz mocniej, aż pod nieszczęśliwym ugięty się kolana.

- Całuj nam buty - rozkazał James.

- Walcie się, głupki! - odrzyknął butnie Kevin.

Bruce wydobył z kieszeni kłębek nylonowej linki i podsunął go chłopcu pod nos.

- Jeżeli nie zaczniesz okazywać nam odrobiny szacunku, Sumner, zwiążę ci tym kostki, wciągnę na najbliższe drzewo, i będziesz dyndał głową w dół do rana.

Wiedzieli z akt, że zwisanie głową w dół było dla Kevina najgorszym koszmarem.

- Neeee - zapiszczał chłopiec, kiedy Bruce złapał go za kostki.

- Pocałuję, pocałuję...

- No to do roboty - warknął James. - I ładnie mi za to podziękuj.

James nie wiedział, co ma czuć, kiedy Kevin petł żałośnie przez kałużę, by docisnąć usta do czubka jego buta. Wiedział dokładnie, jakie to podłe uczucie być tak bezwzględnie upokorzonym, ale z drugiej strony sam nigdy nie zostałby cherubinem, gdyby tego kiedyś nie przeszedł.

- Dziękuję - zaszlochał Kevin po ucałowaniu butów Bruce'a.

- Dziękuję, panie wilkołaku! - krzyknął Bruce.

- Dziękuję panie wilkołaku - wyjąkał chłopiec.

Ubranie miał przesiąknięte lodowatą wodą i przeraźliwie szczekał zębami. James złapał go za podkoszulkę i dźwignął z błota.

- Musisz się rozgrzać - warknął. - Przelecimy się do ośrodka szkoleniowego. Biegiem! Już!

Próbując opanować wstrząsające nim spazmy, Kevin ruszył biegiem przez ciemność, z Jamesem i Bruce'em podążającymi kilka kroków za nim.

- Jest tylko jeden sposób na pozbycie się nas, Sumner - powiedział Bruce, nie przerywając biegu. - Będziemy siedzieć ci na karku, dopóki nie pokonasz toru przeszkód bez choćby śladu pomocy ze strony Jamesa i mnie.

James rzucił koledze jadowite spojrzenie.

- Nie używaj mojego imienia. Jestem wilkołakiem numer jeden.

Kevin obejrzał się przez ramię.

- Wiem, kim jesteście - powiedział zaczepnie, choć pociągając nosem. - James Adams i Bruce Norris. Może i mam dziesięć lat, ale nie jestem kompletnym głupkiem.

Bruce zdarł z głowy maskę i spojrzał na Jamesa z niesmakiem.

- Mówiłem ci, że ta akcja z wilkołakami to głupota.

- Nie cierpię juniorów - jęknął James, mocując się z własną maską. - To wszystko małe wyszczekane cwaniaczki.

Maska utknęła mu na górnej połowie głowy. Nie widząc, dokąd biegnie, musiał się zatrzymać.

- Pomóż mi, Bruce.

- To dowodzi, że masz naprawdę wielką dyńkę. - Bruce wyszczerzył się w złośliwym uśmiechu, pomagając koledze wyłuskać głowę z silikonowej po włóczki.

Jednak żartobliwy nastrój minął mu błyskawicznie, kiedy Kevin, korzystając z okazji, czmychnął między drzewa i znikł oprawcom z oczu.

- Wracaj tu albo urwę ci jaja! - wrzasnął Bruce.

Plaskanie stóp w błocie oddaliło się na niecałe dwadzieścia metrów, po czym nagle ustało.

- Schował się między drzewami - wyszeptał James.

Chłopcy założyli latarki z powrotem na głowy, cisnęli maski w błoto, a potem wyłączyli światło i zaczęli skradać się między drzewami.

- Liczę do dziesięciu, Kevin! - zawołał Bruce. - Pracujemy dla Pike'a, więc nadziejesz się na nas prędzej czy później. Jeżeli wyjdiesz, zanim doliczę do końca, nie będziesz musiał przez następne dwie godziny zwiasać głową w dół z drzewa.

- Wal się, jedzie ci z rozpora, brudasio! - krzyknął Kevin, kiedy Bruce zaczął liczyć.

Na nieszczęście dla Kevina James był już trzy metry od niego i przypuścił błyskawiczny atak. Na nieszczęście dla Jamesa Kevin znalazł wcześniej grubą gałąź, którą zamachnął się, kiedy tylko ujrzał napastnika. Kawał drewna rąbnął Jamesa w kolano z taką siłą, że pękł na dwoje.

- Oż ty mały gnojku! - wrzasnął James, łapiąc się za nogę, podczas gdy skulony pod drzewem Kevin zerwał się jak puszczone sprężyna i rzucił do ucieczki.

James skoczył naprzód i zdążył złapać zbiega za ubłoconą nogę. Ból w kolanie wprawił go w furję. Bezlitośnie ścisnął kruchą stopę Kevina i wykręcił ją w kostce. Kiedy chłopiec zakwilił z bólu i skulił się na ziemi, James puścił nogę i ukląkł nad pokonanym.

- Mógłbym cię rozgnieść jak robaka, ty mały popaprańcu.

- Zwiążmy go! - zawołał entuzjastycznie Bruce. - Myślę, że znacznie okazywać nam więcej szacunku, jak sobie po wisi parę godzin na zimnie.

- Pro... oszę - załkał Kevin.

Obserwując rozpacz na twarzy chłopca i łyż szklące mu się w oczach, James uzmysłowił sobie, że absolutnie nienawidzi swojej roli w tej grze.

- Czy chcesz przejść szkolenie podstawowe? - zapytał, świdrując Kevina wzrokiem.

- Tak - chlipnął chłopiec.

- Ale wiesz, że nie przejdiesz, dopóki nie pokonasz swojego lęku wysokości, prawda?

- Tak.

- Jestem tu po to, żeby pomóc ci pokonać ten strach - oznajmił James. - Wiem, że to działa, bo sam przechodziłem przez to samo, jasne?

Kevin skinął głową.

- To rusz tyłek i bierzmy się do roboty.

Podczas gdy James dźwigał się z ziemi, podciągając na nisko wiszącej gałęzi, Bruce złapał Kevina za podkoszulkę i jednym szarpnięciem postawił do pionu.

- Masz szczęście, że James dopadł cię przede mną - wycedził złowrogim tonem. - Gdybyś to mnie uderzył, ten kij byłby teraz głęboko w twoim tyłku.

\*

Wieczór Laury w Brighton był nieco spokojniejszy. Po powrocie ze szkoły i zmianie mundurka na zwyczajne ubranie Ania usiadła cicho przy biurku i odrobiła pracę domową z angielskiego składającą się głównie z ćwiczeń z rozumienia tekstu.

Po kolacji przyrządzonej w głównej kuchni domu dziecka dziewczęta wróciły do swojego pokoju, by plotkować przy telewizji i grać w karty. Rozmowa przewijała się przez kolejne tematy, przechodząc płynnie od błahostek w rodzaju muzyki pop i chłopców, którzy wpadli im w oko, do kwestii poważniejszych, takich jak wspomnienia z ich przeszłości.

Ania bez oporów opowiadała anegdotki o zabawnych zdarzeniach, jakich była świadkiem w rosyjskich szkołach lub o jakich czytała w gazetach, ale milkła, gdy tylko zbliżała się do ujawnienia konkretnych informacji o jej przeszłości. Laurze udało się potwierdzić jedynie to, że ludzie na fotografii w breloku to mama Ani oraz jej młodszy brat Georgij.



Wszelkie próby wydobycia z Ani informacji o miejscu jej zamieszkania w Rosji i przybyciu do Wielkiej Brytanii były przez nią ignorowane albo zbywane nagłą zmianą tematu, zaś pytania o mamę wywoływały jedynie bolesny grymas sugerujący, że Rosjanka jest bliska łez.

Laura nie była pewna, czy niechęć Ani do mówienia była skutkiem traumatycznych przeżyć, czy raczej częścią starannie skonstruowanej tarczy mającej ochronić małą przed odesłaniem do Rosji.

Tak czy owak kilka godzin spędzonych z Anią wystarczyło, by Laura uświadomiła sobie, że jej koleżanka jest szalenie inteligentna.

Dziewczęta poszły spać późno, po filmie, który obejrzały na kanale piątym. Mniej więcej pół godziny po zgaszeniu światła Ania zeszła na drabinkę przy swoim łóżku i szepnęła do Laury:

- Śpisz?

Laura uchyliła jedną powiekę i w pierwszym odruchu chciała odpowiedzieć, ale nie zrobiła tego, bo w głosie Rosjanki pobrzmiewała podejrzana nuta. Zamknęła oczy i nasłuchiwała, jak Ania schodzi po poskrzypującej drabince, a potem skrada się pod łóżko Laury.

Ania wzięła coś z biurka i na palcach weszła do łazienki. W następnej chwili Laura rozpoznała dźwięk otwieranego telefonu i oblała ją fala gorąca: misję przygotowywano w pośpiechu i choć włożyła do komórki nową kartę SIM, to nie zdążyła jeszcze wykasować SMS-ów, a karta pamięci była pełna zdjęć i filmów z urodzinowego weekendu Jamesa. Gdyby Ania je zobaczyła, legenda Laury byłaby spalona.

- Ehem - chrząknęła Laura, włączając lampkę przypiętą do metalowej ramy jej łóżka.

Ania zamarła jak zajęc w snopach reflektorów.

- Potrzebny ci mój telefon? - zapytała Laura.

- Nnie... nie - wybąkała Ania, uśmiechając się niepewnie, podczas gdy Laura przetoczyła się na krawędź łóżka i zeskoczyła bosą na dywan.

W rzeczywistości konieczność przeszkodzenia Rosjance była niefortunna okolicznością: Laura zdawała sobie sprawę, że rozmowa Ani mogła dostarczyć ważnych wskazówek co do jej tożsamości. Nie mogła jednak ryzykować, że dziewczyna zobaczy zdjęcia i filmy.

- Jak chcesz, możesz skorzystać - powiedziała, wyciągając w stronę Ani telefon, który dopiero co wyjęła jej z dłoni. - Pod warunkiem że nie będziesz gadać godzinami i nie zużyjesz mi całej karty.

Ale Ania potrząsnęła głową i z zakłopotaną miną odepchnęła podsunięty telefon.

- Ale do kogo miałabym dzwonić? Chciałam tylko obejrzeć. Proszę, nie złość się na mnie.

Laura wzruszyła ramionami.

- Daj spokój.

- Nigdy nie miałam komórki - ciągnęła Ania nerwowo. - Ty to masz fajnie.

- Następnym razem po prostu poproś - powiedziała Laura, wspinając się na łóżko z telefonem w dłoni. Dla bezpieczeństwa wcisnęła aparat między materac a ramę i zgasiła światło.

\*

- Włóż tutaj - rozkazał James, wskazując na drewnianą beczkę sięgającą mu do piersi.

- Szybciej! - dorzucił Bruce.

Beczka była obciążona piaskiem i nawet nie drgnęła, kiedy Kevin wciągnął się na wieko i usiadł.

- Ale wstań! - zdenerwował się James.

Było to polecenie, jakie dziesięcioletek powinien wykonać bez większych problemów, ale kiedy Kevin dźwignął się na nogi, trzęsły mu się dłonie.

- Nie patrz w dół. Po prostu skacz w błoto.  
- Nie mogę - skrzeknął Kevin, próbując ukucnąć.  
- Ani mi się waź! - ryknął Bruce. - Zegnij te nogi jeszcze o milimetr, a stanę ci na jajach. A teraz skacz!  
- Widziałem czterolatki skaczące z większej wysokości! - krzyknął James.

Kevin usiadł. Po policzku stoczyła mu się łza.

- Jak doliczę do trzech, masz wstać i zeskoczyć z tej beczki! - grzmiał Bruce. - Raz... Dwa...

- Nie mogę - zapłakał Kevin.

- Trzy!

Bruce z furią ściągnął Kevina z beczki. Cisnął go twarzą w błoto i postawił stopę na boku głowy.

- Co powiesz, James? - zapytał. - Czas na coś drastyczniejszego?

- Ten mały mięczak nie daje nam wyboru.

- Widzisz ten budynek, o tam? - Bruce wskazał na szopę z płaskim dachem używaną do przechowywania sprzętu ogrodniczego. - Zabierzemy cię teraz na dach i zrzucimy na dół.

- Nie, proszę - zaszlochał rozpaczliwie Kevin, zwijając się w kulkę. - Nie róbcie mi tego.

James podniósł go z ziemi.

- Lepiej zacznij wkładać w to trochę wysiłku, maminsynku. Nie wykręcisz się z tego tak łatwo. Możesz płakać i błagać i walczyć z nami przez całą noc, ale nas to w ogóle nie boli. Będziemy cię dręczyć noc za nocą, dopóki nie pokażesz, że naprawdę masz jaja.

Kevin próbował się targować, kiedy Bruce pociągnął go w stronę aluminiowej drabinki.

- Spróbuję jeszcze raz z beczki, dobra?

- Nic z tego - wysapał Bruce, walcząc z szamoczącym się chłopcem. - Miałeś trzy próby z beczką, a teraz lecisz z dachu.

- Prooszę! - zawył Kevin.

Wyrwał się zbyt gwałtownie, by można go było zmusić do wspięcia się po drabince. Bruce wszedł na dach, wychylił się poza krawędź i przejął wrzeszczącego chłopaka z rąk Jamesa. Podczas gdy Bruce włókł Kevina po płaskim dachu, James pobiegł za budynek, gdzie wcześniej ułożyli pod ścianą materac gimnastyczny.

- Skacz! - krzyknął Bruce, popychając chłopca w stronę przepaści.

James stanął przy materacu i rozłożył szeroko ręce.

- No dawaj, cykorze. Czego ty się, kurde, boisz?

Bruce potrząsnął Kevinem, trzymając go za ramiona nad samą krawędzią dachu. Pod chłopcem ugięły się nogi.

- Pro-oszę - zaszlochał. - Niedobrze mi.

- Niedobrze mi - zakpił Bruce. - Panienska się znalazła. Skacz!

Zamiast skoczyć, Kevin gwałtownie zgiął się w pół i cała zawartość jego żołądka chlusnęła z wysokości na materac. James odskoczył, ale o ułamek sekundy za późno i strumień wymiocin trafił go w wyciągniętą rękę. Bruce był tak zaskoczony, że puścił swoją ofiarę.

Dziesięciolatek zamachał rękami i z wrzaskiem runął na materac, ładując w kałuży własnych wymiocin rozcieńczonych deszczem.

- Ładne lądowanie, panienko - zauważył Bruce.

Kevin odwrócił się na plecy, odsłaniając paskudnie zarzyganą podkoszulkę i spodnie od piżamy. James współczuł mu z całego serca, ale wiedział, że ten sposób działa tylko wtedy, jeżeli dręczyciel nie okazuje litości.

- Mam nadzieję, że jesteś z siebie dumny, jełopie - powiedział wzgardliwie. - Może następnym razem zrzucimy cię tam, gdzie nie ma materaca.

- Walcie się! - krzyknął Kevin płaczkliwie. - Nienawidzę was obu.

- Tylko tego teraz nam trzeba, żeby nasz dzidzius narobił w gacie - wyszczerzył się Bruce, po czym zwiesił nogi za krawędź dachu i zeskoczył na ziemię, pilnując, by nie spaść na zabrudzony materac.

- Oż wy... - zachłysnął się Kevin, zrywając się na równe nogi.

- Ja wam pokażę, ćwoki jedne.

Chłopiec pobiegł za róg szopy. Przez chwilę James sądził, że dzieciak znowu próbuje uciec, ale ten dopadł drabinki i zaczął się wspinać.

- A właśnie, że skoczę! - wrzasnął Kevin łamiącym się głosem.

Wdrapawszy się na dach, przesadził go kilkoma susami i odbił od krawędzi z taką siłą, że mało brakowało, a nie trafiłby w materac.

- A niech mnie - mruknął James, opierając się pokusie powiedzenia: „Dobra robota”, po czym wyciągnął rękę, by pomóc chłopcu wstać.

- Nieźle jak na panienkę - dodał Bruce.

- Może powtórzyć? - wycedził Kevin. - Chcecie? Mam znowu skoczyć z dachu?

- Jeszcze raz - powiedział James, starając się nie okazywać zadowolenia.

Kiedy Kevin znów pobiegł do drabinki, James i Bruce uśmiechnęli się do siebie i przybili piątkę.

- Biedny mały - wyszeptał Bruce.

Za drugim razem Kevin skoczył ostrożniej, najpierw wysuwając palce za krawędź dachu, a po odbiciu lądując na stopach.

Bruce złapał chłopca za podkoszulkę, a James zmierzył go złym wzrokiem.

- No nieźle - warknął po chwili. - Umyj się i wracaj do łóżka. Widzimy się jutro po lekcjach przy torze przeszkód.

- Tylko się nie spóźnij - dodał Bruce z szyderstwem w głosie.

## 21. ŚNIADANIE

Nim James wziął prysznic i położył się spać, minęła północ. Rano, gdy zadzwonił budzik, nie spieszył się z wyjściem z łóżka. Jeżeli nie czekał go poranny trening, zawsze pozwalał sobie na kilka minut błógiego lenistwa. Często przysypiał jeszcze na minutkę lub dwie...

- Ożeż... - zasyczał, kiedy, spojrzawszy w górę, ujrzał, że jest za dwadzieścia dziewiąta.

Wyskoczył z łóżka, pospiesznie wbił się w czysty uniform i zjechał windą do stołówki. Z najwyższą ulgą powitał widok Bruce'a, Kyle'a, Shaka, Gabrielli, a przede wszystkim Kerry siedzących przy ich ulubionym stole i kończących śniadanie.

- Kerry, muszę odpisać od ciebie gegę - wypalił, podbiegłszy do stolika.

Kerry ze stoickim spokojem pociągnęła łyk soku grejfrutowego.

- Ciebie również miło widzieć, James.

- Nie, ale poważnie - jęknął James, zerkając na zegarek. - Wiesz, jaka z Norwooda jest piła.

- To ty nic nie wiesz? - zapytał Kyle grobowym głosem. James spojrzął na niego ukosa.

- Ze niby o czym?

- Pan Norwood miał wczoraj wypadek. Nie żyje.

- O Boże - zachłysnął się James. - To straszne.

Ale gdzieś w głębi duszy poczuł dziwną ulgę, dopóki nie zobaczył uśmiešku drgającego na ustach Kyle'a.

- Zostałeś wkręcony - wyszczerzył się Kyle.

Wszyscy przy stole gruchnęli śmiechem. James spojrząłspode łba na Kerry.

- Czy mogę odpisać twoją pracę domową, proszę?

- Masz! - Kerry wyrwała z plecaka kartkę z testem i trzasnęła nią o stół. - Może chcesz jeszcze papier i długopis?

James poklepał się po kieszeniach.

- Eee... właściwie to tak.

Kerry pokiwała głową z politowaniem i sięgnęła do plecaka po potrzebne akcesoria.

- Tylko nie spisuj słowo w słowo, bo się kapnie.

- Dzięki - powiedział James. - Lepiej skoczę po jakieś śniadanie, zanim zamkną bufet.

Zaletą spóźniania się na śniadanie był brak kolejki, wadą - to, że wszelkie przyzwoite żarcie było już dawno zmiecione z lady. Po przyjrzeniu się dziwnie zawilgłemu rogalikowi z jajkiem i bekonem, poprzestał na kubku kawy i garści owoców, które mógł jeść, biorąc je z talerza jedną ręką, a drugą w tym czasie przepisując test.

Usiadł przy wolnym stoliku, by móc się skoncentrować. Niestety, zdążył przerobić tylko siedem z piętnastu pytań, zanim rozległ się dzwonek wzywający na pierwszą lekcję.

- Oddawaj pracę - zażądała Kerry, wisząc nad Jamesem, podczas gdy ponad setka cherubinów tłoczyła się przy drzwiach stołówki.

- Jeszcze minutka.

Kerry cmoknęła z irytacją.

- Spóźnimy się. Miałeś na to cały tydzień.

- To idź - sapnął James, uświadamiając sobie, że jego odpowiedź na pytanie numer dziewięć jest raczej nieczytelna.

- Powiedz Norwoodowi, że jestem na górze u Meryl czy coś...

- Dobra. Ale to nie będzie dobrze wyglądało, jeżeli nie będę miała pracy domowej, a potem ty pojawisz się z dwoma testami.

- Wystarczy mi pięć minut, a on zawsze zbiera prace na końcu lekcji.

Kerry cmoknęła znowu.

- Widzimy się w klasie.

Po kolejnych kilku minutach w stołówce zostało mniej niż tuzin dzieci. James kreślił odpowiedź na ostatnie pytanie, dojadając ostatni kawałek banana, kiedy na kartce przed nim położył się cień.

- Jeszcze sekundka - wyseplenił James z pełnymi ustami, nie podnosząc wzroku.

Domyślał się, że to jedna z kucharek chce umyć stół. Ale z góry dobiegł go szorstki głos.

- Nie spiesz się, pachole.

James uniósł głowę i ujrzał chłopca w szarej koszulce, młodszego mniej więcej o rok. Nazywał się Stuart Russell, ale choć chodzili razem na niektóre zajęcia, James wiedział o nim tylko tyle, że całował się z Gabriellą podczas imprezy gwiazdkowej.

- Że co? - zdziwił się James.

- Jesteś pacholem - powiedział Stuart. - Pacholem instruktorem.

James pokręcił głową, nie rozumiejąc.

- Z czym masz problem?

- Kevin Sumner to mój kuzyn. Wiem, co mu zrobiliście w nocy.

James ostrożnie podniósł się zza stołu. Stuart był mniejszy od niego, ale jego pewność siebie sugerowała, że zna parę sztuczek.

- Słuchaj - zaczął James, unosząc dłonie w pojedynczym geście. - Kevin to miły chłopak, a my staramy się mu pomóc. Przecież wiesz, czasem trzeba być bezwzględny, no nie?



Stuart wycelował palcem w Jamesa.

- Lepiej pilnujcie, żeby nie stała mu się krzywda, inaczej ja wam zrobię krzywdę.

- Bruce'owi Norrisowi też? - zainteresował się James.

Stuart nagle stracił cały rezon. Odwrócił się do kolegi siedzącego przy stoliku kilka metrów dalej.

- Powiedziałeś mi, że to Bruce Clark.

Chłopak przy stoliku wzruszył ramionami.

- Kevin mówił tylko, że to był Bruce; nie powiedział który.

James uśmiechnął się pod nosem. Bruce Clark był nieśmiałym jedenastolatkiem, który nie skrzywdziłby muchy. Za to Bruce Norris był kampusowym mistrzem karate, który prawdopodobnie skrzywdziłby muchę z rozkoszą, a potem ruszył w pogoń za jej braćmi i siostrami.

- Co jest, замуrowało cię, Stewey? - wyszczerzył się James. - Mam przekazać Bruce'owi twoje ostrzeżenie?

- To i tak jakaś kicha - powiedział Stuart, wycofując się między stoły. - Zawaliłeś misję i przez ciebie zginęło dwoje agentów MI5. Nie rozumiem, dlaczego w ogóle trzymają cię jeszcze w kampusie, nie mówiąc już o pozwalaniu na trenowanie juniorów.

James był lepszy w nadstawianiu drugiego policzka niż na początku swojej kariery w CHERUBIE, ale wzmianka o zawieszeniu w prawach agenta rozzłościła go.

- A co ty wiesz? - wycodził. - Gadasz prosto z własnego tyłka.

- Już ja swoje wiem - odparł Stuart z szyderczym uśmiechem.

- Założę się, że cię stąd wykopią, jak tylko skończy się dochodzenie.

Samokontrola Jamesa trzasnęła jak zapalka. Pierwszy cios spadł Stuartowi na nos, ale drugi zaledwie musnął czubek głowy, którą chłopak zdążył na czas pochylić. Stuart skoczył do przodu, trafiając Jamesa bykiem w brzuch. Ten zatoczył się do tyłu w

zgrzycie przesuwanych krzeseł i stołów, aż oparł się o ladę bufetu.

James bał się, że Stuart uderzy go w nie do końca zagojony nos, i w głębi duszy poczuł ulgę, kiedy masywna pięść zmiażdżyła mu usta. Zlizawszy z warg krew, grzotnął przeciwnika w zębra z wystarczającą siłą, by wytrącić go z równowagi.

- Przestańcie! - krzyknęła bufetowa, kiedy James kopnięciem z kolana powalił Stuarta na podłogę.

Podczas gdy chłopiec próbował się podnieść, tęga kucharka wkroczyła między walczących, groźnie potrząsając stalową chochlą.

- Koniec przedstawienia! - krzyknęła. James uświadomił sobie, że patrzą na nich wszyscy w stołówce. - Wracajcie do swoich klas, już!

Stuart i James byli wystarczająco muskularni, by bez trudu odepchnąć kobietę na bok, ale choć obu przepełniała furia, żaden z nich nie odważyłby się podnieść ręki na członka personelu CHERUBA.

Stuart ukradkiem wycofał się po swoją torbę. James poprawił na sobie ubranie i pomyślał, że miał więcej szczęścia niż rozumu. Gdyby bójkę przerwał nauczyciel albo ktoś z opiekunów, a nie kucharka, on sam szedłby teraz nie na pierwszą lekcję, ale na dywanik do gabinetu prezeski.

James spojrzął na stolik, przy którym pracował, i ujrzał przewrócony kubek po kawie. Jego pospiesznie przepisana praca ocalała, ale górna połowa testu Kerry była przesiąknięta brązową cieczą.

Właśnie wydał na siebie wyrok śmierci.

\*

Laura zadzwoniła do Johna, kiedy tylko Ania wraz z innymi dziećmi odjechała do szkoły.

- Schrzaniłam - wyznała potulnie.

- Jak mam to rozumieć? - zapytał John.

- Ania chciała skorzystać z mojego telefonu i moglibyśmy zarejestrować jej rozmowę, ale musiałam ją powstrzymać, bo zapomniałam wykasować zdjęcia i wiadomości.

John zacmokał.

- Takiego byka mógłby strzelić agent na pierwszej misji, ale ty?

- Przepraszam.

- Przyznaję, że sam też nie jestem bez winy. Powinienem był dopilnować, żebyś przed misją dostała czysty telefon. Te nowoczesne smartfony zachowują wszelkie dane, nawet jeżeli sądzisz, że wszystko jest wykasowane. Dobra, niech pomyślę...

John zamilkł, a po chwili namysłu przemówił znowu:

- Okej, oczywiście chcemy zapewnić Ani dostęp do twojego telefonu i nagrać wszystko, co powie. Pojadę do miasta i kupię ci identyczny aparat, a potem powiem technikom z kampusu, żeby podłączyli się do sieci i rejestrowali wszystkie twoje rozmowy. Tylko dobrze by było, żebyś hamowała się trochę, kiedy świntu-szysz ze swoim chłopakiem.

- Bardzo śmieszne - burknęła Laura.

Lubiła pracować z Johnem. Inny koordynator palnąłby jej sąż-niste kazanie, ale on po prostu przyjął przeprosiny i sprawę nie-skasowanych wiadomości uznał za niebyłą.

- Spotkajmy się w piekarni około drugiej, dobrze? Przyniosę nowy telefon.

- W porządku - powiedziała Laura. - Ale poczekaj, jest jeszcze jedna sprawa, o której myślałam.

- Co takiego?

- Przypuścimy, że rozpracujemy szajkę handlarzy ludźmi i wsadzimy złoczyńców za kratki. Czy wtedy Ania wróci pierw-szym samolotem do Rosji?

- Przyszłość Ani będzie zależała od władz imigracyjnych.

- No tak - powiedziała Laura. - Ale jeżeli odkryję, kim jest, a ją odeślą do Rosji przeze mnie, to będzie... No bo przecież zostałam

cherubinem, żeby pomagać ludziom, ale Ani w ten sposób nie pomogę, no nie? John westchnął.

- Wiem, co chcesz powiedzieć, ale nie jestem pewien, co mógłbym w tej sprawie zrobić.

- No co ty, John - oburzyła się Laura. - Przy wszystkich możliwościach i kontaktach CHERUBA chcesz mi powiedzieć, że nie jesteś w stanie zorganizować pomocy dla jednej małej dziewczynki?

John westchnął po raz drugi.

- Masz trochę racji. Niczego nie obiecuję, ale zobaczę, co się da zrobić.

## 22. PRZEŁOM

- To było niechcący! - wydarł się James, roztrzając dwóch kolegów z klasy i puszczając się biegiem przez korytarz z Kerry na ogonie.

- Jesteś trupem, Adams! - wrzasnęła Kerry.

Dwaj juniorzy w czerwonych koszulkach przypadli do ścian, uskakując jej z drogi.

James z impetem wypadł za róg, ale widząc parę wychodzących z klasy nauczycieli, gwałtownie wyhamował do żwawego marszu. Nie chciał zebrać bury za bieganie. Kerry także zwolniła i pościg trwał w tempie spacerowym do chwili, gdy James dotarł do klatki schodowej prowadzącej na piętra mieszkalne na górze.

- Kerry, przestań! - zawołał James, przesadzając po dwa stopnie naraz. - Daj mi już spokój!

Szybkość nigdy nie była jego mocną stroną i Kerry dopadła go na czwartym piętrze.

- Prąciogłów! - warknęła, waląc go z całej siły pięścią w ramię. - Mam dość problemów i bez głupiej kozy, którą zarobiłam przez ciebie.

- To nie moja wina - zaseplenił James, wywijając dolną wargę, by pokazać skaleczone miejsce. - Stuart Russell to straszny palant...

- To nie ma nic do rzeczy - ucięła Kerry. - Przepisałeś słowo w słowo, baranie!

- Wcale nie słowo w słowo.
- Pan Norwood pokapował się w dwie sekundy. Ostatni raz dałam ci coś odpisać, James, choćbyś nie wiem jak błagał.

James nerwowo przeczesał dłonią włosy, które domagały się już fryzjera.

- A może pójdziemy do mnie i spróbujemy naprawić nasze stosunki...

- Nie przeginaj - wycodziła Kerry. - Zresztą mam lekcję, a ty pracę z historii do napisania.

- Właśnie, że nie - wyszczerzył się James. - Pan Pike wykręci mnie z tego, jeśli tylko Kevin Sumner przejdzie przez tor przeszkód.

- Twoja sprawa, James. Zawsze próbujesz się ślizgać, zamiast uczciwie pracować. Nic dziwnego, że w końcu położyłeś misję.

James zdębiał.

- Ze co proszę?

Kerry wiedziała, że ta misja to czuły punkt Jamesa, i zdała sobie sprawę, że przeholowała.

- Nieważne, James, nie słuchaj mnie. To było głupie.

- Stuart też coś takiego powiedział. Czy to właśnie wszyscy o mnie myślą?

Kerry odwróciła się i ruszyła w dół schodów, ale James złapał ją za ramię.

- Nie odchodź tak ode mnie!

- Puść, James, mam lekcję.

- Chcę wiedzieć, Kerry.

Kerry spuściła wzrok.

- Chodzą plotki, że dałeś się sfilmować przy zakładaniu pluśkiew i że dlatego zabili tamtych agentów.

- Kto ci to powiedział?

- Bo ja wiem. - Kerry wzruszyła ramionami. - To plotka, James. Wszyscy tak mówią.

- Wierzysz w to?
  - Jasne, że nie.
  - Dopiero co powiedziałaś: „Nic dziwnego, że w końcu położyłeś misję”. Trudno to nazwać poparciem.
  - Nie to miałam na myśli - wiła się Kerry.
- James poczuł się dźgnięty w samo serce.
- No to co miałaś na myśli, do cholery?!
  - Ja nie... James, spóźnię się na lekcję.

Kerry odwróciła się i zbiegła po schodach. James zacisnął pięści i w pierwszej chwili chciał rąbnąć w ścianę, ale zrezygnował. Próbował tego już wcześniej i wiedział, że w rzeczywistości boli znacznie bardziej, niż pokazują to ludzie na filmach.

Chciał wrócić do swojego pokoju, ale zmienił zdanie, zanim wspiął się na następne półpiętro. Nie miał żadnych wieści od Ewarta od czasu sobotniej wiadomości na automatycznej sekretarce i chciał się dowiedzieć o postępy śledztwa.

\*

Budynek centrum planowania misji był jednym z najnowocześniejszych w kampusie CHERUBA. Gabinet Ewarta Askera zdobiło eleganckie klonowe biurko z rodzinnymi fotografiami skrytymi pomiędzy chwiejnymi stertami dokumentów.

- Siadaj sobie - powiedział Ewart, wskazując na dwie zamshowe sofy przy oknie. - Masz jakieś nowe informacje?

- Obawiam się, że nie - westchnął James, siadając. - Dawno się nie widzieliśmy i byłem ciekaw, co się dzieje.

Ewart wzruszył ramionami.

- Nie idzie to zbyt szybko.

- Nie miałem przypadkiem jechać do MI5 w Londynie na kolejne przesłuchanie?

- Wykręciłem cię z tego - powiedział Ewart. - Szczerze mówiąc, to miałem z nimi karczemną awanturę. Chcą, żebyś trzeci

raz jechał do Londynu i opowiadał to samo, ale moim zdaniem robią to tylko dlatego, że próbują cię zmęczyć, przyłapać na jakiejś sprzeczności i zdyskredytować twoje zeznania. Tymczasem MI5 gra na zwłokę i jakoś wciąż nie może przesłać mi sporej porcji informacji, jakich zażądałem, o Borysie i Ajli. No więc powiedziałem im, że nie będzie kolejnego przesłuchania, dopóki nie zaczną współpracować ze mną na całej linii.

- Jak to przyjęli?

- Jak głodnego lisa w kurniku - uśmiechnął się Ewart. - Szef MI5 dzwonił do Zary poskarżyć się na moje zachowanie. Ministrowi wywiadu nie podoba się, że CHERUB i MI5 prowadzą osobne dochodzenia, i przebąkuje o konieczności przystania niezależnego śledczego. Ale CHERUB to nie jest sprawa jakiejś upadającej szkoły czy urzędu pocztowego; nie można po prostu dać komuś z zewnątrz otwartego dostępu do akt służb wywiadowczych.

- Chodzi o to, Ewart, że po kampusie krążą słuchy, że agenci MI5 zginęli przeze mnie, co oznacza, że albo zostanę wykopany z CHERUBA, albo spędzę resztę kariery, odwalając misje werbunkowe i główniane kontrole bezpieczeństwa.

Ewart wzruszył ramionami.

- Jeśli chodzi o plotki, to musisz po prostu wyhodować sobie twardą skórę, James. Wiesz, jak to jest, zaczynasz od dwa razy dwa, a po paru dniach w kampusowym młynie dzieciakom wychodzi z tego czterysta pięćdziesiąt.

- Ale nawet Kerry w to wierzy, przynajmniej częściowo.

- Mówiłem ci od początku, James, śledztwo prawdopodobnie potrwa miesiące. Wszelkie plotki, jakie możesz usłyszeć, są całkowicie bezpodstawne. To cały nasz problem: nie mamy niczego, na czym moglibyśmy się oprzeć, oprócz martwych ciał Borysa i Ajli, oraz, rzecz jasna, twojego zeznania.



- Jak oceniasz szanse na wydębianie filmu od CIA?  
- Robimy, co w naszej mocy - odpowiedział Ewart. - Ale to może potrwać wiele tygodni i nie można wykluczyć ryzyka, że nie dostaniemy taśmy w ogóle.

James uśmiechnął się nieśmiało.

- A ty mi wierzysz, Ewart?

- Nie mam powodów, by sądzić, że kłamiesz. Miałeś kilka problemów z dyscypliną, ale przebieg twojej kariery agenta jest nieposzlakowany. Kłopot w tym, że MI5 mówi dokładnie to samo o Borysie i Ajli. Łącznie mieli za sobą ponad czterdzieści lat wiernej służby ojczyźnie, a ich osobiste teczki są czyste jak łąza - nie żeby pozwolili mi w nie zajrzeć. Słowem, James, MI5 twierdzi, że ich ludzie są czysti. Starają się przekonać ministra wywiadu, że to ty jesteś winien wszystkiemu, co poszło nie tak w Aerogrodzie, ja zaś staram się go przekonać, że nie ma żadnych powodów, by ci nie ufać, oraz tłumaczę, że MI5 ukrywa informacje i odmawia współpracy z moim dochodzeniem.

- Koszmar - westchnął James.

- Żebyś wiedział - skinął głową Ewart. - Jest jak w tym starym dylemacie: co będzie, jeśli nieodparta siła natrafi na nieporuszalny obiekt? Jesteśmy kompletnie ujajeni, dopóki nie dostaniemy jakichś solidnych dowodów.

- A może bym przejrzał twoje materiały ze śledztwa? - zaproponował James. - Nigdy nie wiadomo, może jak spojrzę na to świeżym okiem, to coś przyjdzie mi do głowy.

Ewart potrząsnął głową.

- Sorka, James, ale to wykluczone. I tak jestem pod ostrzałem koleśków z MI5, którzy twierdzą, że nie nadają się do prowadzenia dochodzenia, bo byłem osobiście za angażowany w operację, a do tego jestem mężem prezeski. Gdybym pozwolił ich głównemu podejrzanemu grzebać w materiałach śledztwa, zjedliby mnie żywcem.

James popatrzył smutno w podłogę.

- No to chyba cię z tym zostawię - westchnął po chwili i wstał z kanapy. - O jedenastej mam trening kondycyjny.

- Spróbuję informować cię o postępach - powiedział Ewart. - I nie pozwól, by plotki zalazły ci za skórę. Są bezpodstawne. Wszystko wyssane z palca.

- Jeszcze jedno. - James odwrócił się na progu. - Przypuśćmy, że nie znajdziecie żadnych nowych dowodów przez następne dwa, trzy miesiące i dochodzenie się skończy. Co wtedy będzie ze mną?

Ewart poruszył się niespokojnie.

- Musimy być bielsi niż śnieg, James, wiesz o tym.

- Co to znaczy?

- Dwie osoby nie żyją, a MI5 robi wszystko, by zrzucić winę na nas. Jeśli nie zdołamy dowieść, że jesteś niewinny, Zara nie będzie miała innego wyjścia, jak tylko poprosić cię, byś opuścił szeregi CHERUBA.

- Czyli plotki nie są tak dalekie od prawdy - powiedział James grobowym głosem i zamknął za sobą drzwi.

## 23. WYZNANIE

Laura leżała na łóżku i czytała stronę z poradami, kiedy do pokoju weszła Ania, która właśnie wróciła ze szkoły. Dziewczynka stanęła na dolnym szczeblu drabinki łóżka i pomachała małą laseczką Toblerone.

- Dla ciebie - uśmiechnęła się.

- Dzięki - ucieszyła się Laura, biorąc od niej batonik. - A to za co?

- No bo wczoraj... Głupio wyszło z tym telefonem. - Ania spuściła wzrok.

- Nie przejmuj się - powiedziała wesoło Laura, podsuwając koleżance podwójny trójkącik czekolady. - Nigdy nie miałaś komórki. Szczerze mówiąc, już o wszystkim zapomniałam.

To nie była prawda. Minione pół godziny Laura spędziła na szukaniu odpowiedniego miejsca dla jej telefonu zastępczego. Chciała, żeby Ania mogła go łatwo znaleźć, ale nie aż tak łatwo, by mogła zwietrzyć podstęp.

- Wczoraj w nocy skłamałam - wyznała Ania. - Wzięłam telefon, żeby zadzwonić do przyjaciółki w Rosji.

- Czemu nie skorzystasz z telefonu na korytarzu na dole? - zapytała Laura, dobrze wiedząc, że ten także jest na podsłuchu.

Ania obejrzała się niespokojnie, a potem zeszła z drabiny i zamknęła drzwi.

- Nie chcę, żeby opieka społeczna namierzyła rozmowę - wyszeptała. - W Rosji mieszkalam w domu dziecka. Tam nie było tak miło jak tutaj: żadnych dobrych ubrań ani nawet ciepłego miejsca, żeby się umyć. Jak wrócę, to mnie pobiją. Ale muszę zadzwonić do koleżanki, zapytać, czy z Georgijem wszystko w porządku.

- W takim razie możesz śmiało użyć mojego - powiedziała Laura. - Jest w szufladzie w biurku.

- Dobra z ciebie koleżanka - uśmiechnęła się Ania. - Mój angielski jest słaby. Miło mieć kogoś, z kim można po rozmawiać po rosyjsku.

Ania wyjęła telefon z szuflady i otworzyła go, ale potem zastygła, wpatrując się tępo w klawiaturę. Laura zeskoczyła z łóżka z policzkiem wypchniętym czekoladą.

- Dawaj - powiedziała, wyciągając rękę po telefon. - Jaki numer?

- Dwa, sześć, jeden, dwa, siedem, jeden.

Laura potrząsnęła głową.

- To tylko lokalny numer, nie zadziała. Najpierw trzeba wstukać kod kraju dla Rosji i kierunkowy.

- Słucham?

- Potrzebujemy dodatkowych numerów.

- Skąd?

- Mogę zapytać w informacji, jeżeli wiesz, gdzie jest dom dziecka, do którego chcesz dzwonić.

Ania plasnęła się dłonią w czoło.

- Ale jestem głupia! - zawołała. - To dlatego nic mi nie wyszło, kiedy próbowałam dzwonić z budki przy szkole.

Zapytanie w informacji o kierunkowy do Niżnego Nowogrodu i wystukanie prawidłowego numeru zajęło Laurze dwie minuty.

- Już dzwoni - powiedziała, wręczając Ani komórkę. Dziewczyna odchrząknęła.

- Halo? - powiedziała sztucznie pogrubionym głosem.

\*

W pensjonacie niecały kilometr dalej John Jones siedział na łóżku i słuchał rozmowy Ani, wpatrując się jednocześnie w ekran laptopa. Komputer przeszukiwał rosyjską książkę telefoniczną poprzez bezpieczne łącze z kampusem CHERUBA.

- Kto mówi? - spytała jakaś kobieta.

- Dzień dobry, mówi Joasia - powiedziała Ania. - Mogę prosić Polę? Jestem jej koleżanką ze szkoły.

- Pola już tu nie mieszka - odburknęła kobieta.

- Och... - zająknęła się Ania, na krótką chwilę zapominając o zniekształcaniu głosu. - Mam książkę, którą mi pożyczyła. Może mi pani powiedzieć, gdzie ją znajdę?

- Nie mogę. Co ja jestem, jej sekretarka?

Na ekran laptopa Johna wypłynął adres:

Zakład Opiekuńczy dla Nieletnich nr 7

Dom Komunalny

Rynek Główny

Niżny Nowogród

Rosja

- Pożyczyła mi książkę - powtórzyła Ania. - Muszę ją oddać.

Kobieta wydała dźwięk przypominający skrzypienie drzwi, po którym nastąpił złośliwy rechot.

- Nasza Anuszka - zawołała szyderczym tonem. - A już myślałam, że przepadłaś na dobre.

Połączenie nagle się urwało.

\*

Ania zatrzasnęła telefon. Była blada jak ściana.

- Mojej koleżanki już tam nie ma - powiedziała grobowym głosem. - Miałam nadzieję, że powie mi coś o Georgiju, ale ją też chyba odesłali.

- Skoro to dom dziecka, pewnie się nim opiekują, no nie?  
- Georgij jest śliczny - powiedziała Ania rzeczowym tonem. - Niewielu ludzi chce dzieci w naszym wieku, ale teraz, kiedy się mnie pozbyli, jego oddadzą do adopcji bez trudu. Nie zobaczę go już nigdy w życiu.

Laura objęła koleżankę, po której policzku stoczyła się łza.

- Nie mogą mnie tam znowu odesłać - szepnęła Ania, powstrzymując szloch. - Dlatego nikomu o tym nie mów, dobrze?

\*

Było ciemno i przejmująco zimno, kiedy James, skończywszy ostatnią lekcję, ruszył w stronę ośrodka szkoleniowego. Bruce podbiegł od tyłu i klepnął go w plecy.

- Jak tam gęba? - zapytał życzliwie.

- Nieźle - odrzekł James. - Mam trochę spuchniętą wargę.

- Stuart Russell chodzi ze mną na stolarkę - wyszczerzył się Bruce. - Wziąłem dłuto, podchodzę do niego i mówię: „Masz ze mną problem, słoneczko?”. Kolo momentalnie zbladł jak ściana. Wyglądał, jakby miał narobić w gacie.

- Taki twardy gość? - zdziwił się James. - Wydawał się całkiem pewny siebie.

Bruce machnął ręką.

- Stuart jest mocny tylko w gębie. Założę się, że Laura załatwiłaby go bez trudu.

James zaśmiał się.

- Laura pewnie załatwiłaby mnie. Jest nieduża, ale spróbuj się do niej dobrać.

- No dobra, przestań się śmiać. Mamy robotę - powiedział Bruce, poważniejąc.

Kevin czekał przy drewnianych podporach napowietrznego toru przeszkód, ubrany odpowiednio do pogody: w grubą kurtkę, rękawice i wełnianą czapkę.

- Myślisz, że jesteś taki cwany, taa? - wycodził z furią Bruce, łapiąc chłopaka za kurtkę i przyciskając do drewnianego słupa. -

Że jak powiesz o nas kuzyneczce, to coś ci to pomoże? Szukasz kłopotów, mały?

- Tylko z nim rozmawiałem - wił się Kevin. - Nie wiedziałem, że on się do was przyczepi...

- Jeszcze jeden taki numer, a osobiście wyszukam najbrzydliwszy kibel w kampusie, a potem wepchnę ci do niego łeb. Zrozumiano?

- Tak jest, sir - odparł potulnie Kevin.

- Wczoraj w nocy zrobiliśmy postępy - powiedział James, wyjmując z kieszeni kurtki klucz, który dostał od pana Pike'a, i wsuwając go w otwór szarej skrzynki wiszącej na słupie tuż nad głową Kevina. - A teraz zobaczymy, jak poradzisz sobie z tym maleństwem.

Przekreślił klucz, a wtedy nad głowami chłopców zajaśniały rzędy reflektorów, oświetlając drewnianą konstrukcję napowietrznego toru przeszkód. Złowroga kompozycja z wież, pomostów, słupów i linowych huštawek, niknąca wysoko między strzelistymi drzewami, stanowiła trudne wyzwanie dla każdego, a dla cierpiących na lęk wysokości była prawdziwym koszmarem.

- Coś błado wyglądasz, Kev - zarechotał James, ale pożałował swoich słów, kiedy zobaczył, że Kevin z całych sił powstrzymuje łzy.

Instynkt nakazywał mu objąć chłopca i zapewnić, że wszystko będzie dobrze, ale dopiero co dokonali przełomu właśnie dzięki bezwzględności. To nie był dobry moment na odrzucenie maski.

- Płacz, bobasku - zadrwił Bruce, szczypiąc chłopca w policzek. - W jaki sposób zamierzasz zostać cherubinem, skoro zaczynasz ryczeć, jeszcze zanim czegokolwiek spróbujesz?

James z zadowoleniem patrzył, jak Kevin zaciska zęby, prezentując tę samą wyzywającą minę, z jaką poprzedniej nocy skończył z dachu szopy.

Tor zaczynał się od linowej sieci do wspinania prowadzącej do wąskiej deski zawieszanej między dwoma drzewami, kilkanaście metrów nad ziemią.

- Nie patrz w dół - powiedział James, kiedy Kevin ostrożnie wsunął stopę w najniższe oczko siatki.

Bruce, nie czekając na nich, pomknął na górę, a James ruszył o kilka oczek za Kevinem. Dobrze pamiętał, jak bardzo był przerażony, kiedy pokonywał tor po raz pierwszy. Kev wspinął się powoli, zatrzymując się za każdym razem, gdy wiatr zakołysał siecią, ale James pomyślał, że jak na pierwszy raz radzi sobie całkiem nieźle.

Z pewnych względów łatwiej było pokonywać tor po ciemku; było się wówczas mniej świadomym swojego otoczenia.

- Gdzie poręcz? - zawołał Kevin z paniką w głosie, kiedy dotarł do deski.

- Jaka poręcz? - skontrował Bruce z takim zachwytem w głosie, że James zaczął się zastanawiać, czy dręczenie dzieciaka nie sprawia mu przypadkiem autentycznej frajdy.

James pamiętał swoje pierwsze przejście po platformach zawieszonych dwadzieścia metrów nad ziemią i węższych niż dwa zsunięte razem buty.

- Gdyby ta deska leżała na ziemi, chodziłbyś po niej cały dzień i nie zleciał - powiedział, by dodać Kevinowi otuchy, poklepując go krzepiąco w ramię.

Następny fragment toru składał się z dwóch poziomych rur przerzuconych nad dziesięciometrową przepaścią. Bruce zwiesił się z nich na rękach i miarowo kołysząc ciałem, sprawnie przedostał się na następną platformę: kwadratową, zabezpieczoną z dwóch stron drewnianymi barierkami.

- Połóż ręce na poręczach, z tyłu zaczepl się butami i idź na czworakach! - zawołał do Kevina.

- Tam na dole są siatki ochronne, tak? - zainteresował się chłopic.



- Jak spadniesz, to się dowiesz - burknął James. - Rusz ten chudy zad.

Lodowaty metal parzył Jamesa w palce. Kevin pełził zwawo, dopóki w dwóch trzecich dystansu prawa stopa nie ześliznęła mu się z rury. Zdołał wprawdzie odzyskać równowagę i ponownie zaczepić but, ale wystraszony zeszywniał i zaczął żałośnie pociągać nosem.

- Jezus Maria! - zachnął się Bruce. - Już wiemy, kto zagra aniołka w tegorocznej szopce.

Jamesa zaniepokoiło to, że Kevin się zatrzymał. Gdyby spadł, ocaliłyby go siatki bezpieczeństwa, ale to zdruzgotałoby resztki jego pewności siebie, a w drodze na dół gałęzie zrobiłyby z niego sieczkę. I nie chodziło tylko o to, że Jamesowi było żal Kevina i że życzył mu sukcesu: na szali była także jego zaliczeniówka z historii.

- Dobra, ruszaj się - powiedział James, odrywając dłoń od rury, by delikatnie poklepać Kevina w pośladek.

Kevin ruszył do przodu, ale becząc żałośnie i lejąc strumienie łez. Gdy tylko znalazł się w zasięgu rąk Bruce'a, ten poderwał go do góry i przyparł do drewnianej balustrady.

- Jak usłyszę jeszcze jedno chlipnięcie, dam ci prawdziwy powód do płaczu - wycodził z furją, łapiąc swoją ofiarę za nos i boleśnie go wykręcając.

- Ja już nie mogę - zakwilił Kevin. - Proszę, dajcie mi zejść.

Bruce złapał nieszczęśnika za kurtkę i pchnął go na otwartą stronę platformy.

- Chcesz na ziemię?

- Nie zrzucaj mnie! - wydarł się Kevin. - Proszę, nieeee! Nie zrzucaj!

- Dwidziś - prychnął Bruce. - Wiesz co, nie mogę już słuchać tego twojego biadolonia.

Z tymi słowy puścił kurtkę Kevina i zepchnął go z platformy.

James zmartwiał, kiedy wrzeszczące małe ciało runęło w dół przez gałęzie.

- Co ty wyprawiasz?!

Bruce wzruszył ramionami.

- Spadnie na siatkę.

- Siatka jest w razie ostateczności, baranie. Mógł sobie skrócić kark albo coś...

Bruce cmoknął niecierpliwie.

- James, oprzytomniej, mieliśmy być bezwzględni, już nie pamiętasz? A ty zachowujesz się, jakbyś chciał się z nim ożenić.

- Jest bezwzględność, Bruce, i jest to. Zepchnąłeś go z platformy, szajbusie!

- Ja i Kyle ciągle to robiliśmy, kiedy byliśmy w juniorach - powiedział Bruce lekceważącym tonem, po czym wystawił stopę za krawędź platformy i wyprostowany pochylił się do przodu.  
- Dobranoc!

James przypadł do brzegu platformy i wbił wzrok w rozkołysaną gęstwę, w której znikł jego kolega. Daleko w dole mignął mu cień Kevina gramolącego się z siatki bezpieczeństwa na ziemię, rozszłochanego, ale najwyraźniej wciąż w jednym kawałku. Wtedy usłyszał krzyk bólu.

- Bruce? - wrzasnął James w panice, rozpaczliwie usiłując dostrzec coś między gałęziami. - Nic ci nie jest?

- Czy ja, kurde, wyglądam, jakby mi nic nie było? - odkrzyknął Bruce.

James sięgnął pod platformę i namacał jedną z lin ratunkowych. Na oślep odpiął skórzany pasek i posegmentowany węzłami zwój rozwinął się ku ziemi.

- Już schodzę - zawołał James, spuszczać nogi za platformę i szukając stopami pierwszego węzła.

Pospiesznie opuścił się na dół i pomknął w stronę jęczącego Bruce'a.

- Co się stało?

- Bóg jeden wie - stęknął Bruce. - Ale strasznie mnie noga zasuwawa.

Kevin stanął za Jamesem.

- Ja widziałem - powiedział i pociągnął nosem, wskazując palcem szczelinę między dwoma segmentami czarnej siatki. - But zaczepił mu się w szparze i wtedy tak mu strasznie chrupnęło w nodze...

- Biegnij do medycznego i niech ktoś tu natychmiast przyjedzie - zarządził James. - Myślę, że to tylko zwichnięty staw, ale równie dobrze mógł sobie coś złamać.

- Jasne - powiedział Kevin i pobiegł w mrok.

James ukląkł nad Bruce'em i wciągnął powietrze przez zęby, widząc, że jego stopa jest odwrócona praktycznie o sto osiemdziesiąt stopni.

- Eee... Właściwie to myślę, że coś sobie złamałeś - powiedział James, krzywiąc się na myśl, że prawdopodobnie taki uraz boli jeszcze gorzej, niż wygląda.

- Jak po... - skrzeknął Bruce z wysiłkiem.

- Że co? - zapytał James, przysuwając ucho do ust kolegi.

- Skakałem z tej platformy tysiąc razy - wystękał Bruce. - Jak powiesz: „A nie mówiłem”, przysięgam na Boga, wkopię ci do głowy wszystkie zęby po kolei.

James rozciągnął twarz w panoramicznym uśmiechu.

- A nie mówiłem, Brusiaczku?

## 24. TELEFON

Dzwonek MC Hammer obudził Laurę o trzeciej nad ranem. Wychyliła się przez krawędź łóżka, by sięgnąć w dół po leżącą na biurku komórkę. Dzwonił jakiś mężczyzna; ktoś, kogo nie znała, mówiący po rosyjsku.

- Anna?

- Nie - powiedziała Laura. - Ale jest tutaj. Dać ją?

Po drugiej stronie pokoju Ania gwałtownie zamachała rękami.

- Rozłącz się - wyszeptła.

- Przykro mi, ale Ania nie chce z panem rozmawiać - oznajmiła Laura, patrząc na koleżankę.

- Jestem jej przyjacielem i chcę jej pomóc. Mogę jej powiedzieć, gdzie jest Georgij.

Laura przykryła dłonią telefon.

- Mówi, że wie, gdzie jest Georgij.

Choć była noc, do pokoju wpadało dość światła z ulicy, by Laura zobaczyła wyraz niepewności na twarzy Ani. Po chwili wahania Rosjanka przebiegła przez pokój i złapała komórkę.

- Halo? - powiedziała drżącym głosem.

- Oj, Ania, Ania... - zamruczał łagodnie głos w słuchawce.

Dziewczyna zasłoniła usta dłonią.

- Pan Bruszka? - wykrztusiła.

- Obiecałaś nam coś, Aniu. Podjęliśmy niemałe ryzyko i zapłaciliśmy mnóstwo pieniędzy, żeby dostarczyć cię do Anglii. W zamian prosiliśmy jedynie, żebyś odpracowała swój dług w naszym zakładzie.

Ania milczała wpatrzona w telefon oczami wielkimi jak spodki.

- Wiem, gdzie jest Georgij - kuśił mężczyzna.

- G... gdzie?

- Wszystko ci powiem, kiedy po ciebie przyjadę.

Na twarzy Ani powoli wyrósł uśmiech.

- A więc nie wiecie, gdzie jestem.

- Masz u nas dług, Anna. Powinnaś była od razu do nas zadzwonić. Nie trzeba było uciekać.

- Nie uciekłam - zaprotestowała Ania. - Zostawili mnie na łodzi.

- Gdzie jesteś, Anka?

Laura zaczęła opętańczo kręcić głową.

- Jeśli mi nie powiesz, Georgij może nieszczęśliwie upaść... - zamruczał pan Bruszka. - Albo może sięgnie na stół i ściągnie na siebie garnek z wrzątkiem...

- Ja... - zająknęła się Ania, ale nagle zatrzasnęła telefon i odrzuciła go Laurze. Oparła się o nogę łóżka i rozszlochała się. - Oni... Oni mu...

- Kto to był, Aniu?

- Pan Bruszka. Naprawiał różne rzeczy w naszym domu dziecka. Nie było pieniędzy na remonty, więc Bruszka łątał, co się dało, wstawiał szyby, wymieniał żarówki i takie tam. Był miły dla dzieci, nie tak jak wychowawcy, którzy byli wredni jak diabli. Czasem przynosił nam gorące ciastka z piekarni i tanie zabawki dla Georgija i innych maluchów. Po jakimś czasie zaczął opowiadać nam o kuzynie, który ma firmę w Anglii. Mówił, że ma straszne trudności z pracownikami. Spytał nas, czy niektóre z dziewczyn nie chciałyby tam popracować, i na początku powiedział to tak, jakby właściwie żartował, ale my zaczęłyśmy go

wypytywać i niemal błagać, żeby załatwił nam pracę w Anglii, oczywiście kiedy dorośniemy. Trwało to całe wieki. Bruszka nawcisłał nam kitu o tym, jakie to będziemy mieć wspaniałe domy i kupę pieniędzy. Mówił, że jest mnóstwo Anglików, którzy chętnie ożenią się z takimi pięknymi dziewczynami jak my, a wtedy dostaniemy obywatelstwo. A potem któregoś wieczoru powiedział, że jego kuzyn jest w mieście i że jeśli chcemy, to możemy się z nim spotkać. Poszłam ja i osiem innych dziewczyn. Wymknęłyśmy się w czasie ciszy nocnej i pojechałyśmy autobusem nad rzekę. Bruszka już na nas czekał. Kazał nam wejść do ciężarówki. Dwie starsze dziewczyny zaczęły się dopytywać, o co chodzi, ale tam byli jeszcze inni faceci - gangsterzy - i kiedy tamte dwie chciały uciec, to ci zaczęli je bić i kopać. Wyciągnęli kije bejsbolowe i wsadzili nas do tej ciężarówki. Powiedzieli, że będziemy jechać kilka dni i że jeśli którakolwiek z nas będzie podskakiwać, to oni nas...

Słowa uwięzły Ani w gardle, a z oczu znów popłynęły łzy. Laura ujęła jej dłoń.

- Oni powiedzieli, że nas zgwałcą.

\*

Kiedy James obudził się o szóstej rano, w radiu nadawano ostrzeżenie pogodowe, a okno jego sypialni było wymalowane mrozem. Wyjrzawszy między listkami żaluzji, z zachwytem powitał widok drzew i trawników kampusu pokrytych białą warstwą szronu. To znaczyło, że może wrócić do łóżka na następne półtorej godziny.

Ale najpierw musiał coś załatwić. Zdjął słuchawkę z telefonu i wykręcił numer wewnętrznej centrali kampusu.

- Dzień dobry, poproszę z pokojem Kevina Sumnera w bloku juniorów.

Po kilku sygnałach słuchawka odezwała się ziewnięciem i mamrotliwym: „Halo”.

- Jest Kevin? - zapytał James.  
- Nie, poszedł na trening do ośrodka szkoleniowego.  
- Już? - jęknął James. - Ale jesteśmy umówieni dopiero za czterdzieści pięć minut.

- Co poradzę? Nie ma go.  
- Czy on ma komórkę?  
- Ma... ale zostawił ją na stole.

James potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- Posłuchaj - powiedział po chwili. - Jak zobaczysz Kevina, powiedz mu, że dzwonił James i że trening jest odwołany. Przy takiej pogodzie łażenie po torze przeszkód byłoby zbyt niebezpieczne. Wszystko jest oblodzone.

- Przecież ci mówię: on już tam poszedł - zniecierpliwił się dzieciak.

- No dobra, dzięki. Wezmę ze sobą komórkę, więc jakby się zjawił, to niech dryndnie, żeby nie musiał łaźić tam na darmo.

Odłożywszy słuchawkę, James zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem coś mu się nie pomyliło, ale nie - pamiętał, że kiedy umawiał się z Kevinem w drodze powrotnej z centrum medycznego, powiedział wyraźnie: za piętnaście siódma.

- No cóż - wymamrotał do siebie. - Jak chcesz, to możesz tam siedzieć i odmrażać sobie tyłek przez następne pół godziny. Ja się stąd nie ruszam.

Poszedł do łazienki i siedząc na sedesie, wysłuchał serwisu informacyjnego i wiadomości sportowych. Potem ubrał się i zagrzał w mikrofalówce trochę owsianki błyskawicznej, przez cały czas mając nadzieję, że Kev zadzwoni, co oznaczałoby, że mógłby wrócić do łóżka, zamiast wychodzić na mróz.

Skoro telefon milczał, James włożył zieloną kurtkę narciarską z przydziału CHERUBA, grube rękawice i czapkę z nausznikami, po czym w podłym nastroju wybiegł w rześkie poranne powietrze,

z ponurą świadomością, że leżałby teraz sobie spokojnie pod ciepłą kołdrą, gdyby Kevin nie wyszedł z bloku juniorów tak niedorzecznie wcześnie.

Dotarcie do napowietrznego toru przeszkód zajęło mu dwanaście minut, ale jego podopiecznego nie było nigdzie w zasięgu wzroku. James uznał, że mróz mógł podziałać chłopcu na pęcherz i Kev zapewne poszedł do lasu za potrzebą.

- Hej! - zawołał. - Kevin, jesteś tam?!
- Ju-huu! - odkrzyknął Kevin z wysokości.

James spojrzał w górę i zmartwił, widząc sylwetkę chłopca na tle wschodzącego słońca. Kevin przeprawił się po metalowych poręczach na następny pomost.

- Co ty, kuźwa, wyprawiasz? - krzyknął James, dłonią osłaniając oczy przed blaskiem.

- A jak, kuźwa, myślisz? - odkrzyknął wesoło Kevin.
- Nie ruszaj się, ty świrze. Jest za ślisko.
- Na rurach było trochę strasznie - przyznał Kevin z uśmiechem.

James zauważył, że z platformy wciąż zwisa lina ratunkowa, którą odczepił poprzedniego wieczoru.

- Zejdź po linie - zawołał. - Poważnie. Tam jest niebezpiecznie.

- Mamy siatki - powiedział Kevin lekceważącym tonem, wspinając się po sznurowej drabince na trzecią platformę. Dalej tor składał się z układu wąskich pomostów z desek rozmieszczonych w takich odstępach, by trzeba było przeskakiwać z jednego na drugi. - Może i złamię parę kości. No i co z tego? Co cię to obchodzi, sadysto.

- Złaź stamtąd natychmiast! To rozkaz!

James zamknął oczy, kiedy Kevin zgrabnym susem przesadził półtorametrową szczelinę między końcami pomostów.

- To chodź tu i mnie złap!



James przypomniał sobie Bruce'a drącego się wniebogłosy w centrum medycznym oraz jego straszliwie wykręconą nogę. Jego ten widok wystraszył, ale na Kevina najwyraźniej podziałał odwrotnie.

Instynkt samozachowawczy podpowiadał mu, by został na ziemi, ale Kevin mógł się nagle przestraszyć albo pośliznąć. James z ociąganiem wgramolił się na siatkę bezpieczeństwa i ruszył w stronę zwisającej liny.

Nim zdążył wspiąć się na platformę, Kevin wykonał serię przeskoków i stanął na pomoście trzydzieści metrów dalej. Jamesa przeraził widok desek pokrytych szronem i lodem, skruszonym gdzieś przez glany juniora. Nie miał na to najmniejszej ochoty, ale skoro dotarł już tak daleko, musiał iść dalej.

Pierwsze dwa skoki poszły mu całkiem gładko, ale po trzecim wylądował na pomoście, który był lekko przekrzywiony, i zmarł z strachu, czując, że stopa ześlizguje mu się w bok. Jakimś cudem zdołał jednak utrzymać się na desce, chwytając się rozpaczliwie gałęzi nad głową i zatrzymując ślizgający się but przez gwałtowne pochylenie się w drugą stronę. James brał udział w wielu niebezpiecznych misjach i nie był to najbardziej mroźący krew w żyłach moment w jego życiu, ale z pewnością nie było mu daleko do czołówki.

- Ostrożnie, staruszkule - zawołał zaczepnie Kevin z kwadratowej platformy na końcu układu pomostów.

James przebiegł po następnej desce i lekko przeskoczył na platformę. Złapał Kevina za kurtkę i potrząsnął nim z furją.

- Co ty wyprawiasz, popaprańcu? Tutaj jest jak na lodowisku.

- Chcę dostać szarą koszulkę! - krzyknął Kevin bojowo. - Chcę przejść szkolenie podstawowe i zostać agentem bardziej niż czegokolwiek na świecie!

James przykucnął i pomacał dłonią pod platformą. Odetchnął z ulgą, gdy znalazł tam linę ratunkową identyczną z tą, po której wspiał się na górę. Wciąż roztrzęsiony po poślizgu nie był w stanie utrzymać swojej trenerskiej postawy.

- Możemy wrócić jutro, Kev. To świetnie, że się przełamałeś, ale...

- Idę do samego końca.

Kiedy trzy lata wcześniej James po raz pierwszy pokonywał napowietrzny tor przeszkód, ten kończył się skokiem z dużej wysokości na wielki materac. Jednak od tego czasu drzewo, które podtrzymywało ostatnią platformę, przegniło i pan Large potraktował remont jako okazję do skonstruowania znacznie bardziej przerażającego finiszu.

Teraz wymagał on zejścia po stromo nachylonej belce, węższej od podeszwy przydziałowego glana CHERUBA, a następnie zjechania na ziemię linową zjeżdżalnią. W ramach dodatkowych atrakcji pod ostatnim odcinkiem zjazdu wykopano sporą sadzawkę, przez co ćwiczący musieli puszczać zaczep wcześniej, wciąż będąc kilka metrów nad ziemią. Kto skoczył za wcześnie, łamał nogi; kto się spóźnił, dawał nura. A na wypadek, gdyby w upalny dzień perspektywa kąpieli wydała się komuś kusząca, sadzawkę wypełniono kleistymi glonami cuchnącymi gnijącym mięsem.

- Nie zejdziesz po równoważni w takich warunkach. Zabijesz się - powiedział James, łapiąc Kevina za rękaw.

Ale chłopak wyszarpnął rękę. Jak każdy, kto spędził kilka lat w CHERUBIE, Kevin miał za sobą setki godzin treningów sztuk walki. James wprawdzie górował nad dziesięciolatkiem wzrostem i był zapewne dwa razy odeń cięższy, ale nie uśmiechały mu się zapasy na oblodzonych deskach trzydziści metrów nad ziemią.

- Wiesz co? Jak chcesz - rzucił z wściekłością w głosie.- Proszę bardzo, olej mnie. Pokaż, jaki jesteś dzielny. Tylko żebyś nie

miał do mnie pretensji, jak spadniesz i skończysz jak Bruce.

- Wcale nie jestem dzielny! - wykrzyknął Kevin głosem, który w osobiwy sposób brzmiał smutno i wyzywająco zarazem. - Boję się jak jeszcze nigdy w życiu. Ale chcę być cherubinem. Jeśli przejdę, kiedy tor jest cały w lodzie, za każdym innym razem to będzie bułka z masłem.

- Umywam ręce - powiedział James, teatralnym gestem otrzepując dłonie. - Nie mogę nic dla ciebie zrobić, chyba że dać w pysk i spuścić na ziemię na linie.

- Możesz życzyć mi powodzenia - powiedział Kevin, rozkładając ręce na boki i stawiając stopę na ukośnej równoważni.

James ledwie mógł patrzeć, jak Kevin balansuje niepewnie na śliskiej belce. Sam schodził tamtędy dziesiątki razy, ale kiedy drewno było suche, można było wziąć krótki rozpęd i zbiec na dół ośmioma nerwowymi susami. Na lodzie taka technika musiała skończyć się poślizgiem i upadkiem.

Po trzech ostrożnych kroczkach przednia stopa juniora odjechała na kilka centymetrów w bok. Zachybotawszy się niebezpiecznie, Kevin spojrzął za siebie i zrozumiał, że ugryzł więcej, niż mógłby przełknąć. James gorączkowo sięgnął pod platformę, by odczepić linę ratunkową. Teoretycznie służyła tylko do zejścia na ziemię, ale miał nadzieję, że uda mu się rzucić koniec Kevinowi.

Kiedy uwolniony zwój zaszeleścił między gałęziami, James podniósł wzrok i zobaczył, że Kevin zdołał się odwrócić i oprzeć kolanem o równoważnię. Chwiejąc się lekko, chłopiec pochylił się do przodu, oparł dłonie na belce przed sobą, po czym dosiadł jej okrakiem, pozwalając, by nogi ześliznęły mu się na boki.

James uśmiechnął się z zadowoleniem. Podczas normalnych ćwiczeń za zsuwanie się po belce na tyłku można było się spodziewać gejzeru obelg od trenera i mnóstwa karnych rundek

dookoła bieżni lekkoatletycznej, ale formalnie Kevin nie łamał żadnych reguł. Miał tylko przeprowadzić się przez tor przeszkód bez niczyjej pomocy.

Przytulony brzuchem do belki, obejmując ją ramionami, Kevin starał się zapanować nad szybkością zjazdu. Jednak nachylenie było zbyt duże i szorstkie drewno błyskawicznie poszarpało mu rękawy. Kiedy grzmotnął zadkiem o krawędź ostatniej platformy, przeraźliwie wrzasnął, zerwał się jak oparzony na równe nogi i nerwowo podskakując, usiłował obejrzeć się przez ramię. James stał na wyższej platformie, dziesięć metrów dalej, ale i tak wyraźnie widział gigantyczną drzazgę sterczącą Kevinowi z pośladka.

- Nie wyciągaj! - zawołał. - Zostaw, nie wiadomo, czy nie przebiłeś sobie jakiejś tętnicy czy większej żyły.

Kevin pokuścił się do przodu platformy i z plastikowego kosza na śmieci wyjął metrowy odcinek wilgotnej nylonowej linki. Przerzucił ją nad grubą liną rozpiętą ukośnie między platformą a ziemią i mocno chwycił gumowe rękojeści na końcach.

- Poczekaj, aż miniesz ostatnie drzewo, a potem odlicz dwie sekundy i puść, inaczej skąpiesz się w bajorze - zawołał James.

- Okej - skinął głową Kevin.

James nie miał zamiaru iść w ślad za Kevinem po oblodzonej belce. Złapał linę ratunkową i właśnie opuszczał się za krawędź, kiedy Kevin odbił się od platformy.

- Szit! - wrzasnął dziesięciolatek, nabierając chyżości między siekącymi mu nogi gałęziami.

James był w połowie drogi w dół, kiedy zapadła martwa cisza. Poważnie zaniepokojony pospiesznie zszedł na ziemię i przedarłszy się przez pięćdziesiąt metrów zarośli, wypadł na trawiastą polanę, nad którą przebiegał ostatni odcinek zjazdu.

- Kevin? - zawołał niespokojnie. - Nic ci nie jest?

Większość dzieci potrzebowała dwóch lub trzech zjazdów, by nauczyć się dobrze obliczać moment puszczenia linki. Choć urazy ograniczały się zwykle do skręconych kostek i rozciętych kolan, milczenie Kevina poraziło Jamesa wizją strzaskanych kości i rozłupanej czaszki.

- Tutaj! - odkrzyknął Kevin.

James pognał w stronę sadzawki. Kevin puścił linkę odrobinę za późno i zamoczył nogi w cuchnącej wodzie. Zdążył już jednak wygramolić się na brzeg i właśnie kuśtykał Jamesowi na spotkanie.

- No kurde, jestem wielki czy nie?! - pokrzykiwał z płonącymi podnieceniem oczami. - Drzyj, szkolenie podstawowe, oto nadchodzi!

James wiedział, że chłopak wciąż ma ogromną górę do zdobycia: podczas szkolenia podstawowego będzie musiał pokonywać tor w czasie trzech minut, i to z piętnastokilogramowym plecakiem na grzbiecie. Na razie jednak był to czas świętowania sukcesu, a nie przypominania o surowej rzeczywistości.

- Dobra robota, stary - wyszczerzył się James. - Naprawdę nieźle. Powiedziałbym nawet, że imponująco jak na kogoś, kto dwa dni temu nie potrafił zeskoczyć z metrowej beczki.

- Chcę być cherubinem - powiedział Kevin. - Wiesz, wczoraj, jak Bruce zepchnął mnie z tamtej platformy, tak się bałem, że w locie zeszczałem się w gacie.

James uśmiechnął się.

- No ładnie.

- Ale kiedy odbiłem się od siatki, to popatrzyłem na tor przeszkód i nagle taka myśl: „To wszystko, co na mnie masz?”.

- Jak będzie lepsza pogoda, możemy przyjść jeszcze parę razy, to się przyzwyczaisz - zaoferował James.

- Przepraszam, że polazłem tam na ten lód i w ogóle, ale po ostatniej nocy po prostu musiałem to zrobić.

- Powiniennem zgłosić cię do raportu.

Kevin spojrzał błagalnie, wiedząc, że instruktorzy wyznaczyliby mu surową karę, gdyby wyszło na jaw, że nie posłuchał poleceń Jamesa.

- Tym razem ci odpuszczę - uległ James. - Ale widziałeś, co się przydarzyło Bruce'owi. Fajnie, że już się nie boisz, ale tam na górze naprawdę jest niebezpiecznie.

- Dzięki - powiedział Kevin, patrząc w górę na tor przeszkód.

- Tamtej pierwszej nocy nienawidziłem ciebie i Bruce, ale teraz myślę, że jestem wam winien przysługę.

- Wykonywałem tylko swoje zadanie - powiedział James, kipiąc z radości na myśl o pracy zaliczeniowej z historii, z której pisania właśnie się wymigał. - Dawaj, wskakuj mi na plecy. Zanim się cię do medycznego, żeby wyjęli ci tę drzazgę z tyłka.

## 25. PIKE

Laura była zadowolona, że udało jej się zdobyć zaufanie Anny, ale obudziła się w podłym nastroju, bo oto czekał ją trzeci przerażliwie nudny dzień w RCO Aldrington.

Na domiar złego jeden z opiekunów przyszedł po śniadaniu do jej pokoju, by oznajmić, że znalazł dla niej miejsce w szkole w Burgess Hill i że zaczyna już następnego ranka. Kiedy pogodziła się ze szpetotą zielonego mundurka i perspektywą zadomawiania się w nowej szkole, co zawsze było koszmarem, dobiła ją wiadomość, że będzie musiała wychodzić z domu o wpół do siódmej i gnać dwa kilometry na przystanek, żeby zdążyć na autobus, którym miała tłuc się do szkoły przez kolejnych trzydzieści pięć minut.

- Masz głos, jakbyś wstała lewą nogą - stwierdził John zaczepnym tonem, kiedy zadzwonił do Laury na komórkę.

- No nie, chociaż ty mnie nie wkurzaj - jęknęła Laura. - Bo jak słowo daję, odstrzeli mi czubek czaszki.

- Co się dzieje?

- Grube szare rajstopy, przechodni pulower z ogromnym rozdarciem na łokciu i godzina dziennie w autobusie pełnym obcych dzieciaków.

- Eee tam - powiedział John lekceważąco. - Możesz uważać się za szczęściarę. Kiedy wstąpiłem do MI5, przydzielili mi obserwację męskiej toalety w Hampstead Heath.

- Ładnie - wyszczerzyła się Laura.

- Nie wie, co to cierpienie, kto nie spędził tygodnia w wyłożonej azbestem komorze stropowej i nie wracał do domu, śmierząc parkowym kibelem. Nic dziwnego, że żona się ze mną rozwiodła...

- Aha - przerwała mu Laura. - A żeby moje życie było jeszcze cudowniejsze, ten idiota - koleś, który siedział przy stole, jak mnie tu przywiozłeś - odkrył, że jestem wegetarianką, i wrzucił kawałek bekonu do moich płatków.

John parsknął śmiechem.

- To nie jest śmieszne - powiedziała Laura. - Teraz mam w sobie kawałek martwego zwierzęcia. Na samą myśl o tym robi mi się słabo.

- Ja mam w sobie mnóstwo kawałków martwych zwierząt - oznajmił wesoło John. - Tutejsza gospodyni przyrządza obłędne śniadania.

- No dobra, zakładam, że słyszałeś wczorajsze rozmowy?

- A jakże, dostałem też wiadomości, które zostawiłaś u mojego asystenta w kampusie. Musiałaś zadzwonić, kiedy brałem prysznic, i przekierowało...

- Co teraz zrobimy z tymi informacjami? - naparła Laura.

- W MI5 działa grupa operacyjna do spraw handlu ludźmi. Możemy przekazać im info o Bruszce i domu dziecka w Niżnym Nowogrodzie, ale nie mam wielkich nadziei.

- A to czemu? Przecież na pewno można go wytropić.

- Zapewne - westchnął John. - Ale to kwestia zasobów. Żeby go wytropić, potrzebny byłby zespół dwóch albo trzech funkcjonariuszy, a do tego musielibyśmy znaleźć wystarczająco przekonujące dowody, by rosyjska policja zaczęła go ścigać.

Laura przewróciła oczami.

- To po co się w ogóle męczymy?

- Musimy mieć nadzieję, że Ania ma informacje, które pozwolą nam zatopić zęby w brytyjskim końcu szajki. Próbuj delikatnie wyciskać z niej nazwiska, miejsca, rysopisy i wszelkie skrawki



rozmów, jakie podsłuchiwała w ciężarówce i na łodzi.

- To, co mówił ten facet, brzmiało trochę strasznie - powiedziała Laura. - Może zadzwoni znowu. Chyba bardzo mu zależy, żeby dorwać Ankę.

- Nie dziwię się. Musieli wydać krocie, szmuglując Anię przez Europę, a w Anglii pewnie czekał już kupiec gotowy zapłacić za nią masę pieniędzy.

- Ile jest warta dwunastoletnia dziewczyna? - zapytała Laura.

- To zależy: dwadzieścia, trzydzieści, może nawet pięćdziesiąt tysięcy funtów.

- Ciarki mnie przechodzą, jak o tym pomyślę - mruknęła Laura. - Ale dlaczego godzą się płacić tak dużo? Nie można zwyczajnie zgarnąć jakiejś dziewczyny z ulicy?

- Można - przytaknął John. - Kłopot w tym, że dziewczyna z ulicy prawdopodobnie ma rodzinę i znajomych. O jej zniknięciu będą trąbiły gazety i telewizja, a policja urządzi poszukiwania na wielką skalę. Za to jeżeli znajdziesz sierotę, taką jak Ania, wyrwiesz ją z domu dziecka gdzieś w Rosji i przemyślisz do Anglii, dziewczyna po prostu rozplynie się w powietrzu. Kto będzie jej szukał, skoro nikt nawet nie wie, że ona tu jest?

\*

James uchylił drzwi i wetknął głowę do instruktorskiego baraku. Wcześniej pukał, ale nie doczekał się odpowiedzi.

- Panie Pike?

Pike wyłonił się z wykafelkowanych natrysków na końcu baraku, z mokrymi włosami i odziany jedynie w parę alarmująco skąpych slipów.

- Cześć, James. Doceniam, że wpadłeś, chociaż jest pora lunchu.

- Żaden problem - odpowiedział James. - I tak szedłem tędy, żeby odwiedzić Bruce'a. Pielęgniarka prosiła, żebym przyniósł mu

przenośny odtwarzacz DVD i trochę czystych ciuchów.

- Jak on się czuje?

- Mniej więcej tak, jak można się spodziewać. - James wrzucił ramionami. - To paskudne złamanie. Kiedy wychodziłem od niego wczoraj, dali mu mnóstwo środków uspokajających i był w innej galaktyce.

- To niedobrze. Mieliśmy już trochę guzów i siniaków, kiedy dzieciaki odbijały się od siatek i zderzały z drzewami, ale to nasza pierwsza złamana kość, odkąd tu pracuję.

- To pewnie po prostu pechowy przypadek, że tak sobie zaplątał nogę.

- Nieważne - powiedział pan Pike, wsuwając nogi w czystą parę spodni polowych. - Zaprosiłem cię tutaj, żeby ci podziękować. Nie byłem do końca przekonany, że technika zastraszania zadziała na Kevina, ale wygląda na to, że się sprawdziła.

- Powiedziałbym nawet, że trochę przegiął w drugą stronę. Boję się, że zaczął wierzyć, że jest niezniszczalny.

- Za trzy tygodnie bierzemy go na sto dni szkolenia podstawowego - uśmiechnął się Pike. - Myślę, że to wystarczy, żeby go naprostować. Ale jest jeszcze jeden powód, dla którego cię wezwałem. Zastanawiałem się, czy nie byłbyś zainteresowany bliższą współpracą z nami. Mamy mnóstwo dzieciaków do trenowania. Przydałoby się nam też wsparcie podczas weekendowych ćwiczeń, no i, rzecz jasna, jeżeli zgodzisz się pomagać nam regularnie, dopilnujemy, żeby twoje własne programy treningowe i edukacyjne zostały stosownie odchudzone.

James skinął głową.

- Meryl powiedziała, że albo będę pomagał przy szkoleniach, albo dorzuci mi masę dodatkowych kursów. Cały problem w tym, że jak cofną mi zawieszenie, to pewnie przez większość czasu będę na misjach.

Pan Pike włożył już wszystkie części garderoby z wyjątkiem butów. Boso podszedł do ekspresu.

- Kawki?

- Nie, dzięki.

- Jak Ewartowi idzie dochodzenie? - zapytał Pike.

James wzruszył ramionami.

- Byłem u niego, ale nie chce mi powiedzieć, co jest grane. Mówi, że zrobiła się z tego niezła awantura z MIS. Wygląda na to, że śledztwo może potrwać wiele miesięcy i boję się, że mnie wrobią.

- To by mnie nie zdziwiło - westchnął Pike. - Kiedyś Ewart i ja byliśmy najlepszymi kumplami.

- Naprawdę? - zdumiał się James. - Nigdy nie widziałem was razem.

- To dlatego, że nienawidzę go aż do szpiku jego nikczemnych kości. Skończyłem podstawówkę kilka miesięcy przed nim. Mieliśmy sąsiednie pokoje; ja mieszkałem tam, gdzie teraz twoja dziewczyna.

- Kerry? - zaśmiał się James. - Nie wiedziałem.

- Wyobraź sobie, że nawet pojechalśmy razem na nasze dwie pierwsze misje, ale za trzecim razem Ewart zrobił mnie w cienki drucik, że szok. Obaj wciąż nosiliśmy szare koszulki, choć mieliśmy już po trzynaście lat. Niektórzy z naszych rówieśników mieli już granatowe i zaczęliśmy popadać w desperację. No i widzisz, ja tak jak i ty nie cierpiałem pisać - wypracowań, raportów, czegokolwiek. Kręciły mnie tylko laski, rugby i nawalanki. No więc kiedy skończyliśmy misję, Ewart wspaniałomyślnie zaproponował, że oprócz swojego raportu przy okazji napisze i mój. Obaj odwaliliśmy kawał solidnej roboty, ale dwa dni później patrzę, a on paraduje jak paw w granacie. Czytam raporty, a tu wychodzi na to, że wszystko, co zrobił Ewart, było pierwsza klasa i w ogóle cacy, a wszystko, co zrobiłem ja, było durne. Mało mnie szlag nie trafił, ale nie mogłem się poskarżyć, bo musiałbym

przyznać, że to nie ja napisałem swój raport. James potrząsnął głową.

- Ładny przyjaciel.

- Wywlokłem go z pokoju i przerzuciłem na kopach z jednego końca korytarza na drugi, ale uszczerbek na mojej karierze był nie do naprawienia. Za to Ewart wszedł do elity i jeździł na same najlepsze misje. Osiemnaście miesięcy trwało, nim sam wreszcie zdobyłem granatową koszulkę, ale zawsze postrzegano mnie najwyżej jako przeciętnego agenta.

- Jak dogadujecie się teraz?

- Ledwie. - Pike wzruszył ramionami. - Zara to fajna babka i zaprosiła mnie na chrzciny swoich dzieci. Wbiłem się w wyjściowy garniak i zachowywałem cywilizowanie, ale Ewart wciąż budzi we mnie niesmak. To podstępna mała gnida i gdybym był na twoim miejscu, to chyba zacząłbym się bać. Stawiam lewe jądro, że cokolwiek wyniknie z dochodzenia, najlepiej wyjdiesz na tym nie ty ani CHERUB, ale Ewart Asker.

James zacisnął wargi. Nie był pewien, co myśleć. Być może Ewart naprawdę wystawił Pike'a do wiatru, ale incydent musiał mieć miejsce ponad piętnaście lat temu, kiedy obaj byli dziećmi. Trudno było to uznać za solidną podstawę dla założenia, że Ewart zrobiłby to samo jemu. Zresztą co mógł na tym zyskać?

- Wiesz co? - uśmiechnął się Pike, wyciągając z portfela niebieską plastikową kartę i wręczając ją Jamesowi. - To klucz do centrum planowania zadań, pełny dostęp.

- Co mam z tym zrobić?

- Koordynatorzy rzadko pracują do późna - wyjaśnił Pike. - Zajrzyj do biura Ewarta i pomyszkuj tam trochę.

James z ociąganiem ujął kartę w dwa palce.

- No nie wiem...

- Na karierę w CHERUBIE ma się tylko jedną szansę - powiedział Pike poważnym tonem. - Ewart zrujnował moją. Nie pozwól, żeby to samo zrobił tobie.

- Dzięki - powiedział James, chowając kartę do kieszeni.

- Tylko uważaj. Za coś takiego wywaliliby mnie z roboty. Jeżeli cię złapią, będę musiał powiedzieć, że ją zgubiłem.

## 26. PORWANIE

Najnowszym rezydentem domu dziecka w Aldrington był czterolatek o imieniu Carl. Przywieziono go poprzedniego wieczoru w obszarpanym ubraniu, z podbitym prawym okiem i lepiącego się od brudu. Po rzetelnym szorowaniu, nocnym odpoczynku i porannym przesłuchaniu przez policję Carl został wypuszczony na oględziny swojego tymczasowego domu, podczas których natknął się na Laurę zabijającą czas przy Playstation w salonie.

Laurze zrobiło się żal markotnego malca, tym chętniej zburzyła monotonię dnia, zabawiając go. Po paru partyjkach snapa i kilkunastu okrążeniach gonitwy wokół kanapy włożyli kurtki, rękawiczki i wyszli na skwerek przed domem. Chłopczyk najwyraźniej nie należał do tych dzieci, które spędzają dużo czasu na placach zabaw. Raz po raz wpadał w absurdalną ekscytację, zanosił się opętańczym rechem na huśtawce i błagał Laurę, by kręciła nim szybciej na karuzeli.

Właśnie wchodzili razem na stopnie zjeżdżalni, kiedy w kieszeni Laury zadzwonił telefon. Nie rozpoznała numeru na wyświetlaczu, ale telefonowano z Wielkiej Brytanii.

- Halo? Jesteś koleżanką Ani? - zapytał jakiś mężczyzna.

Mówił po rosyjsku, ale głos nie należał do pana Bruszki. W tle słychać było hałas, jakby dzwoniący jechał samochodem albo pociągiem.

- Owszem - powiedziała Laura. - Ale jej nie ma. Jest w szkole.

Carl zjechał ze zjeżdżalni. Na górze Laura przysiadła na metalowej poręczy.

- Nieważne - powiedział głos. - I tak chciałem pogadać z tobą.

- Ze mną? A o czym?

- Ania nie chce z nami rozmawiać. Naprawdę musimy przemówić jej do rozumu. Wbiła sobie do głowy, że chcemy ją skrzywdzić, a to przecież wierutna bzdura. Jesteśmy jej rodakami. Musimy trzymać się razem.

Laura usłyszała w słuchawce odległy głos drugiego mężczyzny, który odezwał się po angielsku:

- Okej, mam.

- Dobra, muszę kończyć - powiedział nagle pierwszy. - Zadzwoń później, jak Ania wróci ze szkoły.

Telefon zamilkł, zanim Laura zdążyła odpowiedzieć.

- No zjeżdżaj! - dopominał się Carl, podskakując przy końcu zjeżdżalni.

Laura usiadła i zsunęła się po wyslizganej blasze. Jej telefon zadzwonił, jeszcze zanim dotarła na dół.

- Laura, mamy poważny problem. - W głosie Johna słychać było napięcie. - Podczas twojej rozmowy wysłano żądanie lokalizacji i lokalna stacja bazowa odpowiedziała na chwilę przed urwaniem się połączenia.

- Chcesz powiedzieć, że ci kolesie wiedzą, gdzie jestem?

- Wiedzą, w zasięgu której stacji działa twój telefon, w którym sektorze i mniej więcej jak daleko od niej. W tym rejonie oznacza to mniej więcej dwukilometrowy margines błędu - wyjaśnił John, podczas gdy Carl balansował na stopie Laury jak na równoważni. - To niezbyt dokładny sposób, znacznie gorszy od metody triangulacyjnej, jaką namierzamy komórki w CHERUBIE.

Laura poklepała malca po głowie.

- Carl, pobaw się przez chwilę sam, dobrze?  
- Kto jest z tobą? - zaniepokoił się John.  
- To tylko maluch, z którym się bawiłam. Ale jak oni wytropili mój telefon?

- Zapewne za pomocą usługi lokalizacyjnej takiej jak dla rodziców, którzy chcą móc sprawdzać, gdzie są ich dzieci. Teoretycznie powinno się mieć zgodę właściciela telefonu, ale zwykle można to ominąć, składając fałszywe oświadczenie podczas rejestracji.

- Na szczęście muszą nas szukać w promieniu dwóch kilometrów.

- Ale wiedzą, że jesteś w domu dziecka - przypomniał John. - Wystarczy, że poszukają lokalnych domów dziecka w książce telefonicznej. Pewności nie mam, ale zdaje się, że RCO Aldrington jest jedynym w okolicy.

- Myślisz, że przyjadą po Ankę? - przeraziła się Laura. - Na pewno. Inaczej po co namierzaliby twój telefon? Laura spojrzała na zegarek.

- Wraca ze szkoły za niecałe pół godziny.

- A dwadzieścia trzy - powiedział John.

Laura zmarszczyła brwi.

- Co?

- Przepraszam, poprosiłem kampus, żeby śledzili telefon, z którego zadzwoniono do ciebie. Sygnał Rosjan przeskoczył o dwa kilometry w dwie minuty, zgaduję zatem, że są na szosie do Brighton.

- Jak to możliwe, że są już tak blisko?

- Wiedzieli, że Anię znaleziono na wybrzeżu kilka kilometrów stąd, i całkiem słusznie założyli, że ulokowano ją gdzieś w okolicy Brighton.

- Ile mamy czasu?

- Piętnaście, dwadzieścia minut - orzekł John. - To zależy, jak duży jest ruch i ile czasu zajmie im ustalanie adresu domu dziecka.



- Myślisz, że spróbują zgarnąć Anię od razu?  
- Wykradnięcie jej z domu dziecka byłoby zbyt ryzykowne. Spróbują przechwycić ją w drodze ze szkoły albo jutro rano, w drodze do szkoły... Sygnał właśnie przesunął się o kilometr na zachód. Zdaje się, że skręcili na A27 i nie marnują czasu.

- To co robimy? - denerwowała się Laura. - Możemy zawiadomić policję, żeby dali jej ochronę?

- Nie zaangażujemy miejscowych żbików bez dekonspiracji i mnóstwa skomplikowanych wyjaśnień. Mając więcej czasu, mogliśmy przenieść Anię do innego domu dziecka. Mógłbym też ściągnąć zespół obserwacyjny MI5 na jutro rano, ale jeśli zamierzają schwytać ją teraz, to jesteśmy zdani na siebie.

Laura uświadomiła sobie, że nie ma ani chwili do stracenia.

- Carl, idę do środka! - zawołała i puściła się biegiem w stronę domu.

Malec odkrzyknął coś i pobiegł za nią, ale nie miała czasu go słuchać.

- Gdzie jesteś, John? - zapytała, wbiegając schodami na górę.

- Właśnie wychodzę z pokoju. Biorę samochód; za dziesięć minut będę przed bramą ośrodka.

Laura ucieszyła się w duchu, że John dotrze do niej przed złoczyńcami. Wbiegła do sypialni, zatrzęsnęła drzwiami i wyszarpnęła walizkę z szafy pod swoim łóżkiem. Wysypawszy z niej stertę ubrań, odszukała ukryty zamek. Klapka w podwójnym dnie odskoczyła do góry, odsłaniając zestaw wyposażenia dodatkowego.

Laura wsunęła do kieszeni puszkę gazu pieprzowego, po czym podciągnęła nogawkę spodni i przypięła do uda nóż.

- Młoda damo! - powiedział z mocą ktoś, kto właśnie wparował do pokoju.

Laura podskoczyła ze strachu i odwróciła się, nerwowo prostując ubranie.

- Jezu, a zapukać nie łaska? Ja się tu rozbieram - powiedziała z pretensją w głosie.

To był Ronald, jeden z opiekunów.

- Co się dzieje z Carlem? - zapytał.

- Nie wiem, a co? - odpowiedziała Laura nieco zbита z tropu.

- Bawiłaś się z nim na zewnątrz. Ni z tego, ni z owego wbiegłaś do środka, zatraskując drzwi i zostawiając go samego na dworze.

- Och... - jęknęła Laura. Zapomniała, że drzwi wejściowe miały zatrask, który blokował je po mocnym trzaśnięciu. - Przepraszam.

- To niezbyt miły sposób traktowania jednego z naszych najmłodszych gości, Lauro. To wrażliwa ludzka istota, nie zabawka, którą możesz porzucić na ciemnym placu zabaw, kiedy tylko się nią znudzisz.

- Przepraszam - powtórzyła Laura i wskazała na rozłożony telefon na biurku. - Zapomniałam się. Moja najlepsza przyjaciółka właśnie do mnie zadzwoniła...

- Po prostu nie rób tego więcej.

Ronald wyszedł, a Laura wystrzeliła w stronę drzwi pięść ze sterczącym w górę środkowym palcem. Zgarnęła z biurka komórkę; John wciąż był na linii.

- Wiem, gdzie Ania wysiada z autobusu – powiedziała głosem drżącym z emocji. - Polecę na koniec ulicy. Spróbuję ją odłowić, zanim zbliży się do domu dziecka. Powiem, że idziemy na hamburgera czy coś.

\*

Dwadzieścia minut później Laura przytupywała nerwowo na ciemnym skrzyżowaniu, obserwując dzieci w mundurkach, które pojedynczo i grupkami skręcały z głównej ulicy w stronę domu dziecka. John zaparkował nieopodal bramy RCO, by wypatrywać

wszelkich podejrzanych samochodów z dwoma mężczyznami w środku.

Wiatr kasał mrozem. Dziesięć po czwartej Laura zaczęła z wolna popadać w paranoję. Wreszcie, gdy po raz kolejny wyrzała na główną ulicę, dostrzegła Anię wśród pasażerów wysiadających z piętrowego autobusu.

- Hej - zawołała, uśmiechając się z ulgą. - Spóźniłaś się.

- Miałam angielski w ośrodku kształcenia na mieście. A ty co tutaj robisz? Zamarzniesz.

- A ja miałam kolejny telefon od twoich rosyjskich znajomych - wyjaśniła Laura. - Powiedzieli, że wiedzą, gdzie jesteś, i że jadą po ciebie.

- Żartujesz. - Ania rozejrzała się nerwowo. - Ale skąd mogą wiedzieć?

- Pojęcia nie mam - skłamała Laura. - Ale wiedzą.

- Chyba nie powiedziałaś o mnie nikomu, prawda?

- Nie, ale aż mdli mnie z nerwów. Myślę, że powinniśmy komuś powiedzieć. Mogą zgarnąć cię wprost z ulicy. Wysłałam po ciebie, bo z tego, co wiem, to oni siedzą już pod bramą RCO.

- To co ja mam robić?

- Mam dwadzieścia funtów - powiedziała Laura. - Im dłużej tu sterczymy, tym większe ryzyko, że nas zauważą. Chodźmy do jakiegoś Maca czy gdzieś i tam wszystko sobie przemyślimy.

- Dobra. - Ania skinęła głową.

Kiedy zaczęły iść, w kieszeni Laury rozdzwonił się telefon. To był John.

- Udawaj, że rozmawiasz z najlepszą koleżanką.

- Cześć, Bethany - powiedziała Laura przestodżonym głosem.

- Przemyślałem to - oznajmił John. - Rozejrzałem się porządnie po okolicy i nie zauważyłem Rosjan, jednak z zamiaru ich komórki wynika, że są gdzieś w promieniu trzystu metrów. Idźcie

do kafejki na rogu. Będę twoim opiekunem socjalnym, tak samo jak w niedzielę. Kiedy wejde, powiedz Ani, że się przestraszyłaś i wszystko mi powiedziałaś. Powiem jej, że dostanie pełne obywatelstwo brytyjskie i ochronę, jeżeli powie nam wszystko, co wie.

- Da się to zrobić? - zapytała Laura.

- Rozmawiałem z Zarą. Powiedziała, że najprościej będzie przeciągnąć Anię przez normalną procedurę rekrutacji do CHERUBA. Założymy jej teczkę, a potem odrzucimy kandydaturę i oddamy do adopcji.

- A gdybyśmy ją sobie zatrzymały? - Laura dokładała starań, by Ania nie domyśliła się treści rozmowy. Na szczęście dziewczyna nie rozumiała jeszcze zbyt wiele po angielsku.

- Rozważałem to - powiedział John. - Mówiłaś, że Ania jest bystra; ale ma już dwanaście lat i straszne z niej chuchro. Zanim poprawi kondycję i poduczy się angielskiego na tyle, by móc przejść szkolenie podstawowe, będzie już za stara.

- Szkoda - westchnęła Laura. - Wiesz, że z radością przyszedłbym na twoje urodziny.

- Nie mogę zaparkować na głównej ulicy, więc będę szedł tuż za wami. Mam broń na wypadek, gdyby się pokazali.

- Wyślę ci ładną pocztówkę. Do zobaczenia... Pa.

- Kto to był? - zainteresowała się Ania, kiedy Laura zatrzasnęła telefon.

- Przyjaciółka - wyjaśniła Laura, przechodząc na rosyjski. - Chciała zaprosić mnie na imprezkę, ale nie wiedziała, że mnie tu przenieśli.

- Szkoda - westchnęła Ania.

Laura wskazała na kawiarnię na rogu po drugiej stronie ulicy.

- Chodźmy tam. Robią pyszne ciacha.

Zbliżały się już do strefy zakazu parkowania przed przejściem dla pieszych, kiedy tuż obok nich zahamowała poobijana toyota sedan. Laura obejrzała się i zobaczyła dwóch zwalistych mężczyzn gapiących się prosto na nią. Tyłne drzwi auta otworzyły się i stopa w bucie Reeboka wsparła się na krawężniku.

- Wiej! - krzyknęła Laura, popychając Anię do przodu.

Ku jej przerażeniu Ania zdołała postawić tylko dwa kroki, zanim impet pchnięcia rozłożył ją plackiem na chodniku. Zdając sobie sprawę, że dziewczyna nie będzie w stanie uciec dwóm dorosłym mężczyznom, Laura przeszła do ofensywy.

Facet w reebokach zdążył tylko wstać, kiedy zrobiła krok w jego stronę i z całej siły kopnęła w krocze. Mężczyzna zwiotczał, a wtedy wbiła mu nasadę dłoni w splot słoneczny, poprawiła ciosem w twarz i na koniec przytrzasnęła rękę drzwiami samochodu.

Tymczasem kierowca wyskoczył na ulicę, kilkoma susami obiegł toyotę i zgarnął Anię z chodnika.

- Hej, mała! - krzyknął do Laury po angielsku.

Laura dostrzegła błysk zębatego ostrza pod brodą dziewczyny.

- Do samochodu albo obetnę jej głowę!

Laura obejrzała się przez ramię, ale Johna nie było w zasięgu wzroku. Po drugiej stronie ulicy jakaś kobieta krzyknęła: „Hej”, podczas gdy jej towarzysz z dziecięcym wózkiem przed sobą gorączkowo wystukiwał numer policji na komórce.

Mężczyzna pobity przez Laurę jęknął i chwyciwszy drzwi samochodu, dźwignął się z rymsztoku. Tymczasem jego współnik wcisnął Anię na przedni fotel. Kiedy odjął nóż od gardła dziewczyny, Laura pomyślała o kolejnym ataku, ale nie minęła nawet sekunda, nim poczuła na skroni chłód lufy.

- Wredna mała suka - wysyczał facet z zakrwawionym nosem, łapiąc Laurę za kurtkę i jednym silnym szarpnięciem wrzucając ją do samochodu.

Kiedy rozpląszczyła się na tylnej kanapie, bezceremonialnie usiadł jej na nogach i wychylił się, by zamknąć drzwi. Kierowca trzasnął swoimi, jednocześnie zwalniając ręczny hamulec. Ruszyli. Wypchnął spod siebie nogi Laury, a potem wściekle trzasnął jej głową o plastikowy panel drzwi i prasnął otwartą dłonią w twarz.

- W jaja, tak?! - wrzasnął, kiedy Laura opadła na kanapę. - Poczekaj, aż dojedziemy. Pokażę ci, kto tu jest szefem.

- Co się, do diabła, stało? - zapytał kierowca, rozpędzając samochód przez kolejne biegi.

- To bydlę na mnie napadło - poskarżył się zakrwawiony, świdrując Laurę morderczym spojrzeniem.

- Abby się wścieknę. Widziało nas z pół tuzina ludzi. Psiarnia siądzie nam na ogonie i wiesz, jak to jest z dziećmiakami: pewnie skończymy w wiadomościach.

- Nie moja wina, dupku. Powiedziałeś, że to jedna chuda dziewczucha. Nie wspominałeś, że ma za goryla młodszą siostrę Bruce'a Lee.

Opony zapiszczały na ostrym zakręcie w prawo. Anna szlochala żałośnie na przednim siedzeniu.

- Myślisz, że ktoś zapamiętał nasze numery? - zapytał kierowca.

- Staliśmy tam ponad minutę. Na pewno tak.

- Zadzwoń do kogoś i zorganizuj drugi wóz. Musimy jak najszybciej pozbyć się tego złomu.

Podczas gdy porywacze się kłócili, Laura pomacała kieszeń swojej kurtki. Wciąż miała komórkę, co oznaczało, że John jest w stanie ją tropić. Wiedziała jednak, że złoczyńcy przeszukają ją i odbiorą telefon, kiedy tylko ochłoną na tyle, by zacząć trzeźwo myśleć. Po krótkim namyśle ukradkiem wyjęła komórkę z kieszeni i udając, że się poprawia, wsunęła ją sobie od tyłu w majtki

w taki sposób, by wśliznęła się między pośladki. Było to kosztownie niewygodne i mało sympatyczne miejsce do przechowywania nowego telefonu, za to znacznie zmniejszało ryzyko wykrycia go podczas rutynowego oklepywania kieszeni.

## 27. CIEKAWOŚĆ

Dzień lekcyjny skończył się i James siedział na łóżku Kerry bez butów. Kerry wyjęła z mikrofalówki dwa kubki z czekoladą, podała jeden Jamesowi i z szafki przy łóżku wzięła torebkę miniaturowych pianek marshmallow. Wrzuciwszy po kilka sztuk do każdego kubka, pochyliła się, by pocałować Jamesa w policzek, po czym przesunęła palec po bliźnie nad jego lewym okiem.

- Wyglądasz jak Harry Potter - uśmiechnęła się. - I jak poszło spotkanie z Pikiem?

- Dziwnie było - powiedział James, sięgając do kieszeni po niebieską kartę. - Dał mi to.

- Co to?

Popijając gorącą czekoladę, James opowiedział Kerry o karcie dającej dostęp do centrum planowania misji, a potem o przyjaźni pana Pike'a z Ewartem i jej gwałtownym zakończeniu.

- No i jak? - zakończył. - Co o tym sądzisz?

Kerry wzruszyła ramionami.

- Siedemnaście lat to chyba trochę długo jak na chowanie urazy.

- Myślisz o tym, żebym wśliznął się do budynku centrum?

- Czy tam przypadkiem nie ma jakichś kosmicznych zabezpieczeń? - zapytała Kerry.



- Sytemu biometrycznego nigdy nie udało się uruchomić. W końcu stwierdzili, że w kampusie jest wystarczająco bezpiecznie, i wymienili go na zwykłe czytniki kart magnetycznych.

- Jak zachowywał się Ewart, kiedy z nim rozmawiałeś?

James wzruszył ramionami.

- Szczerze mówiąc, wydawał się w porządku. Ale dziś w klasie tak sobie pomyślałem...

- Zawsze musi być ten pierwszy raz - wtrąciła Kerry.

- Bardzo śmieszne - skrzywił się James. - Ja tu próbuję poważnie porozmawiać. Pamiętasz dwa lata temu, kiedy byliśmy na tej narkotykowej misji i wywalili Nicole za wciąganie koki? Tamtego dnia Ewart rzucał się jak wariat. Kazał nam robić testy narkotykowe i w ogóle zachowywał się tak, jakby chciał, żeby nas wyrzucili. Potem też miałem z nim kilka starć i im dłużej o tym myślę, tym bardziej zgadzam się z panem Pikiem: Ewart nie kiwnąłby palcem, żeby komukolwiek pomóc.

- Ewart jest ostry - przyznała Kerry. - No i nie daje sobie wcisnąć kytu, to fakt. Ale stąd jeszcze daleka droga do nieuczciwości.

James powoli obracał niebieską kartę w palcach.

- Naprawdę chciałbym wiedzieć, co się dzieje z całym tym dochodzeniem. Jestem pewien, że Ewart nie mówi mi wszystkiego, co wie.

- To najbardziej newralgiczne miejsce w całym kampusie, James. Już jesteś zawieszony w prawach agenta. Jeśli przyłapią cię na myszkowaniu w centrum planowania, to lepiej od razu się spakuj i pożegnaj z kumplami.

- Wiem, ale jeśli Pike mówi prawdę o Ewarcie, to i tak jestem ugotowany.

- Tak, jeśli. Wielkie być może wysnute z historii sprzed lat. Rozumiem podejmowanie ryzyka w oparciu o solidne informacje, ale to jest jakaś bzdura.

- Jednak Pike zawsze gra fair. Pamiętasz, jak wstawił się za nami, kiedy Large znęcał się nad Laurą?

Kerry skinęła głową.

- Pike to porządny gość, każdy to wie.

- I właśnie dlatego uważam, że powinienem tam pójść. No i byłoby super, gdybyś poszła ze mną.

- Nie-e - powiedziała Kerry, kręcąc głową. - Nie ma mowy. Za duże ryzyko.

- Jesteś sprytna, Kerry, na pewno wymyślisz coś mądrego. Naprawdę przydałaby mi się twoja pomoc.

- James, skoro tak cię to męczy, pogadaj z Meryl albo zgłoś się do kogoś z komisji do spraw etyki.

- Ewarta nie przegadasz. Wywinie się ze wszystkiego, no i spójrzmy prawdzie w oczy: jest mężem prezeski.

- Wiesz, co myślę? - powiedziała Kerry. - Myślę, że dałeś się ponieść wyobraźni. Tak naprawdę wcale nie chodzi o Ewarta. Po prostu gryzie cię sprawa tego dochodzenia i chcesz wśliznąć się do jego biura, żeby trochę powęszyc.

- Dobra - uciął James. - Skoro nie chcesz mi pomóc, poproszę Kyle'a.

Kerry potrząsnęła głową.

- Nic z tego. Pojechał dziś rano na jakąś misję.

- No to Shaka.

- Na ćwiczeniach - powiedziała Kerry.

James zamyślił się. Callum i Connor byli na misji tak samo jak Laura, a Bruce leżał w medycznym ze złamaną nogą.

- Proszę cię, Kerry, tylko ty mi zostałoś.

Kerry złapała Jamesa za biceps.

- Błagam cię, James, nie rób tego. Wiem, że martwisz się o wynik dochodzenia, ale w ten sposób tylko pogorszysz sprawę. W dodatku, nawet jeśli dostaniesz się do gabinetu Ewarta, nie masz żadnej gwarancji, że naprawdę znajdziesz informacje, jakich poszukujesz.

James sapnął zniecierpliwiony.

- Wiesz co? Masz rację. Oddam Pike'owi jego kartę i powiem, że nie wyszło.

- Tak będzie najlepiej. - Kerry uklękła nad Jamesem i okraczyła go, przerzucając nogę nad jego brzuchem.

James wyciągnął Kerry przód koszulki ze spodni, złapał ją za pośladki i złożył na nagim brzuchu parszającego całusa.

- Wiesz, podobasz mi się z tą blizną i lekko zgiętym nosem - zachichotała Kerry, pochylając się do pocałunku. - Czuję się, jakbym miała osobistego bandziora.

\*

Toyota skręciła w wyludnioną brukowaną uliczkę. Nic nie wskazywało na to, że ktoś ich ściga, ale kierowca i jego kompan - których Laura zdążyła już poznać jako Romana i Keitha - chcieli pozbyć się samochodu najszybciej, jak to możliwe.

Skręcili z drogi w otwarty garaż. Czekający przy krawężniku dwudziestolatek odebrał od kierowcy kluczyki i wymienił je na zestaw należący do wiekowej micry zaparkowanej przy ulicy kilka metrów dalej.

- Nie było mniejszego? - zapytał Roman, podrzucając kluczyki w dłoń.

- Miałem tylko piętnaście minut - wzruszył ramionami młodzian. - To samochód mojej babci, więc go nie poobijajcie.

Roman przyjacielsko poklepał chłopaka po policzku.

- Bez obaw, uratowałeś nam życie. Potrzyjmy toyotę w zamknięciu do zmroku, a potem pojedź nią w jakieś odludne miejsce i spal.

- Załatwione - powiedział młodzieniec, mierząc wzrokiem Laurę i Anię. - Te dwie są młode nawet jak na ciebie, Keith. Co ci się stało w nos?

- Pilnuj własnego - odciął się Keith, łapiąc Laurę za przeguby i brutalnie wyciągając z samochodu. - Ale ten, kto to zrobił, będzie dziś w nocy płakał, to ci gwarantuję.

W ciągu minuty wcisnęli się do nissana i ruszyli w dalszą drogę. Z tyłu nie było zbyt wiele miejsca i Keith siedział z szeroko rozłożonymi nogami. Włochatą dłoń oparł Laurze na kolanie.

- Na tę księżniczkę z przodu czeka już klient - wyszeptał z obłętnym uśmiechem. - Ale ty jesteś moją premią, mała. Należysz do mnie.

Laura wzdrygnęła się, kiedy Keith przesłał jej całusa.

- No, maleńka - wyszczerzył się. - Czy śliczna Laura nie uśmiechnie się do papcia? No chociaż trosieckę.

Laura odwróciła się do okna i zajęła wymyślaniem najbardziej bolesnych sposobów, w jakie chciałaby pociąć Keitha nożem przypiętym do jej uda.

## 28. BURDEL

Wieziona autostradą w stronę przedmieść Londynu Laura była zaniepokojona, ale nie na serio wystraszona. Podczas poprzednich misji bywała już w znacznie gorszych opałach. Wiedziała też, że John zorganizuje wsparcie oraz śledzenie sygnału jej komórki. Z pewnych względów schwytanie przez bandziorów było wydarzeniem korzystnym, ponieważ wprowadzało ją dalej w głąb szajki handlarzy ludźmi.

Ania siedziała na przednim fotelu wyraźnie wstrząśnięta. Miała czerwone oczy i chorobliwie bladą twarz. Laura wiele by dała, by móc sięgnąć między siedzeniami, położyć jej dłoń na ramieniu i powiedzieć, że sytuacja nie jest tak beznadziejna, jak się wydaje.

Kłopot polegał na tym, że ucieczka z jadącego samochodu jest bardzo ryzykowna, ponieważ obezwładnienie kierowcy może łatwo skończyć się wypadkiem. Z drugiej strony Laura nie chciała czekać, aż znajdą się wewnątrz jakiegoś budynku, dlatego zamierzała powstrzymać się od jakichkolwiek działań do momentu przyjazdu na miejsce, a potem wyjąć nóż, odebrać Keithowi broń i uciec wraz z Anią.

Plan byłby się powiódł, gdyby zaparkowali przed zwyczajnym domem, ale ku zgrozie Laury samochód przejechał przez poruszaną elektrycznie bramę na tyłach wiktoriańskiego domu towarowego. Kiedy stalowe wierzaje zamknęły się za nimi z metalicznym łoskotem, Laura rozejrzała się po podwórzu. Wysoki mur

wieńczyły zwoje drutu kolczastego i kamery nadzoru telewizyjnego zwisające pęczkami z metalowych wysięgników.

Laura wciąż mogła rozbroić Keitha, ale bez ustalonej drogi ucieczki byłoby to ryzykowne posunięcie. Aby wydostać się na zewnątrz, prawdopodobnie musiałyby kogoś zastrzelić, a może nawet sama znalazłaby się po niewłaściwej stronie pocisku.

- Wysiadać - burknął Keith, wypychając Laurę z samochodu, kiedy tylko Roman zaciągnął hamulec ręczny.

Z daleka dom towarowy wyglądał staro, ale wysiadłszy z samochodu, Laura spostrzegła, że budynek został niedawno odnowiony. Ceglane ściany były czyste, okna wymienione na nowe, plastikowe, a tylne drzwi miały modne metalowe okucia.

Wnętrze było utrzymane w tym samym tonie, z wycyklinowanym parkietem i czerwoną klatką schodową wspinającą się spiralą przez środek budynku.

Gdy mijali wejście do wylanego betonem składziku zastawionego skrzynkami i butelkami, zagrzmiała dudniąca muzyka. Laura zerknęła przez otwarte na przestrzał pomieszczenie i zobaczyła tętniący życiem bar, cały w skórze i chromach, wypełniony klientami w zwyczajnych, codziennych ubraniach.

Kiedy wspięli się na pierwsze piętro, z niewielkiego biura wyszła im na spotkanie nieprzyjemnie skrzywiona kobieta - wysoka, w czerwonej sukience opinającej jej kluskowate ciało i parze mocno sponiewieranych trampek.

- Co to ma być? - warknęła, wskazując na Laurę. - Kolejny błąd?

- To ta z telefonem. - Roman bezradnie rozłożył ręce. - Nie mieliśmy wyjścia, musieliśmy ją wziąć.

- Będzie wokół tego taki gówniany szum, że się nie pozbieramy! - krzyknęła kobieta. - Nikt nie robiłby sprawy ze znik-

nięcia jednej Rosjanki z jakiegoś domu dziecka, ale wy, matyły, postanowiliście zgarnąć dwie dziewczyny, z głównej ulicy, i to w godzinach szczytu. Psy będą węszyć do upadłego.

- Nie przesadzaj, Abby - powiedział Roman. - Nie dojdą tu za nami. Zadzwoniliśmy do Nicka i zmieniliśmy samochody.

- I jeszcze mam w plecy spaloną toyotę - burknęła Abby. - Nie możemy trzymać ich tu długo. Nie pokazujcie ich klientom. Zresztą dziewczyny też niech im się za bardzo nie przyglądają. Zabierzcie je na górę i wsadźcie do oddzielnych pokoiów.

Roman kiwnął głową i ruszył przodem w stronę białych drzwi na końcu holu. Mijając otwarty gabinet, Laura zerknęła do środka na szereg ciekłokrystalicznych monitorów pokazujących wszystko, co się dzieje w budynku, łącznie z barem i chwilowo opustoszałym klubem nocnym. Nagle podskoczyła, czując, że ktoś oklepuje jej pośladki.

- A cóż to tam sterczy? - zapytała Abby lukrowanym głosem.

Laura skuliła się ze strachu. Była w legginsach i telefon stopniowo wyśliznął się jej spomiędzy pośladków, tworząc widoczne wyrzuszenie.

- Komórka - powiedziała cicho.

Abby zmierzyła Romana i Keitha jadowitym spojrzeniem.

- Czy wy w ogóle je przeszukaliście?

Żaden z mężczyzn nie miał odwagi odpowiedzieć. Wyglądali jak mali chłopcy rugani przez mamę za kolejne przewinienie.

- Przecież wiedzieliście, że mała ma telefon! – wydarła się Abby, wrywając Laurze komórkę. - Nie wiecie, że można je namierzać? Czy wy dwaj macie chociaż jedną szarą komórkę na spółę? - Abby wyciągnęła z telefonu baterię, po czym rozłożyła

go i przełamała na dwie części. - Jeżeli glinom udało się zdobyć jej numer i namierzyć tutaj, to wpadliśmy jak śliwka w gówno. A teraz przeszukajcie je.

Roman kazał Laurze podnieść ręce i zaczął wywracać jej kieszenie. Znalazł gaz pieprzowy i mały scyzoryk na kółku od kluczy, ale nie odkrył noża przypiętego po wewnętrznej stronie jej uda.

- Skąd to masz? - zapytała podejrzliwie Abby, oglądając puszkę z gazem. Nie była to rzecz, jakiej można się było spodziewać w kieszeni dwunastolatki, i Laura wiedziała, że w Wielkiej Brytanii sprzedawanie gazu pieprzowego jest zakazane.

- Tam, gdzie poprzednio mieszkałam, było dużo napadów, więc kupiłam to od takiego jednego chłopaka - skłamała Laura. - Przywiózł to z wakacji z Ameryki.

Abby uniosła puszkę w stronę Romana i na ułamek sekundy nacisnęła zawór. Cherubini używają superostrej odmiany gazu zdolnej zatrzymać szarżującego niedźwiedzia. Mężczyzna zawył z bólu, zginając się wpół i łapiąc za twarz. Keith cofnął się nerwowo o krok. W powietrzu rozniósł się cierpki opar, od którego dziewczętom zaczęły łzawić oczy.

- Mocne - uśmiechnęła się Abby do puszki, po czym cisnęła ją na oślep do swojego biura. - A teraz zabierzcie mi z oczu te suki i dopilnujcie, żeby w burdelu nie zobaczył was żaden z klientów.

Pokonawszy dwudziestometrową galerijkę naprzeciw schodów, Keith, Roman, Ania i Laura dotarli do anonimowych białych drzwi z umocowanym obok domofonem. Wpuszczeni do środka przeszli przez dziwną pachnącą papierosami recepcję. Wszystkie telefony na kontuarze były komórkowe, meble zrobione z płyty wiórowej, a całość stwarzała wrażenie miejsca, które można spakować i przenieść w ciągu kilku godzin. Tabliczka za kontuarem zapewniała klientów, że „Wszystkie transakcje będą



rejestrowane w systemie kart kredytowych jako zapłata dla North Lane Pizza & Pasta”.

Barczysty bramkarz otaksował wchodzących ponurym spojrzeniem z głębin skórzanego fotela. Laura za wszelką cenę starała się nie patrzeć na towar: pół tuzina dziewcząt w wieku od kilkunastu do trochę ponad dwudziestu lat. Siedziały na modułowych kanapach w jedwabnych szlafrokach i szpilkach, za jedyną rozrywkę mając stertę starych czasopism i kilka na wpół wyjedzonych pudełek chińszczyzny.

- Hej, chłopaki, nie wyglądacie dziś za dobrze - zadrwiła starsza recepcjonistka na widok skrwawionego nosa Keitha i załzawionych oczu Romana.

- Kochanie, ty nie wyglądasz za dobrze od pięćdziesiątego szóstego - odgryźł się Roman. - Lepiej zamknij jadaczkę i daj mi dwa pokoje na górze jak najdalej od akcji. I nie wpuszczaj żadnych klientów, dopóki się nie ulotnimy.

Odebrawszy dwa masywne klucze, Roman poprowadził pozostałą trójkę wąskimi schodami w górę, a potem korytarzykiem z wejściami do pięciu pokoi po każdej stronie. Tak jak na dole wszystko wyglądało tandetnie. Tak zwane pokoje były po prostu sklejkowymi boksami, a drzwi zamykano na kłódki.

Keith rozstawił dziewczęta pod przeciwległymi drzwiami na samym końcu korytarza.

- Jeden dla księżniczki... - sapnął z zadowoleniem, zamykając Anię w jednym pokoju. - A drugi dla mojej przyjaciółki.

Laure wpełnięto do bezokiennego pomieszczenia o wymiarach trzy na trzy metry. Ze wszystkich stron otaczały ją przepierzenia z surowej sklejki; zbyt intensywny zapach odświeżacza powietrza odbierał jej dech. Z sufitu zwisała smętnie słaba żarówka, a pod ścianą stało proste podwójne łóżko przykryte jednorazowym prześcieradłem.

Podczas gdy na zewnątrz Keith mocował się z kłódką, Laura pociągnęła za cienki składany parawan, odsłaniając coś w rodzaju łazienki: rolę papierowych ręczników, prysznic z zapleśniałą zasłonką i mocno poplamiony sedes bez deski. Najbardziej niepokojąca była miednica upstrzona smugami zaschniętej krwi.

Laura cofnęła się i przysiadła na brzeжку łóżka. To miejsce przyprawiało ją o dreszcze. Wyobrażała sobie nastoletnie dziewczyny zamykane w takich pomieszczeniach i zmuszane do oddawania się obcym mężczyznom: szybki prysznic, tryśnięcie odświeżaczem powietrza i nowe papierowe prześcieradło, zanim wejdzie następny klient. I głowa rozcięta miednicą, jeżeli szef - a raczej właściciel - nie jest zadowolony ze swojej niewolnicy.

To było gorsze od najstraszniejszego horroru, ale Laura wiedziała, że nie może poddać się grozie. Wprawdzie spodziewała się, że wkrótce John Jones wparuje do budynku na czele oddziału szturmowego policji, ale zaplanowanie skomplikowanego ataku mogło zająć im sporo czasu. Zagrożenie wobec niej i Ani rosło z każdą sekundą pobytu w tym ponurym przybytku, musiały zatem wydostać się najszybciej, jak to możliwe.

Za drzwiami rozległ się odgłos kroków, a potem szcęk otwieranej kłódki.

- Mam rachuneczek do wyrównania - zaśpiewał Keith takim tonem, jakby droczył się z małym dzieckiem. Wciąż miał na sobie zakrwawioną koszulę, ale tym razem był bez kurtki, w której trzymał rewolwer.

- Oto zasady - oznajmił z krzywym uśmiechem, zatraskując za sobą drzwi. - Robisz to, co ci każe, albo dostajesz w ryj, o tak. - Trzasnął pięścią w dłoń. - A teraz wyskakuj z nachów.

- Z czego? - zapytała Laura, udając, że nie zrozumiała, i ukradkiem szukając dłonią noża przypiętego do uda.

- Rozbieraj się - rozkazał Keith, który już rozpiął koszulę. - A potem wezmę cię na kolanka.

- Będę krzyczeć - ostrzegła Laura.

Keith rozłożył szeroko ręce i roześmiał się. -Ależ krzycz sobie do woli, koteczku. I tak nikt nie przybiegnie, żeby cię uratować.

- Zboczeniec - zasyczała Laura. - Rzygać mi się chce na twój widok.

- Ach, jak się przejąłem - powiedział Keith drwiąco. - Lepiej zacznij myśleć logicznie, Laura. Ja jestem duży, ty mała. I tak zrobisz wszystko, co ci każe; pytanie tylko: jak bardzo będę musiał cię złoić, żeby cię przekonać.

- Próbowałaś już tego kiedyś? - zapytała Laura. - Lubisz bić i gwałcić dwunastolatki?

Keith uśmiechnął się, zdejmując z nóg reeboki.

- Zobaczymy, czy będziesz taka mądrała za pół godziny.

- Mama musi być z ciebie naprawdę dumna, Keith.

To podziałało. Keith skoczył na Laurę z jedną stopą wciąż uwięzioną w spodniach. Chciał złapać ją za szyję, ale wywinęła się szybkim skłonem, wyrwała z legginsów rękę z nożem i zatopiła ostrze w kroczu napastnika.

Keith kurczowo złapał ją za włosy, kwicząc jak zarzynane prosię. Nie bacząc na gorącą krew ściekającą jej po dłoni, Laura próbowała uwolnić nóż, ale śliska rękojeść ani drgnęła.

Nagle poczuła, że pęka jej skóra na głowie - to Keith w przyływie wściekłości poderwał ją za włosy, unosząc nad podłogę. Ból był rozdzierający, ale znalazła w sobie dość siły, by wymierzyć mężczyźnie obezwładniający cios w zuchwę. Z dłońmi wciąż wczepionymi we włosy dziewczyny Keith zatoczył się w tył i runął na łóżko.

- Puszczaj! - wrzasnęła Laura, przewracając się na męczyznę i wykorzystując okazję, by przywalić kolanem w krwawą plamę między jego nogami.

Keith mocno krwawił i po chwili poczuła, że jego chwyt słabnie. Wywinęła mu się z rąk i cofnęła w stronę parawanu, przy okazji zauważając, że jest cała we krwi.

Laura nie była szczególnie agresywną osobą, ale Keith wyzwalał w niej żądzę zabijania z powodu tego, co zamierzał jej zrobić i co prawdopodobnie zrobił innym dziewczynom, które nie były w stanie się obronić.

- Pedofil - rzuciła z nienawiścią w głosie. - Masz szczęście, że cię nie udusiłam.

To była kusząca perspektywa, ale wyszkolenie Laury wzięło górę nad jej pragnieniem zemsty. Pokoje rozdzielone były tylko cienkimi arkuszami sklejki. Ktoś z pewnością usłyszał odgłosy walki i lada chwila mogli się zjawić ochroniarze, żeby sprawdzić, co się dzieje.

## 29. DOKUMENTY

James musiał to zrobić. Przyznał rację Kerry, kiedy pojął, że ona nie zamierza mu pomóc, ale zrobił to tylko dlatego, że gdyby się pokłócili, nie byłoby mowy o wieczornych pieszczotach.

Pierwszy pomysł, na jaki wpadł, to wśliznąć się do centrum planowania bardzo wczesnym rankiem, ale to byłoby mocno podejrzane. Wiedział z doświadczenia, że budynek centrum zwykle pustoszeje przed osiemnastą. Gdyby go przyłapano o tej porze, mógłby powiedzieć, że szuka Ewarta i że zastał otwarte drzwi; chyba że dałby się złapać na gorącym uczynku, z nosem w tajnych aktach.

Wieczne powietrze chłodziła lekka mżawka. W drodze do centrum James dwa razy zawrócił, a raz zatrzymał się na kilka minut, nim ostatecznie wkroczył na alejkę prowadzącą do długiego budynku w kształcie banana.

Na szkoleniach CHERUBA uczy się agentów, że pewność siebie ma ogromne znaczenie: najlepiej zachowywać się tak, jakby miało się gdzieś cały świat, nawet jeśli robi się pod siebie ze strachu. Kampus był monitorowany przez liczne systemy nadzoru, ale przy setkach kamer i setkach ludzi kręcących się po całym terenie było mało prawdopodobne, by ochrona zwróciła uwagę na coś, co nie wyglądało nazbyt podejrzanie.

James podszedł nonszalanckim krokiem do wejścia, przeciągnął kartę przez czytnik i po kliknięciu zamka pociągnął drzwi.

Idąc dalej, starał się nie dać po sobie poznać, że próbuje patrzeć najdalej, jak to możliwe, w głąb zakrzywionego korytarza prowadzącego do gabinetu Ewarta.

Gabinet nie był zamknięty. Ewart zazwyczaj wychodził wcześniej, by odebrać dzieci ze żłobka, ale James na wszelki wypadek zapukał. Nie doczekawszy się odpowiedzi, wszedł do środka i nacisnął włącznik światła.

James nie miał kluczy do szafek ani szuflad z aktami i dziękował w duchu, że Ewart jest bałaganiarzem. Zaczął przeglądać papiery piętrzące się na biurku: faktury, bilety lotnicze, namiary na opiekunki dla dzieci, rachunek od weterynarza, który badał Klopsa, i mnóstwo dokumentów dotyczących przygotowywanej misji na Tajwanie.

Zawiedziony i zniecierpliwiony James szarpnął po kolei trzy zamknięte na klucz szuflady biurka, po czym jego wzrok padł na wielką stertę papierów na szklanym stoliku do kawy naprzeciwko kanapy.

Na samej górze dostrzegł swoją fotografię. Pochodziła z dnia, w którym przyjęto go do CHERUBA, i James był zdumiony, widząc, jak bardzo się zmienił. Ledwie rozpoznawał tę pyzatą niewinną buźkę, której mógł tylko zazdrościć braku pryszczycy.

JAMES ADAMS: POUFNE.

Kartonowy segregator miał dziesięć centymetrów grubości i pękał od całego jego życia. Były tam świadectwa szkolne od pierwszego roku w górę; napisane przez pana Large'a sprawozdanie z jego postępów podczas szkolenia podstawowego; były fotografie z kamer nadzoru przedstawiające ojca Laury Rona; raport koronera dotyczący śmierci ich mamy - „zatrzymanie akcji serca spowodowane interakcją alkoholu i leków przeciwzapalnych”, przyczyna drugorzędna: otyłość - a nawet szczegóły dotyczące jej skrytki depozytowej. Jamesa korciło, by sprawdzić, co

napisali o nim inni, ale przekopywanie się przez wszystkie materiały mogło mu zająć całe godziny i musiał się skupić na dochodzeniu Ewarta.

Sterta miała trzydzieści centymetrów wysokości i z pewnością stwarzała wrażenie, że Ewart pracował sumiennie. Przerzucając papiery, James znalazł teczki Borysa i Ajli zawierające między innymi ich fotografie sprzed wielu lat, jak również zdjęcia ich zakrwawionych zwłok wykonane w aerogrodzkiej kostnicy. Ajlę postrzelono w twarz i James rozpoznał ją tylko po wieczorowej sukni i zegarku.

Innym powracającym motywem było nazwisko lorda Hiltona, prezesa Hilton Aerospace i ważnego partnera w interesach Denisa Obidina. Hilton pojawiał się czasem w telewizji i James pamiętał jego twarz, choć nie dlatego, że interesował się przemysłem lotniczo-astronautycznym, ale z powodu niezwyklej, krzaczastej monobrowi lorda ciągnącej się z jednej strony jego głowy do drugiej. Istne marzenie karykaturzysty.

Zawartość następnej teczki uderzyła Jamesa jak pięścią w twarz. Były tam niezbyt wyraźne czarno-białe fotografie wydrukowane na błyszczącym papierze. Wykonane w gabinecie Obidina ukazywały scenę mordu dokonanego na nim przez Ajlę i Borysa. James natychmiast rozpoznał ujęcia: pochodziły z filmu CIA, który oglądał w Aerogrodzie.

Kolejne strony również zawierały wydruki ujęć z tego samego filmu. Niektóre opatrzone odręcznymi notatkami, inne były ogromnymi ziarnistymi powiększeniami maleńkich fragmentów wybranych klatek. Na samym spodzie teczki leżała kopia faksu:

Ewart,

Godzinami ślęczałem nad tym materiałem. Sprawdziłem szczegóły cieni, zrobiłem powiększenia i obejrzałem film klatka po klatce, szukając zakłóceń obrazu. Wyciągnąłem też ujęcia z Borysem

i Ają z kamer nadzoru w siedzibie MI5, żeby porównać twarze oraz takie szczegóły, jak sposób chodzenia i manieryzmy.

Możliwości nowoczesnej grafiki komputerowej nie pozwalają na zagwarantowanie autentyczności jakiegokolwiek materiału wideo, ale jeśli to jest fałszywka albo rzecz wyreżyserowana, zagrana przez aktorów i zretuszowana, to wyprodukowano ją według najwyższych standardów jakości, jakie dla nas są nieosiągalne.

Sądzę, iż dla celów twojego dochodzenia powinieneś założyć, że film jest w stu procentach autentyczny.

Rod Harper Komenda Stołeczna Policji, Laboratorium Kryminalistyki,  
pracownia foto-wideo.

James spojrział na datę wysłania: Ewart otrzymał tę wiadomość ponad tydzień wcześniej. Ale przecież nie dalej jak dwa dni temu powiedział Jamesowi, że wciąż stara się o film.

- To dwulicowy skurw... - zachłysnął się James.

Zakręciło mu się w głowie. CHERUB był nie tylko organizacją, dla której pracował. Tam był jego dom, jego przyjaciele, jego szkoła, w istocie całe jego życie. Zderzywszy się z twardą rzeczywistością, James uświadomił sobie, że Kerry miała rację: do tej pory wcale nie był przekonany, że Ewart go okłamuje, a do centrum planowania przyszedł dlatego, że zżerała go ciekawość.

Drżącymi rękami przerzucał resztę papierów. Stron były tysiące, zapewne setki tysięcy słów; nie byłby w stanie przeczytać wszystkiego, nawet gdyby siedział tu całą noc. Uznał, że ograniczy się do pobieżnego przewertowania dokumentów i przeczytania najważniejszych, ale co dalej? Ewart był mężem prezes CHERUBA i mimo całej sympatii, jaką żywił wobec Zary, James wcale nie był pewien, czy może liczyć na jej wsparcie.



Może nawet grała jakąś rolę w planie Ewarta, na czymkolwiek ów plan miałby polegać.

Pozostawała mu komisja etyki, ale jej członkowie z założenia byli niezależni. Nie mieszkali w kampusie i wszyscy byli ludźmi z zewnątrz: prawnikami, emerytowanymi policjantami i tak dalej. Nawet gdyby James dotarł do któregoś, jaką miał gwarancję, że Ewart się z tego nie wyłga?

James zrozumiał, że jedynym realnym wyjściem było uspokoić się, przeczytać, ile się uda, skserować najciekawsze dokumenty, a potem pokazać je panu Pike'owi. Albo może Meryl?

Ktoś zapukał do drzwi. James podskoczył ze strachu, a sarta papierów na jego kolanach posypała się kaskadą na dywan. To była katastrofa. Gdyby osoba za drzwiami weszła do gabinetu, byłoby dla niej oślepiająco oczywiste, że James szpieguje.

James zacisnął kciuki, modląc się w duchu, by intruz sobie poszedł, ale oto szczęknęła klamka i drzwi rozpoczęły powolny obrót nad dywanem.

## 30. KLÓDKA

Laura nie wiedziała, ile ma czasu. Wyszła na korytarz i z ulgą stwierdziła, że jest pusty, za to mniej ucieszyły ją kamery wpatrzone w nią z obu stron. Nawet jeżeli nikt nie usłyszał hałasu, zauważenie jej przez ochronę było wyłącznie kwestią sekund.

- Nic ci nie jest?! - krzyknęła, wpatrując się badawczo w masywną kłódkę na drzwiach pokoju Ani.

- Co to był za hałas? - zapytała Ania z drugiej strony.

- Dźgnęłam Keitha - wyjaśniła Laura. - Odsuń się od drzwi.

Kłódka wyglądała na solidną, ale każdy system zabezpieczający jest tylko tak wytrzymały jak jego najsłabszy element, a same drzwi były raczej wiotkie. Laura odwróciła się, wsparła dłońmi o ościeże własnego pokoju i użyła ich jako oparcia do wystrzelenia wybuchowego, dwunożnego kopniaka przez szerokość korytarza.

Choć była w butach sportowych na grubej podeszwie, jej pięty eksplodowały dotkliwym bólem. Rozległ się trzask; cienkie ściany po obu stronach korytarza zafalowały z głuchym łomotem. Wrzeciędz wytrzymał, ale między drzwiami a płytą wiórową, w jakiej były osadzone, pojawiła się spora wyrwa.

Drugie kopnięcie wepchnęło do środka drzwi po stronie z zawiasami. Szczelina nie była szeroka, ale wystarczyła, by Ania

mogła przecisnąć przez nią swoje wąte ciało. Rosjanka onie-  
miała na widok dyszącej Laury w poplamionym krwią ubraniu i z  
ciężką kłódką w dłoni.

\*

Dziewczęta już prawie dobiegły do schodów w końcu koryta-  
rza, kiedy pojawił się na nich bramkarz, którego widziały w re-  
cepcji. Z pokojów wyszły trzy zaskoczone dziewczyny i mężczy-  
zna w średnim wieku, zaniepokojeni trzęsącymi się ścianami.

Ania zaczęła rozglądać się za alternatywną drogą ucieczki, ale  
Laura ukryła kłódkę w dłoni i ruszyła prosto na bramkarza. Pod  
znoszonym szarym garniturem pęczniały węzły mięśni i Laura  
zgadywała, że ma przed sobą byłego wojskowego, może nawet  
emerytowanego boksera. Wiedziała, że nawet z najlepszym wy-  
szkoleniem w dziedzinie sztuk walki będzie miała tylko jedno  
podejście do ataku z zaskoczenia.

- A ty dokąd się wybierasz, mała? - wyszczerzył się bramkarz  
i wskazał palcem drugi koniec korytarza. - Jazda do swoich po-  
kójów, bo strzele w łeb.

Laura odczekała, aż odległość między nimi zmalała do nie-  
spełna metra, i zamachnęła się ciężką kłódką. Dwie dziewczyny  
wrzasnęły, kiedy metal grzmotnął w kość, wydając przyprawiają-  
cy o mdłości zgrzyt i pozostawiając na policzku mężczyzny  
krwawe rozdarcie. Kiedy oszołomiony zatoczył się w przód, Lau-  
ra odebrała mu dech brutalnym kopnięciem w żebra, poprawiła  
kolanem w brzuch i wykończyła nokautującym ciosem kłódką w  
tył głowy.

- Dziewczyny, spadamy stąd! - zawołała, ruszając w stronę  
schodów, uzbrojona tylko w kłódkę i przerażona perspektywą  
znalezienia się po niewłaściwej stronie lufy.

Skradała się po schodach, czując na szyi nerwowy oddech Ani.  
W pewnej odległości podążały za nią niepewnie cztery nieco  
starsze dziewczyny.

Na dole Laura wystawiła głowę za róg klatki schodowej, by zajrzeć do recepcji. Kanapy, na których dziewczęta czekały na klientów, były niewidoczne, ale w zasięgu wzroku miała recepcjonistkę, pusty fotel bramkarza oraz kurtkę Keitha zwisającą kusząco ze stojącego wieszaka.

- Widzisz płaszcze? - wyszeptała.

Ania skinęła głową.

- Ja pójdę pierwsza. Ty polecisz do wieszaka i przeszukasz brązową kurtkę. To Keitha. Miał w niej rewolwer. No to jazda.

Laura puściła się biegiem w stronę wyjścia ku bezbrzeżnemu zdziwieniu recepcjonistki, która zerwała się z krzesła i wyciągnęła palec w stronę schodów.

- Wracać mi na górę albo czekają was poważne kłopoty!

Dziewczyny na kanapach umilkły; wyraz znudzenia na ich twarzach w jednej chwili ulotnił się bez śladu. Laura zatrzymała się i odwróciła z furią, widząc, że Ania stoi bezradnie przy wejściu na schody.

- Na miłość boską! - wydarła się, pokazując palcem wieszak.

Recepcjonistka wyskoczyła zza kontuaru i złapała ją za ramię. Laura ścisnęła jej kościsty nadgarstek, wykręciła rękę za plecami, uderzyła głową w blat, a na koniec trzasnęła w skroń metalowym frontem kłódki.

- Leż i nie ruszaj się, bo znowu dostaniesz - zagroziła, cedząc słowa przez zęby, po czym zwróciła swoją furię przeciwko Ani. - Co z tobą?! Jesteś do niczego!

Przy schodach pojawiła się grupka wystraszonych młodszych dziewcząt. Starsze, które wystawiono na pokaz, wstawały z kanap, trąkając nerwowo po rosyjsku i w innych językach, jakich Laura nie rozumiała.

Widząc, że Ania jest niezdolna do działania, Laura sama ruszyła w stronę wieszaka, ale zanim tam dotarła, drzwi wyjściowe otworzyły się z hukiem. Do recepcji wparował Roman, a tuż za

nim Abby dzierżąc w dłoni pojemnik z gazem pieprzowym.

- Wracać do swoich pokojów, już! - krzyknęła Abby do młodszych dziewcząt, trzymając kciuk na zaworze puszk.

Laura zanurkowała za kontuar recepcjonistki. Nastolatki najwyraźniej nie domyśliły się, co zawiera puszk, więc Abby przeprowadziła szybką demonstrację, tryskając gazem w twarz jednej ze swoich starszych pracownic. Rozległ się wrzask i tupot młodych nóg uciekających w popłochu na górę.

- Jeżeli to zaraz się nie skończy, zadzwonię po Kennetha i paru chłopaków - zagroziła Abby.

Kimkolwiek był Kenneth, wzmianka o nim wystarczyła, by usadzić dziewczęta z powrotem na kanapach. Ania zniknęła na górce, ale Laura zdążyła podpełznąć aż do chromowanej podstawy wieszaka na płaszcze i z ulgą stwierdziła, że z wewnętrznej kieszeni kurtki Keitha wystaje kolba rewolweru.

- Rewolucja skończona - uśmiechnął się Roman. - Tyłki w troki i do roboty!

- Tam jest prowodyrka - powiedziała recepcjonistka, z wysiłkiem dźwigając się na nogi i przykrywając dłonią małe rozcięcie w miejscu, gdzie oberwała kłódką.

Laura miała tylko sekundę na sięgnięcie po broń. W chwili gdy zerwała się z lepkiego od brudu dywanu, Abby błyskawicznie obróciła się w jej stronę i nacisnęła zawór puszk z gazem pieprzowym. Z dyszy wytrysnął jadowity płyn. Laura próbowała skryć twarz za damskim płaszczem, ale piekący strumień uderzył ją w bok głowy w chwili, gdy zaciskała palce na kolbie rewolweru Keitha.

Laura poczuła, że jej twarz płonie żywym ogniem. Z jednym okiem zamkniętym, drugim pełnym łez, nie bacząc na gryzący gaz wypalający jej podniebienie i gardło, Laura wycelowwała broń w sufit i oddała strzał ostrzegawczy.

- Rzuć sprej i otwórz drzwi! - zawołała, starając się, by jej głos brzmiał stanowczo.

Usłyszała przyciszone głosy młodszych dziewcząt, które zakradły się z powrotem na dół schodów zaciekawione hukiem wystrzału. Laura widziała jedynie rozmazane smugi i walczyła o każdy oddech, ale Abby i Roman stali tylko trzy metry od niej, a nie trzeba sokolego wzroku, by z tej odległości trafić w człowieka.

Abby wypuściła z dłoni puszkę.

- A teraz drzwi - powiedziała Laura. - Dziewczyny, które chcą iść ze mną, serdecznie zapraszam.

Roman spojrzął na Abby, a gdy ta skinęła przyzwalająco głową, podszedł do głównych drzwi i otworzył je. Laura rozpaczliwie wypatrywała Ani, ale widziała tylko kolory i rozmazane kształty. Biegając przez hol w stronę biura Abby - jedną ręką macając drogę przed sobą, drugą ściskając rewolwer - zdała sobie sprawę, że towarzyszy jej pięć lub sześć dziewcząt.

- Ania? - zawołała, zatrzymując się przed drzwiami gabinetu.

- Twoja koleżanka poszła na górę - powiedziała łamaną angielszczyzną dziewczynka niewiele większa od Laury.

- Nie mogę tam wrócić - powiedziała Laura bardziej do siebie niż do nieznajomej, po czym weszła do biura. - Widzisz telefon?

- Na biurku.

- Wykręcisz dla mnie numer, dobra? - poprosiła Laura. W tej samej chwili spostrzegła, że pozostałe dziewczyny stoją w progu, czekając na instrukcje. - Lećcie na dół! - zawołała. - Przez magazyn z butelkami do baru i stamtąd na ulicę.

Kiedy stopy sześciu nastolatków w tanich szlafrokach i klapkach zaklaskały na metalowych schodach, Laura poprosiła swoją towarzyszkę o podanie słuchawki i podyktowała jej numer komórki Johna Jonesa.

- Gdzie jesteś?! - krzyknęła, gdy tylko usłyszała, że ktoś odebrał.

- Wchodzimy za pięć do dziesięciu minut - odpowiedział John.

- Chodzi o to, że gliny trochę się boją szturmować tak duży budynek bez rozpoznania. Nie wiemy, jak silnie są uzbrojeni...

- Wiem tylko o jednym rewolwerze i w tej chwili trzymam go w rękę - powiedziała Laura. - Słuchaj, grupa dziewczyn ucieka na zewnątrz przez bar. Mogą się zjawić w każdej chwili.

- Przejmujemy je. Masz straszny głos, nic ci nie jest?

- Gaz pieprzowy - wyjaśniła Laura. - Na szczęście głównie po jednej stronie głowy.

Niewyraźna postać jej pomocnicy odezwała się drżącym głosem.

- Uwaga, idzie Abby i reszta.

- John, szczury uciekają z tonącego okrętu! Musisz je wyłapać!

- krzyknęła Laura do słuchawki.

- Jesteś pewna, że nie mają broni?

- Raczej tak - odpowiedziała Laura, gestem odprawiając swoją towarzyszkę w stronę schodów.

- Dobrze, uważaj na siebie. Policja już otoczyła budynek.

- Pewnie spróbują wyrwać się przez tylną bramę samochodem

- podpowiedziała Laura.

Następne zdanie John skierował do kogoś, kto stał obok niego.

- Zaparkujcie jeden z wozów w poprzek tylnej bramy.

Laura spostrzegła, że jej pomocnica uciekła. Ścisnęła mocniej rewolwer, patrząc, jak niewyraźne barwne kształty przemykają przez hol. Wielka czerwona plama wyglądała jak Abby, ale ktokolwiek to był, nie interesował się Laurą, tylko jak najszybszą ucieczką.

- Dziewczyny wybiegają z baru! - zawołał John. - Policja wchodzi do środka.

- Lepiej wezwijcie parę karet - powiedziała Laura. - Znokautowałam jednego kolesia, a drugiego dźgnęłam nożem. Nie wiem nawet, czy jeszcze żyje.

Jeszcze zanim dokończyła zdanie, w barze na dole ucichło basowe dudnienie muzyki. W zamian hol wypełnił się krzykami i łoskotem ciężkich butów na metalowych stopniach.

- Rzuć broń! - krzyknęła jakaś kobieta.

Laura położyła rewolwer na biurku, a zamglona czarna postać podeszła do niej, odpinając hełm. Oczy wciąż piekły Laurę jak diabli, ale wzrok z wolna się jej poprawiał.

- Dalej w holu, za białymi drzwiami, są jeszcze dziewczyny - powiedziała do policjantki. - Myślę, że cały personel uciekł.

- Słyszeliście! - huknęła policjantka, machnięciem ręki wyprawiając pół tuzina kolegów na poszukiwania.

Laura przypomniała sobie, że wciąż ma na linii Johna.

- Gdzie jesteś? - zawołała do słuchawki.

- Za sekundę u ciebie - odpowiedział John i przerwał połączenie.

Na ulicach wokół starego domu towarowego wyło pół tuzina policyjnych syren. Głośny huk podpowiedział Laurze, że policjantom udało się wyważyć drzwi domu publicznego.

- Nic ci nie jest? - zapytał John, mijając policjantkę.

- Słabo widzę.

John postawił na biurku butelkę wody mineralnej i papierowe ręczniki, które przyniósł z baru na dole.

- Masz grudy pieprzu na bluzie - wyjaśnił, wyjmując z kieszeni scyzoryk. - Mogłyby dostać ci się do oczu podczas zdejmowania, dlatego lepiej ją rozetnę, a potem opłuczemy ci głowę.

John ostrożnie naciął przód bluzy Laury przy samej szyi, po czym złapał za obie strony i pociągnął w dół, rozdzierając materiał.



Laura wiedziała, że jest już bezpieczna. W przypiływie radosnej ulgi pozwoliła sobie na żart:

- Lepiej uważaj - wyszczerzyła się. - Szkoda, że nie widziałeś, w jakim stanie jest ostatni koleś, który próbował zedrzeć ze mnie ubranie.

## 31. TROPY

James aż jęknął z ulgą na widok krępej dziewczęcej postaci wsuwającej się do pokoju z odkurzaczem i puszką płynu do czyszczenia mebli pod pachą.

- Dana. Dzięki Bogu, że to ty.

Dana była piętnastoletnią cherubinką pochodzącą z Australii. Wielokrotnie trenowała z Jamesem, zaś wcześniej tego roku partnerowała mu podczas misji.

- Czyś ty się czego naćpał? - zachłysnęła się Dana na widok Jamesa wśród rozsypanych dokumentów Ewarta. - Jak któryś z koordynatorów cię tu przydybie, wykopią cię z firmy tak szybko, że twoje stopy nie dotkną ziemi.

- Akt desperacji - wyjaśnił James. - A ty co tutaj robisz?

- A jak ci się zdaje, bystrzaku? - zadrwiła Dana, stawiając odkurzacza na podłodze i potrząsając Jamesowi pod nosem puszką z płynem do mebli. - Jeden mały pajac wciął się w kolejkę na stolówce, no i musiałam przywalić mu w łeb tacą. Pech, że akurat w tej chwili weszli dwaj nauczyciele, no i wlepili mi miesiąc sprzą-tania w centrum.

James pokręcił głową.

- Rażąca niesprawiedliwość - zauważył z goryczą. - W kam-pusie to nic nowego, normalnie nie dają żyć.

- Słyszałam, że miałeś odjechany urodzinowy weekend.

- Tak, dziewczyny zorganizowały, żeby mnie trochę po-cieszyć. Było ekstra.

Dana uniosła jedną brew.

- Dzięki za zaproszenie, stary.
- Och, ale... Słuchaj... No bo to była niespodzianka. Kerry i Laura wszystko zorganizowały, a ja, bez obrazy, ale nigdy nie sądziłem, że takie rzeczy cię kręcą. Jesteś raczej typem samotniczki...
- Przesiadującej całymi dniami w swoim pokoju, czytającej Władcę pierścieni po raz siedemsetny i gotującej żaby w swoim wielkim kotle.
- Coś w tym guście - przyznał James.
- Czuł się niepewnie, bo Dana miała w ręku wszystkie karty.
- Słyszałam, że cię zawiesili po tej awanturze w Aerogrodzie - powiedziała Dana, patrząc na fotografię Jamesa sprzed trzech lat wśród rozsypanych na podłodze papierów. - Czy to dokumenty z dochodzenia Ewarta?
- James skinął głową.
- Zakradłem się tu, bo mam paskudne przeczucie, że Ewart próbuje mnie wkręcić.
- Czemu miałby to robić?
- Myślę, że odpowiedź jest gdzieś w tych papierach - powiedział James, wygrzebując ze sterty teczkę z analizą filmu CIA. - Tu są dowody, które totalnie mnie oczyszczają. Ewart ma je od ponad tydzień, ale kiedy spytałem go dwa dni temu, powiedział, że wciąż próbuje wydębić te materiały od CIA, a potem ostrzegł, że być może zostaną zmuszony do odejścia z CHERUBA.
- Mógł je dostać tuż przed wyjazdem.
- Data jest z zeszłego tygodnia, Dana. Zaraz... jakim wyjazdem?
- Ewart wyjechał jakąś godzinę temu z torbą podręczną. Zatrzymał mnie, żeby pomarudzić, że niby niedokładnie sprzątam mu biuro. Powiedział, że mam porządnie odkurzać parapety i pilnować, żeby nie rozlewać wody, kiedy podlewam jego kaktusa. Mam wielką ochotę nasikać mu do doniczki.

- Szczerze mówiąc, nigdy go nie lubiłem – oświadczył James.
- Miałem go na paru misjach i był upierdliwy, że szok.

Dana pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Najbardziej mnie wnerwia ta jego supercoolziomalska baha. Kolo chodzi ubrany jak surfer, z kołkiem w ozorze i w zdartych dżinach, a tak naprawdę jest trzydziestoparoletnim drętwsusem, z ostrą w garażu, dwójką dzieciaków i hipoteką.

- Właśnie - zapalił się James. - John Jones to stary łysol, ale jest milion razy fajniejszy od Ewarta.

- Pracowałam z większością naszych koordynatorów i Ewart jest zdecydowanie moim najmniej ulubionym.

James obrzucił smętnym spojrzeniem stertę papierów, a potem podniósł wzrok na Dane.

- Muszę wiedzieć, co on knuje, ale nie przekopię się przez to wszystko sam. Pewnie nie zechcesz mi pomóc, co?

- Wiesz, to jest niezłe gówno... - powiedziała Dana, kręcąc niepewnie głową.

- Proszę - jęknął James i natychmiast tego pożałował. Dana była twardą dziewczyną, nieznoszącą rozczulania się nad sobą, a on właśnie zrobił z siebie żalosego pierdołę.

- Daj mi chwilę pomyśleć - ucięła Dana, by po kilku sekundach podjąć rzeczowym tonem: - Ewart wróci najwcześniej jutro po południu. Może wyniesiemy to wszystko w worku na śmieci? Trzeba będzie uważać, żeby nie pomieszać papierów. Niektóre są zabezpieczone, więc wychodząc głównym wejściem, uruchomilibyśmy alarm, ale mogę wziąć je na wózek i wystawić ze śmieciami. Zgarniesz je i poczekaasz za budynkiem, aż porzucam prawdziwe odpadki do spalarki. Potem pójdziemy do ciebie, przejrzymy to, a jutro z samego rana przyniosę wszystko z powrotem.

Na twarzy Jamesa wykwitł szeroki uśmiech.

- Być może właśnie uratowałaś mi życie.

Dana pogroziła mu palcem.

- I żebyś o tym pamiętał, kiedy znów będzie mowa o darmowych gokartach i imprezkach w wyczesanych hotelach.

\*

Dzieci biegające po kampusie z pełnym workiem na śmieci wyglądałyby nieco podejrzanie, dlatego podczas gdy Dana kończyła sprzątanie, James pobiegł po plecak. Czterdzieści minut później stał już w swoim pokoju, patrząc na spiętrzone na łóżku dokumenty Ewarta.

- Musimy zrobić to jak należy - powiedziała Dana, naciągając na dłonie lateksowe jednorazowe rękawiczki. - Ewart nie może wiedzieć, że przeglądaliśmy jego papiery. Jeśli cokolwiek wzbudzi jego podejrzenia, zażąda zapisu wideo z korytarza przed jego gabinetem, a wtedy jesteśmy ugotowani.

- No tak, tylko że na części z nich już zostawiłem odciski palców i mogą być trochę pomieszane - odpowiedział James. - Upuściłem trochę papierów, kiedy mnie zaskoczyłaś, ale może dam radę poukładać je mniej więcej tak, jak były.

Wszyscy cherubini uczą się szybkiego czytania i efektywnych sposobów przeszukiwania zbiorów dokumentów. Po uprzątnięciu śmieci i rzeczy Jamesa porozwalanych wokół łóżka Dana wyjęła cyfrowy aparat i zrobiła kilka zdjęć, żeby po przejrzeniu papierów mogli odtworzyć ich układ.

- Nie damy rady przejrzeć wszystkiego - stwierdziła. - Nawet szybkie czytanie nam nie pomoże. Podzielimy się po połowie i spróbujemy odłowić kluczowe dokumenty, zwłaszcza te, które napisał Ewart i które dadzą nam pojęcie o jego sposobie myślenia.

James chodził na te same kursy technik wywiadowczych co Dana i oparł się pokusie przypomnienia jej, że nie urodził się

wczoraj, tylko dlatego, że wyświadczała mu gigantyczną przysługę.

Po podzieleniu sterty na dwie mniejsze o mniej więcej jednakowej wysokości James zasiadł do przeglądania dolnej połowy i jego wzrok padł na teczki osobowe personelu MI5 podpisane nazwiskami Borysa i Ajli Kotenków.

- O, szuja jedna - syknął James, podnosząc dokumenty, by pokazać je Danie. - Tego też podobno nie mógł się doprosić w MI5.

Zaskoczyła go informacja, że Borys i Ajla byli nie tylko małżeństwem, ale też kuzynami. W czasach zimnej wojny ryzykowali śmierć lub dożywocie w łagrze, przekazując Zachodowi cenne informacje na temat rosyjskiej techniki wojskowej.

- Posłuchaj tego - powiedział James, szykując się do odczytania podkreślonego przez Ewarta fragmentu raportu.

- „Kotenkowowie byli hojnie wynagradzani przez brytyjskie i amerykańskie służby wywiadowcze. Jednakże stracili wszystko, próbując założyć pralnię chemiczną w Moskwie i w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym ponownie zaoferowali swoje usługi MI5. Dzięki swoim kontaktom wewnątrz rosyjskiego przemysłu zbrojeniowego byli w stanie utrzymać się z nielegalnego handlu bronią, ale nieustannie utyskiwali na niewystarczające dochody, niski status i brak ubezpieczenia emerytalnego”.

Dana skinęła głową.

- Wyglądają mi na ludzi, którzy wzięliby kasę za załatwienie Obidina - powiedziała w zamyśleniu wpatrzona w jakiś papier, po czym parsknęła śmiechem.

- Co cię tak bawi?

Dana odczytała wyjątek z raportu pielęgniarki środowiskowej napisanego przed siedmiu laty:

- „James Choke jest bystry i inteligentny jak na ośmiolatka, choć czasami miewa kłopoty z opanowaniem agresji. Niestety,

jego problem z moczeniem nocnym nie ustępuje. W tej kwestii nie pomaga jego młodsza siostra Laura, która bezlitośnie drażni się z nim, nazywając Panem Siusiumajtkiem”.

- Hej! - zdenerwował się James. - Oddaj to. Miałas przeglądać dokumenty Ewarta, a nie moją teczkę.

- Muszę być dokładna - zachichotała Dana.

- Dana, mogą mnie wykopać z CHERUBA, a ty robisz sobie jaja.

- Wiem, że to poważna sprawa, siusiumajtku. Być może umknęło to twojej uwadze, ale ryzykuję tak samo jak ty.

Dana wciąż się śmiała, kiedy James z kwaśną miną wrócił do swoich papierów.

- Masz włączony laptop? - zapytała kilka minut później.

- Muszę zajrzeć do internetu.

- Jasne. Masz coś ciekawego?

- Może... Powiem ci za chwilę. A przy okazji, co wiesz o Hilton Aerospace?

James wzruszył ramionami.

- Niewiele. Brytyjska firma, ma jakieś duże kontrakty w Aerogrodzie. Remontują Rosjanom samoloty i takie tam.

- Kontrakty z Denisem Obidinem? - zapytała Dana.

- Dokładnie - pokiwał głową James. - Rodzina Obidinów ma całe miasto w kieszeni.

- Oboje nie żyją... - mruknęła do siebie Dana, gorączkowo stukając w klawiaturę laptopa.

- Kto nie żyje? - zainteresował się James, odkładając swoje papiery na dywan.

Podpełzł do biurka na kolanach. Dana uniosła napisaną odręcznie listę nazwisk z nabazgranymi przez Ewarta strzałkami, cyframi i znakami zapytania. Zaczęła wskazywać nazwiska po kolei:

- Denis Obidin, nie żyje. Borys i Ajla, nie żyją. Lord Hilton, wciąż żyje, ale jeśli dobrze rozumiem ten schemat, Ewart sądzi,

że wykorzystał holding do wypłacenia Borysowi i Ajli pięćdziesięciu tysięcy dolarów. No i jest jeszcze ten kolo: Sebastian Hilton. Nie wiem jeszcze, jak on się w to wszystko wkleja, ale przypuszczam, że to jakiś krewny lorda, brat, syn czy ktoś w tym rodzaju.

- Czekaj, przed chwilą widziałem w swojej stercie kopię jego wpisu we Who is Who - powiedział James. - To syn lorda Hiltona, członek parlamentu i nowy podsekretarz stanu w ministerstwie wywiadu.

- Akcja się zagęszcza - wyszczerzyła się Dana, wklepując kolejne hasło w Google.

- A te cztery pozostałe nazwiska? - zapytał James, patrząc na dolną część kartki ze spisem osób.

- Clare Nazareth - powiedziała Dana, czytając z ekranu artykuł z lokalnej gazety: - „Badaczka Clare Nazareth zmarła tragicznie w wyniku zatrucia tlenkiem węgla we własnym domu w Hertfordshire. Pięćdziesięcioośmioletnia matka dwojga dzieci od ponad trzydziestu lat pracowała dla Hilton Aerospace i była autorką ponad osiemdziesięciu publikacji naukowych. Jej najznakomitsze prace dotyczyły nowych technologii umożliwiających budowę ceramicznych silników odrzutowych”.

- Napisali, kiedy umarła? - zapytał James.

- Wczoraj minęły dwa tygodnie.

- Czyli tuż po moim powrocie z Aerogrodu.

Dana otworzyła w nowej karcie wyszukiwanie z kolejnym nazwiskiem.

- No proszę... - powiedziała, unosząc brwi. - Następna gryzie piach.

James spojrział na wyświetloną na ekranie fotografię starszej kobiety, a Dana zaczęła czytać na głos:

- „Siedemdziesięcioletnią Madeline Cowell znaleziono martwą w jej domu w Hertfordshire. Matka dwóchsynów, niedawno owdowiała - bla, bla, bla - prawdopodobnie pomyliła swoje



lekarstwa. Zdaniem policji okoliczności zdarzenia nie budzą żadnych wątpliwości”.

- Kim ona była?

Dana kliknęła kilka innych linków, ale nie doszukała się niczego nowego.

- Może znajdziemy coś w dokumentach.

- A te dwa nazwiska na dole? - zapytał James. - Jason McCloud i Sara Thomas?

Dana wskazała kartkę, która dopiero co wysunęła się z drukarki Jamesa.

- Wygląda na to, że McCloud jest dziennikarzem naukowym. Jak go wrzuciłam w Google, wyskoczyły mi setki artykułów, więc zawęziłam wyszukiwanie do Jason Cloud Hilton Aerospace.

James zdjął kartkę z drukarki. Artykuł pochodził z internetowej edycji magazynu „Aerospace World”.

#### CERAMICZNY NIEWYPAŁ

KOLEJNE NIEPOWODZENIE PROGRAMU BUDOWY SILNIKÓW ODRZUTOWYCH NOWEJ GENERACJI NIE ZASKOCZYŁO NIKOGO. Autor: Jason McCloud

Od zarania epoki odrzutowców konstruktorzy szukają sposobów na zastąpienie metalowych elementów wewnątrz silników odrzutowych częściami ceramicznymi. Teoretycznie własności cieplne ceramicznej turbiny powinny pozwolić na zwiększenie temperatury przed jej łopatkami, a zatem na znaczne zwiększenie sprawności i mocy silnika w porównaniu z jego metalowym odpowiednikiem. Jednak rzeczywistość konsekwentnie przynosi badaczom kolejne rozczarowania.

Najnowszym z ciosów jest decyzja Hilton Aerospace o zaprzestaniu finansowania ośrodka badawczo-rozwojowego w Aerogrodzie w Rosji, gdzie prowadzono prace nad nowymi materiałami ceramicznymi. Nasz rosyjski korespondent udał się do Aerogrodu, by porozmawiać z Denisem Obidinem.

Obidin wydaje się nie tracić typowej dla niego pewności siebie, ale zdaniem wielu komentatorów zamknięcie ośrodka jest gwoździem do trumny jego marzeń o nowoczesnym rosyjskim przemyśle lotniczym, skutecznie konkurującym z Ameryką i Europą.

ZALOGUJ SIĘ, ABY PRZECZYTAĆ CAŁY TEKST.  
ABY OTRZYMAĆ NATYCHMIASTOWY DOSTĘP,  
WYKUP SUBSKRYPCJĘ ONLINE TUTAJ.

- Wszystko zdaje się jakoś ze sobą łączyć - zauważył James. - Lord Hilton wycofuje się z finansowania ukochanego projektu Denisa Obidina, dochodzi do konfliktu i kończy się na tym, że Hilton wynajmuje Borysa i Ajlę, żeby zabili Denisa.

- To by się zgadzało - skinęła głową Dana. - Kwasy między dwoma biznesmenami to nie jest temat na artykuł w fachowym piśmie, ale to jest zupełnie inna liga. Co takiego miał Obidin, że Hilton zdecydował się przesłać zlecenie do działu mokrej roboty?

- Coś, co zagrażało jego życiu, karierze albo rodzinie.

- No tak - zgodziła się Dana. - Ach, mam ją. Znalazłam stronę pokazów lotniczych z dwa tysiące drugiego. „Przedstawiciele prasy pragnący porozmawiać z lordem Hiltonem winni w pierwszej kolejności skontaktować się z jego osobistą asystentką Madeline Cowell”.

- No nieźle - powiedział James. - Czyli mamy współnika lorda Hiltona, jego osobistą sekretarkę i jego czołowego naukowca, którzy kopnęli w kalendarz w ciągu trzech tygodni. Myślisz, że ktoś mógł zwrócić na to uwagę?

- Niekoniecznie - odpowiedziała Dana. - Sekretarka była starszą panią, a Obidin mieszkał trzy tysiące kilometrów stąd. Jeżeli któraś z tych śmierci mogła unieść czyjaś brew, to tylko zaczenie badaczki.

- Znaczą że poza lordem Hiltonem i jego synem dziennikarz Jason McLoud i ta Sara Thomas to jedyne osoby z listy, które nadal żyją.

Dana kiwnęła głową.

- Właśnie.

James zamyślił się.

- Wiemy, kto to jest ta Thomas? - zapytał po chwili.

- Nazwisko jest zbyt popularne - powiedziała Dana. -Właśnie weszłam na serwer CHERUBA i przeglądam krajową listę wyborców. W Wielkiej Brytanii jest pięć tysięcy trzysta siedemnaście osób nazywających się Sara Thomas.

- No i co teraz?

Dana wskazała palcem stertę papierów.

- Kop dalej, stary.

## 32. LIZAK

Było już dobrze po północy, a James i Dana wciąż pracowali. Przekonali się, że Ewart przeprowadził gruntowne dochodzenie, korzystając z pomocy własnych kontaktów wewnątrz MI5 i CIA. Wyszło na to, że sam odkrył już większą część prawdy na temat fatalnej operacji w Aerogradzie.

Syn lorda Hiltona Sebastian prowadził rosyjską filię Hilton Aerospace do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku, kiedy to opuścił firmę, by zostać politykiem. W tym czasie Denis Obidin zgromadził trochę brudów na jego temat. Kiedy lord Hilton oznajmił, że zamierza wstrzymać finansowanie badań nad ceramicznym silnikiem, Obidin zaczął go szantażować, grożąc, że zrujnuje rozwijającą się karierę polityczną jego syna, chyba że...

Dokumenty milczały na temat tego, co Denis Obidin miał na Sebastiana Hiltona oraz o co poprosił lorda Hiltona w zamian za swoje milczenie. Nie ulegało jednak wątpliwości, że zamiast posłusznie spełnić żądania szantażysty, nowo mianowany podsekretarz stanu w ministerstwie wywiadu użył pieniędzy ojca oraz swoich ministerialnych wpływów do zorganizowania zabójstwa Denisa Obidina.

Sebastian Hilton posłał Borysa i Ajlę do Aerogradu na tajną operację, po czym obiecał im sto tysięcy dolarów za zabicie Obidina. Inni ludzie, którzy znali prawdę bądź domyślali się jej - tacy

jak badaczka i emerytowana osobista asystentka lorda Hiltona - najwyraźniej także zostali wyeliminowani.

Sebastian zakładał, że koneksje wewnątrz MI5 umożliwią mu zatarcie śladów po jego brudnych machlojkach. Tak się jednak złożyło, że jako zaledwie podsekretarz stanu nigdy nie został poinformowany o istnieniu CHERUBA, podobnie zresztą jak Borys i Ajla. Wszyscy oni musieli być mocno zaskoczeni, kiedy władze MI5 i CHERUBA zaniepokojone mizernymi postępami operacji Borysa i Ajli postanowiły wysłać do Rosji cherubina, by pomógł im w zdobyciu dowodów na nielegalną działalność Obidina jako handlarza bronią.

Obecność Jamesa zapewne zaniepokoiła ich, jednak nie na tyle, by skłonić do rezygnacji z morderczego planu. Ten się nie zmienił: Borys i Ajla mieli udusić Denisa Obidina i uciec z Aerogrodu, a potem utrzymywać, że zabili w samoobronie podczas gwałtownej sprzeczki. To, że James najpewniej zostałby potem schwytany, torturowany i wreszcie zamordowany przez Władimira Obidina, było im tak dalece obojętne, że nawet nie zadali sobie trudu wymyślenia sposobu na ewakuowanie go z miasta w noc morderstwa.

Po wykonaniu zadania Borys i Ajla mieli wrócić do Wielkiej Brytanii i zainkasować resztę zapłaty od lorda Hiltona. Po krótkim śledztwie, w którym byliby jedynymi wiarygodnymi świadkami, Jamesa uznano by za przypadkową ofiarę misji, która w dramatyczny sposób wyrwała się spod kontroli.

Na szczęście dla Jamesa Sebastian Hilton przeliczył się. Borys i Ajla zostali zabici, podczas gdy cherubin uciekł i wrócił cało do domu. Co gorsza, nikt w MI5 nie miał pojęcia, że w Aerogrodzie działa zespół CIA, który nie tylko zdołał ustalić, że Borys, Ajla i James są agentami brytyjskiego wywiadu, ale także uzyskał

materiał filmowy dowodzący ponad wszelką wątpliwość, że Denis Obidin został zamordowany z zimną krwią.

\*

James z ulgą przyjął prawdę - a przynajmniej jej większą część - ale wciąż nurtował go mdlący niepokój. Ewart znał fakty już od kilku dni, niektóre od tygodnia, ale jego samego utrzymywał w niewiedzy, a nawet posunął się do stwierdzenia, że James powinien się liczyć z rychłym zakończeniem swojej kariery w CHERUBIE.

Był już na dole swojej sterty, kiedy wpadł mu w rękę plik napisanych odręcznie notatek Ewarta.

- Spotkania! - zawołał z tym rodzajem euforii we głosie, jaki może pojawić się tylko po czterech godzinach otepiałego szybkościowego czytania.

- Co nowego, doktorku? - zapytała Dana.

- Najważniejszy papier musiał być na samym dole, no nie? - powiedział James, pokazując koleżance swoją zdobycz. - Pamiętasz tych dwoje ludzi z listy, którzy ciągle żyją? Zdaje się, że z obojgiem Ewart ma jutro spotkania. Pierwsze o wpół do dziesiątej, z naszym przyjacielem dziennikarzem Jasonem McLoudem, a potem idzie na lunch z tajemniczą Sarą Thomas.

- No to już wiemy, dokąd wyjechał, ale wciąż nie wiemy, co kombinuje - powiedziała Dana. - Z drugiej strony przyznasz, że to całkiem gruntowne dochodzenie jak na kogoś, kto chce tylko ukrzeć sprawię łeb.

- Zgoda - kiwnął głową James. - Ale połowa dzieciaków w kampusie wiesz na mnie psy; co noc nie mogę spać i z nerwów boli mnie brzuch, a wszystko dlatego, że Ewart nie miał tyle przywoitości, żeby mi powiedzieć, że wie o tym, że jestem niewinny. Mówię ci, tu coś śmierdzi.

Dana skinęła głową.

- Fakt, to dosyć dziwne. Ale co Ewart miałby zyskać?

- Chyba kasę. - James wzruszył ramionami. - Hiltonowie są miliarderami, a Sebastian mógł z czasem zostać ministrem wywiadu, a kiedyś może nawet premierem. Gdyby Ewart pomógł Hiltonom, jego życie wkrótce mogłoby stać się o wiele przyjemniejsze.

- I myślisz, że Zara też w tym siedzi?

Ten aspekt sytuacji był dla Jamesa wyjątkowo bolesny. Zara zawsze należała do grona jego ulubionych przełożonych.

- Bo ja wiem... - mruknął. - Może... Ale z tego, co wiemy, Ewart może równie dobrze planować ucieczkę ze striptizerką czy coś.

- Z drugiej strony może po prostu jest ostrożny i czeka, dopóki nie będzie miał całkowitej pewności co do faktów.

- No ale po co mnie okłamywał? - zdenerwował się James. - Taśma wideo pokazuje wyraźnie, że nic nie zrobiłem. Po co dręczyć mnie przez kolejny tydzień? Nigdy nie lubiłem Ewarta i założę się o moje prawe jądro, że on coś knuje.

- Jest tylko jeden sposób, by się przekonać - powiedziała Dana.

- Jaki?

- Wiemy, gdzie Ewart będzie jutro o wpół do dziesiątej rano. Możemy pójść za nim i zobaczyć, co zamierza i z kim współpracuje.

- Ryzykowne - wycedził z namysłem James.

Dana roześmiała się i potoczyła wzrokiem po stertach ściśle tajnych dokumentów.

- A to nie jest...? McLoud mieszka tylko jakąś godzinę drogi stąd. Pójdę i zaniosę papiery z powrotem do centrum planowania; jak ktoś mnie zobaczy, powiem, że zgubiłam pierścionek, wcześniej, przy sprzątaniu. Potem złapiemy parę godzin snu, wstaniami wcześniej, wśliźniemy się do recepcji, weźmiemy trochę

sprzętu i zwiniemy kluczyki do jednego z firmowych wozów.

- Nie mogę uwierzyć, że tak się dla mnie narażasz - uśmiechnął się James. - Dwa pokoje dalej mieszka moja dziewczyna. Błagałem ją o pomoc, ale wołała spędzić wieczór na oglądaniu seriali.

- Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie - odwzajemniła uśmiech Dana. - Poza tym, James, fajny z ciebie chłopak. I nie, że taki po prostu fajny. Jesteś, no wiesz...fajny fajny.

James nagle zauważył, jak blisko siebie stoją on i Dana. Pomagała mu przez całą noc, ryzykowała bardzo wiele w zamian za nic, a teraz najwyraźniej próbowała powiedzieć, że na niego leci. W tych okolicznościach trudno było jej nie pocałować, nawet gdyby była trójkokim potworem o oddechu śmierdzącym marynowaną cebulą.

A nie była.

Dana zawsze podobała się Jamesowi, ale nigdy nie próbował jej poderwać ani nawet specjalnie o tym nie myślał. Zaczął chodzić z Kerry, jeszcze zanim poznał Australijkę, a poza tym Dana była od niego starsza. Chłopcy z kampusu zwykle startowali do dziewczyn w swoim wieku lub młodszych.

- Zawsze uważałem, że masz fantastyczne oczy - powiedział James, świdrując Dane wzrokiem.

Dana była starsza od Kerry o prawie dwa lata. Wyższa, masywniejsza, okrągłejsza. Zwykle miała trochę zwariowaną fryzurę, bo rzadko czesała włosy, ale to tylko dodawało jej atrakcyjności.

Co ważniejsze, te dwa lata więcej oznaczały znacznie większe prawdopodobieństwo, że będzie miała ochotę na seks - perspektywa, przez którą James poczuł się, jakby w jego bokserkach rozpoczął się właśnie pokaz fajerwerków z okazji złotego jubileuszu królowej.



- Uwaga na papiery - wymamrotała Dana, kiedy James musnął ustami jej policzek w eksperymentalnym pocałunku

Łóżko było nieosiągalne, więc Dana, gorączkowo obcałowując Jamesa, cofała się krok za krokiem, aż wreszcie runęła plecami na niedużą kanapę przy drzwiach.

- Od wieków miałam na ciebie ochotę - zamruczała, a James poczuł, jak jej dłoń przesuwana mu się po plecach i wnika pod pasek dżinsów.

- Mogę pomacać ci cycki?

Dana parsknęła śmiechem.

- Subtelny jesteś, nie ma co.

Przekręciła się na bok i James przez chwilę myślał, że zawałił sprawę, ale odsunęła się tylko po to, by zrobić sobie miejsce przed zdjęciem koszulki. James niezwłocznie ściągnął swoją.

- Co dostanę za stanik? - drażniła się Dana.

- Wymień cenę - wyszczerzył się James.

- Dziś gratis.

James nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Potrzebował miesięcy, by dotrzeć tak daleko z Kerry. Podniecenie odbierało mu dech i czuł, jak w kącikach ust zbiera mu się ślina. Nagle ktoś zapukał do drzwi.

- Jasna cholera - zasyczała Dana, odtrącając rękę Jamesa.

- Są zamknięte - wyszeptał James. - Bądźmy cicho przez chwilę, to pomyśli, że mnie nie ma.

Dana z uśmiechem czekała, aż James poprosi ją o pomoc przy rozpinaniu stanika.

Drzwi otworzyły się z hukiem.

- Pobudeczkaa! - zaśpiewała Laura, wpadając do pokoju. - Komu lizaka? Prosto z Brighton!

James, który właśnie pokonał odporne haftki, poderwać się ze stanikiem w dłoni. Dana błyskawicznie zgarnęła z dywanu swoją koszulkę.

- Podobno były zamknięte - wycedziła przez zęby.

- Nie zamknęłaś za sobą, kiedy wróciłaś z kawą?

Podczas gdy Dana pospiesznie naciągała koszulkę, James uświadomił sobie, że tym razem łatwo się nie wyłga.

- Ty wstrętna, śmierdząca, niewierna gnido - wybuchła Laura, podtykając bratu pod nos jaskraworóżowy lizak. - Miałam ci to dać, ale teraz kusi mnie, żeby wepchnąć ci to w tyłek.

- Słuchaj, to nie tak, jak myślisz - powiedział James słabym głosem.

- Taa? To niby jak? - szydziła Laura. - Siedzieliście sobie spokojnie, gdy nagle wasze koszulki zerwały się do odlotu, a stanik Dany sam wylądował ci w ręce.

- Ale nie powiesz Kerry, co?

- Oczywiście, kurde, że powiem! Postawiłam ci ultimatum, James. Kerry jest też moją przyjaciółką. Nie zamierzam siedzieć beczynnie i pozwalać, żebyś traktował ją jak szmatę.

James zerknął niepewnie na Dane i postanowił grać na zwłokę.

- Na pewno będę chciał z nią porozmawiać i będę z nią szczerzy, przysięgam na Boga. Ale to byłby dla niej szok. Musimy zachować się delikatnie.

- Od jak dawna spotykasz się z tą... z nią? - zapytała twardo Laura.

- Od jakichś pięciu minut - odparł James.

- Jasne, James. Wymyśl coś lepszego.

Jamesa niepokoiła mina Laury. Z jakiegoś powodu jego siostra wyglądała bardziej na zmartwioną niż złą.

- James mówi prawdę - powiedziała Dana rzeczowo. - Pracowaliśmy nad pewnymi problemami związanymi ze śledztwem. Oboje jesteśmy zmęczeni i trochę nas poniosło.

- Ale z ciebie świnia, James - chlipnęła Laura.

James mógł zrozumieć, dlaczego Laura jest na niego wściekła, ale jej łyzy kompletnie zbiły go z tropu.

- Laura, co się stało?
- Smacznego - burknęła Laura, podsuwając bratu różowy lizak.

James wziął go, a Laura wycofała się za próg i głośno szlochając, pobiegła korytarzem.

- Co tu się właśnie wydarzyło? - zdumiała się Dana. - Jakoś nigdy nie zauważyłam, żeby Laura była typem zazdrośnicy.

- Bo nie jest - powiedział James. - Tu chodzi o coś więcej niż nasze lizanki. Lepiej za nią pójść.

Dana kiwnęła głową i wzięła podsunięty stanik.

James był poirytowany, bo przez Laurę nie zdążył nawet zerknąć na skarby Dany, a tym bardziej położyć na nich rąk, miał jednak zbyt dużo problemów na głowie, by się tym przejmować. Laura zachowywała się dziwnie, zamierzała powiedzieć Kerry o jego zdradzie, no i wciąż nie wiedział dokładnie, w co pogrywa z nim Ewart.

- Pójść zanieść papiery do gabinetu Ewarta - powiedziała Dana, odprowadzając Jamesa do drzwi.

James uśmiechnął się i pożegnał Danę szybkim pocałunkiem.

- Byłaś fantastyczna.

Dana poruszyła brwiami.

- Zabawa dopiero się zaczyna.

Zanim James ruszył w pogoń za siostrą, ta zdążyła już dotrzeć do schodów.

- Zaczekaj - zawołał, ale nie za głośno, żeby nie obudzić cherubinów śpiących w swoich pokojach.

Laura nie próbowała uciekać, kiedy usłyszała nadbiegającego Jamesa, ale też nie zatrzymała się. Osaczył ją dopiero na półpiętrze pomiędzy poziomami siódmym i ósmym.

- Zostaw mnie w spokoju - zaszlochała. - Chcę iść spać.

- Ze mną możesz porozmawiać o wszystkim - powiedział łagodnie James, przysuwając się bliżej, by przytulić siostrę, ale ta

cofnęła się do narożnika i uniosła pięści w postawie gotowości do walki.

- Jesteś zwierzę, wiesz? - prychnęła ze złością. - Nie dotykaj mnie!

- Ja i Kerry... Znaczy... Wiesz, że nigdy nie układało się nam idealnie.

- Dla ciebie dziewczyna to przedmiot do wykorzystania - zawarczała Laura. - A seks jest jak jedzenie chipsów albo spanie. Wszyscy tacy jesteście. Nie obchodzi was, gdzie to robicie i jak, ani kto na tym ucierpi, byle to zrobić, byle więcej!

- Zejdź ze mnie, Laura. Po pierwsze, niczego nie zrobiłem, a po drugie, jedyną osobą na świecie, którą kocham bardziej niż Kerry, jesteś ty.

Laura uśmiechnęła się niechętnie tylko po to, by na nowo wybuchnąć łkaniem.

- Zamknęli mnie w tym pokoju... - chlipnęła. - Tam było strasznie. Trzymali dziewczyny w zamknięciu i niedobrze mi, jak pomyślę, co oni z nimi robili. Potem przyszedł ten facet i kazał mi się rozebrać.

- O Boże - jęknął James wstrząśnięty do głębi. - Nie miałem pojęcia. Naprawdę strasznie mi przykro.

- Nie o to chodzi, James. Facet nawet mnie nie dotknął. Ale dźgnęłam go nożem i jest w stanie krytycznym. Nienawidzę go do jęgo zбочzonych flaków, ale nie chcę, żeby umarł.

Gdy tylko Laura dopuściła Jamesa na tyle blisko, by mógł jej dotknąć, przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił.

- Już nic ci nie grozi - szepnął uspokajająco.

- Po powrocie chciałam z tobą porozmawiać - szlochała Laura. - Ale potem zobaczyłam cię z gałami na wierzchu i cyckami Dany na twarzy... Myślałam, że zwymiotuję własne flaki. Zupełnie jakbyś był jednym z nich.

- Nic nie poradzę na to, że lubię dziewczyny. Zdarza się, że nie potrafię myśleć o niczym innym, ale jest ogromna różnica pomiędzy całowaniem się z Daną a próbą zgwałcenia kogoś.

- No bo to było jak... - powiedziała Laura, ale nie zdołała dokończyć myśli. - Przyszłam do ciebie, bo nie chciało mi się spać. Pomyślałam, że pewnie jesteś zły, że cię obudziłam, ale kiedy weszłam i zobaczyłam to...

- Nie przestaliśmy, bo myśleliśmy, że drzwi są zamknięte na zamek.

Laura pociągnęła nosem.

- A co to za papiery w twoim pokoju? - zapytała po chwili.

- Dokumenty z dochodzenia Ewarta - wyjaśnił James. - Ale o to na razie się nie martw. Chcesz, żebym poszedł do twojego pokoju i trochę z tobą posiedział? Albo możesz wrócić i spać u mnie.

- Nie, dzięki. - Laura wzruszyła ramionami. - Zanim dojdę do łóżka, pewnie będę tak zrębana, że padnę.

- Jesteś pewna? - zapytał James, delikatnie głaszcząc siostrę po plecach. - No to... dobranoc.

- Ale przyznasz się Kerry jutro z samego rana, tak?

- Laura, nie mogę...

Ton Laury stwardniał.

- Jeżeli nie powiesz Kerry o Danie, ja powiem jej o wszystkich innych dziewczynach - oznajmiła, stawiając stopę na pierwszym stopniu schodów. - To dla twojego własnego dobra, James.

- Laura, błagam, Kerry mnie zabije. Niby jak miałbym na tym skorzystać?

- Jesteś moim bratem i mogę ci wiele wybaczyć, ale to nie znaczy, że pozwolę ci robić debilkę z Kerry.

- Jak chcesz - sapnął gniewnie James. - Będziesz nosić mi winogrona do szpitala.

### 33. KŁOPOTY

James ustawił alarm na wpół do piątej, ale nie potrzebował budzika. Przez głowę pędziły mu tabuny myśli i sen pozostawał w sferze bardzo odległych perspektyw. Miał nadzieję, że Laura ma się dobrze, i martwił się sprawą Kerry, ale wszystko to było niczym wobec kwestii szpiegowania Ewarta. Jeśli pomylili się co do niego, będą musieli odpowiedzieć za kradzież dokumentów i opuszczenie kampusu bez pozwolenia, a to oznaczało koniec kariery w CHERUBIE.

James zatrzymał się na progu i nim zamknął drzwi, potoczył wzrokiem po swoim pokoju z pełną świadomością, że być może już nigdy do niego nie wróci. Wiedział, kto mieszka w każdej z pozostałych sypialni, i kiedy szedł korytarzem, nagle zdał sobie sprawę, że może już nigdy nie zobaczyć także swoich przyjaciół: Bruce'a, Shaka, Mo, Gabrielli, bliźniaków... Kerry.

Nie wyczekiwał z utęsknieniem swojego następnego spotkania z Kerry, ale myśl o tym, że mógłby już nigdy jej nie dotknąć, nie usłyszeć jej głosu, była milion razy gorsza.

James wduśił przycisk przywołujący windę, a drugą dłonią otarł łzę z policzka. Wciąż był zdecydowany zrobić, co postanowił. Jediną rzeczą gorszą od wykopania z CHERUBA była myśl, że Ewart go wrabia. A skoro Ewart wziął w łapę za zatuszowanie tak śmierdzącej sprawy, jaką mógł mieć pewność, że następnym

raz nie doprowadzi do śmierci cherubina?

- No hej - uśmiechnęła się Dana, kiedy drzwi windy otworzyły się na parterze.

Wyglądała na spokojną i pewną siebie, co dodało Jamesowi otuchy.

- Dzięki za wszystko - powiedział James, nawet nie próbując ukrywać wzruszenia. Bez pomocy Dany nigdy nie przekopałby się przez dokumentację śledztwa, a już na pewno nie wystarczyłoby mu odwagi, by samemu ruszyć za Ewartem. - Co masz w plecaku? - zapytał, kiedy ruszyli w stronę recepcji.

- Kilka przydatnych drobiazgów - powiedziała Dana. - Gaz pieprzowy, paralizator i podsłuchy. Wzięłam też parę butelek mineralki i trochę zarcia na wypadek, gdybyśmy utknęli w samochodzie na dłuższej obserwacji.

- Dobrze kombinujesz - pochwalił James.

O tak wczesnej porze recepcja była pusta. Dana podeszła do gabloty z kluczami, a James zgarnął z kontuaru długopis i podkładkę do pisania z wpiętymi formularzami.

- Masz tam klucz od mercedesa - wyszczerzył się.

Dana potrząsnęła głową i zdjęła z haczyka inny klucz. - Weźmiemy golfa GTI. Już nim kiedyś jeździłam. Nie rzuca się w oczy, ale jak trzeba, zaszuwa jak dziki.

James szybko wypełnił formularz wypożyczenia samochodu. Wpisał Londyn jako cel podróży, zaś w polu: „Członek personelu upoważniający do pobrania pojazdu” nabazgrał „Ewart Asker”.

Volkswagen golf był jednym z ponad tuzina służbowych samochodów ogólnodostępnych, zaparkowanych na podjeździe przed głównym budynkiem. Na dworze wciąż było ciemno. Przednią i tylną szybę auta pokrywał lód. James zaczął go zeskrobywać, podczas gdy Dana wybrała zestaw magnetycznych

tablic rejestracyjnych z kolekcji w bagażniku i przyczepiła je do wozu.

„Wsiedli do samochodu, zacierając dłonie z zimna. Dana przekręciła kluczyk w stacyjce i na tablicy wskaźników zapłonęły czerwone kontrolki. Silnik zaskoczył od razu.

- No dobra - westchnął James, podczas gdy Dana wycofywała wóz z miejsca parkingowego. - To jaki masz plan?

\*

Jason McLoud mieszkał przy podmiejskiej ulicy obstawionej domami typu bliźniak, oddzielonymi jeden od drugiego brukowanymi podjazdami. Za piętnaście dziesiąta James i Dana zaparkowali za łukiem drogi, w miejscu niewidocznym z numeru pięćdziesiąt siedem, by ostatnie sto metrów przebyć pieszo.

Kiedy dotarli na miejsce, James oparł nogę o ścianę domu, udając, że musi zawiązać sznurówkę.

- Wygląda na to, że żona McLouda wyszła już do pracy - powiedziała Dana, dyskretnie wskazując na suchy prostokąt na kostce brukowej, gdzie jeszcze niedawno musiał stać samochód.

James zauważył jakąś postać poruszającą się za matową szybą na pierwszym piętrze. Spojrzał na Danę i uniósł brew.

- Widzę - skinęła głową Dana. - Zbierajmy się, zanim zaczną falować zasłony.

Byli w bogatej dzielnicy, gdzie dwoje nastolatków, nieubranych w szkolne mundurki i obserwujących dom, musiało wzbudzić podejrzenia. Zamiast zawrócić w stronę samochodu, poszli dalej, by minawszy jeszcze z pół tuzina podjazdów, skręcić w boczną alejkę. Prowadziła do terenów sportowych na tyłach szeregu domów. James i Dana poszli wzdłuż granicy boiska do rugby, mijając drewniane płoty ogrodów. Zatrzymali się za domem McLouda. W zasięgu wzroku były tylko dwie osoby space-



rujące z psami po drugiej stronie boiska. Dana oparła się plecami o płot.

- Udawaj, że mnie całujesz - zarządziła.

James objął Dane i dwukrotnie pocałował w szyję, po czym, nie odrywając się od niej, przytknął oko do szczeliny między drewnianymi sztachetami.

- Nic z tego - powiedział po chwili. - Po tej stronie jest niżej. Krzaki róż, a za nimi trzymetrowa skarpa.

- No to trzeba będzie wejść od frontu - stwierdziła Dana, kiedy James odsunął się od niej. - A ty dokąd się wybierasz?

Przyciągnęła go za kurtkę i przymusiła do pocałunku.

- Później - szepnęła uwodzicielsko, kiedy się rozdzielili.

Ruszyli do przejścia na końcu boiska. James pomyślał o Kerry: nadal kręciła go, kiedy z nią był, ale ich związek stracił świeżość. Tymczasem w relacji z Daną wszystko było nowe i ekscytujące.

Weszli w boczną uliczkę i po kolejnym skrucie w lewo zamknęli pętlę, docierając z powrotem do samochodu. Wsiadli do środka.

- Dziewiąta - powiedziała Dana, zerkając na zegarek i zatrzymując za sobą drzwi. - Lepiej się uwijajmy, jeżeli mamy się dowiedzieć, co Ewart ma do powiedzenia.

James spojrział w dół i zobaczył dywanik samochodowy spoiniewierany przez jego powalane błotem buty. Była to jednak najmniejsza z jego trosk. Z plecaka Dany wydobył arkusz samoprzylepnych nadajników podsłuchowych. Szare krążki, mniejsze od paznokcia na jego małym palcu, wyglądały raczej jak coś, czego używa się do mocowania fotografii.

- Ty będziesz gadać? - zapytał James.

- Jeśli chcesz - skinęła głową Dana. - Będzie ci potrzebny palmtop do rejestrowania sygnałów z pluskiew i gdzieś tu miałam krótkofalówki...

Kiedy James poupychał po kieszeniach niezbędny sprzęt, wysiedli z samochodu i dziarskim krokiem ruszyli w stronę domu McLouda, przez cały czas bacznie się rozglądając na wypadek, gdyby Ewart postanowił zjawić się wcześniej.

Przy domu numer pięćdziesiąt jeden Dana wyjęła komórkę i wystukała domowy numer McLouda. Telefon był jednym z dwóch niezarejestrowanych aparatów na kartę, które zgarnęła z magazynu w kampusie, żeby nikt nie był w stanie ich namierzyć.

- Halo? Czy pan Jason McLoud? - zaszcebiotała.

Machnęła do Jamesa, kiedy tylko w słuchawce zabrzmiał głos starszego mężczyzny; dopóki rozmawiał przez telefon, ryzyko, że zauważy Jamesa na własnym podjeździe, było nikłe.

- Panie McLoud - ciągnęła Dana. - Mam przyjemność poinformować, że biuro podróży Penguin Travel postanowiło zaoferować panu specjalną czterystufuntową zniżkę na jeden z naszych rejsów karaibskich.

Podczas gdy McLoud srożył się w słyszalnej aż na ulicy tyradzie, na przemian żądając podania źródła, z którego biuro uzyskało jego numer, i grożąc skargą do urzędu regulacji telekomunikacji, James przemknął obok domu i przykucnął między ścianą a należącym do dziennikarza kabrioletem MG.

- Jeżeli nie przepada pan za pływaniem, to może wakacje na Florydzie? Jestem pewna, że pańskie wnuki byłyby zachwycone...

- Odczep się i nie dzwoń tu więcej, dobra?! - wrzasnął McLoud, po czym z trzaskiem odłożył słuchawkę.

Krzyczał tak głośno, że James słyszał go przez okno przedpokoj.

- Jestem gotowy - szepnął do krótkofalówki.

- Zrozumiałam, wchodzę - odpowiedziała Dana.

Ukrywszy telefon i krótkofalówkę w kieszeni, podeszła do frontowych drzwi i wdusiła przycisk dzwonka.

Na dźwięk gongu James wyjął z kieszeni arkusik z nadajnikami i zaczął skradać się w stronę ogrodu za domem. Pluskwy skonstruowano tak, by odbierały dźwięk poprzez wibracje szyb rezonujących pod wpływem ludzkiego głosu. Zadanie Jamesa polegało na okrążeniu domu i przyklejeniu nadajnika do każdego okna, podczas gdy Dana zabawiała McLouda na progu.

- Niczego nie kupuję - warknął dziennikarz, uchylwszy drzwi.

Wciąż był zdenerwowany po telefonie z biura podróży.

Dana zebrała cały swój kobiecy wdzięk i zaatakowała nim szczupłego staruszka w papuciach i z aparatem słuchowym w uchu.

- Pan musi być dziadkiem Becky - powiedziała.

Zaskoczony McLoud pokręcił głową.

- Nie znam nikogo takiego.

Podczas gdy Dana wyjaśniała, że przyjechała do swojej przyjaciółki Becky i że teraz już nic nie rozumie, bo z całą pewnością dostała właśnie ten adres - Becky McLoud, Hillcrest Road pięćdziesiąt siedem - James pospiesznie okrążył dom. Przykleił nadajnik do okna w kuchni, małego okienka w przedpokoju i w ogrodzie zimowym na tyłach. Gdy skończył, przycupnął na swojej poprzedniej pozycji przy samochodzie, by wysłuchać, jak stary zrzęda tłumaczy Danie, że wprawdzie nazywa się McLoud, ale jest na sto procent pewny, że nikt o imieniu Becky nigdy nie mieszkał w jego domu.

- Przepraszam, że zawracałam panu głowę - powiedziała Dana.

- Nic nie szkodzi, dziecko - powiedział McLoud, choć jęk, jaki wydał po zatrzaśnięciu drzwi, świadczył o czymś przeciwnym.

James wybiegł z za domu na ulicę i ujrzał Dana pochylającą się, by przykleić nadajnik do długiego okna we frontowej ścianie domu.

- Ten ostatni nie był potrzebny - stwierdził, kiedy ruszyli w stronę volkswagena. - Spotkają się w oranżerii z tyłu. Widziałem stół z filiżankami i ciastkami.

- To świetnie - powiedziała Dana. - Bylibyśmy ugotowani, gdyby zabrał go na górę do gabinetu czy gdzieś. Musimy jeszcze ukryć wóz. Nie chcemy, żeby Ewart nas zauważył.

## 34. SARA

Dana wprowadziła samochód w uliczkę prowadzącą do boisk, gdzie zawróciła, by w każdej chwili móc szybko odjechać. James siedział na miejscu pasażera z palmtopem rejestrującym sygnały z sześciu nadajników. Kabel zasilający był podłączony do zapalniczki, a przewód audio do gniazda w desce rozdzielczej, żeby dźwięk było słycać przez system nagłaśniający samochodu, a nie malutki głośniczek komputera.

Przez dwadzieścia minut słuchali Jasona McLouda, jak szwenda się po domu, słuchając programu czwartego radia BBC, i nuci Swingin' Safari Berta Kaempferta. Nagle rozległ się dzwonek.

Dana zerknęła na zegar na desce rozdzielczej.

- Punktualny - mruknęła, włączając silnik.

- Co ty robisz? - zaniepokoił się James.

- Skoro jest już w środku, możemy podjechać do domu. Będzie lepszy odbiór i będziemy mogli szybciej interweniować, jeśli Ewart spróbuje zrobić coś brzydkiego.

- Ewart był w kampusie, kiedy zginęła sekretarka i badaczka - zauważył James. - Nie sądzę, żeby był mordercą.

Dana skinęła głową, włączając kierunkowskaz i wyjeżdżając na główną ulicę.

- Może i nie jest, ale jeśli poszedł na układ z Hiltonem, zacieranie śladów równie dobrze może być częścią umowy.

Było wąsko, więc zaparkowali częściowo na chodniku, dwa numery od domu McClouda, po przeciwnej stronie ulicy. Stali na niewielkim wzniesieniu, skąd mieli znakomity widok na front numeru pięćdziesiąt siedem. Na podjeździe stał lśniący lexus.

- Czy to fura CHERUBA? - zapytał James nieco zbity z tropu.

- Nie sądzę - odpowiedziała Dana. - W każdym razie ja nigdy jej nie widziałam.

James potrząsnął głową.

- Ciekawy jestem, skąd wziął na to kasę.

- Dobra, dawaj dźwięk z oranżerii - powiedziała Dana.

James dźgnął rysikiem ekran palmtopa i odgłosy sączące się z głośników samochodu zaczęły się zmieniać. Przetaczał źródła sygnału, aż uzyskał dźwięk z nadajnika przyklejonego do szyby w ogrodzie zimowym.

- Widzę, że ma pan rękę do roślin - zagaił Ewart.

Łyżeczka dźwięknęła o spodek.

- Raczej moja żona - powiedział McCloud. - Obawiam się, że ogrodnictwo nie jest moją mocną stroną. Proszę, niech pan siada.

- Od dawna jest pan na emeryturze?

- Och, wciąż coś tam sobie skrobię. To zaleta dziennikarskiego fachu: można odpuścić sobie codzienny młyn, nie rezygnując z pracy całkowicie. A pan? John Jones wspominał mi, że pracował pan dla jakiejś gazety w Dubaju.

James i Dana spojrzeli na siebie; pojawienie się nazwiska Johna kompletnie ich zaskoczyło.

- Nie inaczej - skłamał Ewart. - Nie powiem, przyjemna fucha: słońce, zero podatku dochodowego, ale ile można pisać o inwestycjach budowlanych i wyścigach koni? No więc wróciłem zająć się prawdziwym dziennikarstwem, na początek jako wolny strzelec, ale szukam zajęcia w gazecie ogólnokrajowej.

- Jak długo zna pan Johna?  
- Kilka lat.  
- Wie pan, że on jest w firmie? - zapytał McCloud.  
- W MI5 ? - zawołał Ewart z niedowierzaniem. - Nie miałem pojęcia. Poznałem Johna kilka lat temu na targach broni w Dubaju. Postawił mi parę piwek i powiedział, że jest konsultantem do spraw bezpieczeństwa. Kilka tygodni temu wpadłem na niego i wspominałem, że robię materiał o Hilton Aerospace. Poradził mi, żebym skontaktowałem się z panem, bo wie pan o Hiltonach więcej niż ktokolwiek.

- Pisałem o Hilton Aerospace przez prawie trzydzieści lat. Musi pan stąpać ostrożnie. Przemysł obronny to bardzo solidarny świat i jeśli nadejnie pan lordowi Hiltonowi na odcisk, cała armia ludzi przestanie odbierać pańskie telefony.

- Zdaję sobie z tego sprawę - powiedział Ewart. - Ale jestem zdecydowany pociągnąć ten temat. Jeżeli Hilton naprawdę był zamieszany w śmierć Denisa Obidina, taki materiał będzie potężnym dopalaczem dla mojej kariery.

- To prawda, ale zadzierając z Hiltonem, naraża się pan grubym rybom. I to nie tylko w przemyśle obronnym. Hilton kupił synowi karierę polityczną. Junior już jest podsekretarzem stanu: młody, przystojny, znakomity mówca, mógłby zajść na sam szczyt.

- Na fotel szefa rządu? - uśmiechnął się Ewart.

- Zapomniałem w której, ale w jednej z niedzielnych gazet jakiś rok temu opublikowano ranking dziesięciu osób przed trzydziestym piątym rokiem życia mających największe szanse na tekę premiera. Sebastian Hilton był na trzecim miejscu.

- A kiedy ta Sara Thomas skontaktowała się z panem? - zapytał Ewart.

- Dzień po śmierci Madeline Cowell. Zadzwoiła ni stąd, ni zowąd i zaprosiła mnie na pogrzeb Madeline. Nie mogłem przyjść,

bo lecieliśmy na kilka dni do Portugalii, do mojej siostry. Kiedy wróciłem do domu tydzień później, zastałem kolejną wiadomość od Sary Thomas. Prosiła o spotkanie w sprawie ewentualnego materiału o Hilton Aerospace. Chciałem oddzwonić, ale na sekretarce miałem mnóstwo innych wiadomości, a poza tym, wie pan, mam ponad siedemdziesiąt lat i szczerze mówiąc, mój stary mózg lubi się czasem zaciąć. Słowem, przypomniałem sobie o Sarze dopiero wtedy, kiedy zadzwonił John Jones, żeby spytać, czy nie słyszałem niczego podejrzanego w związku ze śmiercią Clare Nazareth i Madeline Cowell.

- Zatem Madeline była osobą, która musiała wiedzieć o planach lorda Hiltona.

- O Boże, tak - powiedział McLoud, odstawiając filiżankę. - Przez trzydzieści lat była jego prawą ręką. Każde spotkanie, każdy wyjazd. Wie pan, on bardzo o nią dbał. Pamiętam spotkanie udziałowców, na którym ktoś zapytał Hiltona, dlaczego jego sekretarka zarabia więcej niż niektórzy z jego dyrektorów. Hilton wstał, naciągnął szelki i zagrzmiął: „Ponieważ Madeline Cowell jest o niebo bardziej użyteczna od każdego z moich dyrektorów”. To była naprawdę twarda babka. Nie uwierzyłby pan, ile razy przez te wszystkie lata musiałem do niej dzwonić i błagać o cytaty albo wywiad z lordem Hiltonem czy też Freddieem Hiltonem, jak wówczas go nazywano. Na każdą Gwiazdkę kupowałem jej perfumy i bombonierkę, ale była odporna na wszelkie umizgi.

Ewart roześmiał się. W tej samej chwili James dostrzegł duże srebrne audi parkujące kilka numerów dalej.

- No tak to jest - westchnął McLoud. - W każdym razie wygrzebałem kilka starych notesów i zrobiłem dla pana ksero listy kontaktów. Rozumiem, że jeszcze dziś ma pan spotkanie z Sarą Thomas.



- Istotnie - przytaknął Ewart. - Ukulem już pewną teorię na temat zamiarów Hiltona, ale nie przydybałem go z dymiącym pistoletem. Jeśli mam być szczery, dowody są raczej słabe.

- Niech pan nie robi niczego pochopnie - ostrzegł McLoud. - Szarzy ludzie jak pan i ja są przeżuwni i wypluwani przez Hiltonów tego świata. Zdarza się nawet, że w tajemniczy sposób znikają z powierzchni ziemi.

- Sara Thomas twierdzi, że ma dokumenty, które Cowell kazała oddać wyłącznie panu, w razie gdyby cokolwiek się jej stało. Wydawała się zdenerwowana. Wcisnąłem jej nieszkodliwe kłamstwo, mówiąc, że jest pan na emeryturze, a ja przejąłem pańską dawną pracę. Thomas nie chciała zdradzić, gdzie mieszka; dała mi tylko numer swojej komórki. Kiedy umawialiśmy się na dzisiaj na lunch, kilkakrotnie zaznaczyła, że w restauracji będzie tłoczno i że nie ma dużo pieniędzy, więc to ja będę musiał zapłacić.

- Interesujące - powiedział McLoud.

- To może być interesujące - zaśmiał się Ewart. - Ale znając moje szczęście, Sara Thomas okaże się zbiegłą pacjentką szpitala psychiatrycznego.

Na ulicy James i Dana patrzyli, jak z prawej strony audi wysiada rudowłosa kobieta po dwudziestce ubrana w dżinsy i workowaty sweter. W sposobie, w jaki rozglądała się wokół, było coś podejrzanego - przynajmniej dla kogoś, kto przeszedł szkolenie szpiegowskie.

Wiedząc, że widok dwóch osób siedzących beczynn timer w samochodzie może wydać się dziwny, Dana rozłożyła mapę. James odrobinę ściszył dźwięk z palmtopa.

- Śmierdzi? - zapytał.

- Tak mi się zdaje - powiedziała Dana, starając się obserwować ulicę tak, by nie dać po sobie poznać, że to robi.

Młoda kobieta zatrzymała się u wylotu podjazdu McLouda. Po kolejnym ukradkowym spojrzeniu za siebie i w stronę frontowych

drzwi domu przykucnęła przy tylnym błotniku samochodu Ewarta.

- Ożeż w mordę - wymamrotał James, kiedy kobieta wydobyła z fałd swetra nieduży czarny przedmiot. Sięgnęła pod lexusa i przytwierdziła magnetyczne urządzenie wewnątrz wnęki koła, po czym znów rozejrzała się i podbiegła do audi. Kierowca ruszył, kiedy tylko zatrzasnęła za sobą drzwi.

James i Dana spojrzeli w drugą stronę, kiedy wielki samochód przemknął tuż obok ich volkswagena.

- Myślisz, że to bomba?

James potrząsnął głową.

- Byłaby większa i podczepiliby ją pod miejscem kierowcy, a nie z tyłu. To musi być nadajnik jakiegoś systemu lokalizacyjnego.

- Czyli ktoś śledzi Ewarta. Czyżby ktoś jeszcze oprócz nas domyślił się, że on coś knuje?

- Może... - mruknął James w zamyśleniu. - Albo jest tak, że Ewart prowadzi uczciwe śledztwo, a Hiltonowie posłali kogoś, żeby miał na niego oko, co by znaczyło, że myliliśmy się co do niego. Czytaj: ukradliśmy z kampusu tajne dokumenty, zajmaliśmy samochód i tkwimy po szyję w szambie.

Dana skrzywiła się.

- Dlaczego to wszystko musi być tak skomplikowane?

- Chyba możemy wracać do kampusu - westchnął James. - Ukatrupią nas za ten samochód...

- Nie - zaprotestowała Dana, jakby w tej chwili przyszło jej coś do głowy. - Jeżeli Ewart jest w porządku i ktoś go śledzi, to może mu grozić niebezpieczeństwo. Jeżeli nie jest w porządku i śledzi go ktoś z naszych, wtedy...

- Wtedy byłoby super. - James wzruszył ramionami. - Chyba nie wyrzuciliby nas z CHERUBA za podejrzewanie prawdy.

- Ale złamaliśmy wszelkie możliwe przepisy.

Tymczasem w domu McLouda Ewart podziękował gospodarzowi za poświęcenie mu czasu i zapytał, czy przed wyjściem mógłby skorzystać z toalety.

- Ja normalnie oszaleję od tego wszystkiego - jęknął James.

- Przynajmniej mamy siebie - powiedziała Dana, przykrywając jego dłoń swoją.

## 35. KOPERTA

Zanim Ewart opuścił dom McLouda, poranny szczyt komunikacyjny skończył się i ulice opustoszały. Podążanie za lexusem przez krótkie podmiejskie uliczki nie było łatwe. Dana musiała utrzymywać wóz Ewarta w zasięgu wzroku, ale nie mogła za bardzo się zbliżyć, na wypadek gdyby był śledzony przez kogoś innego.

- Sami powinniśmy założyć mu nadajnik – zauważył James.

Dana potrząsnęła głową.

- Sygnał przechodzi przez pokój łączności w kampusie. Zdemaskowalibyśmy się.

James zastanawiał się, czy w kampusie zauważono już ich zniknięcie, kiedy Ewart wyjechał na dwupasmową ekspresówkę i wcisnął gaz, przyspieszając do stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Droga doskonale nadawała się do śledzenia, z wystarczająco intensywnym ruchem, by ścigający nie rzucał się w oczy, ale nie na tyle gęstym, by groziło mu utknięcie w zatorze. A jednak jednosamochodowy pościg nigdy nie jest prosty i James z Daną przeżyli kilka mrożących krew w żyłach momentów, kiedy wydawało im się, że ostatecznie zgubili lexusa.

W czterdziestej minucie jazdy ekspresówką zostali otrąbieni przez białą furgonetkę, kiedy gwałtownie przeskoczyli na skrajny pas, by w ślad za Ewartem skręcić w najbliższy zjazd. Co gorsza, zjazd kończył się skrzyżowaniem ze światłami i Dana nie miała

innego wyjścia, jak tylko zatrzymać się tuż za lexusem. Golf miał lekko przyciemnione boczne okna, ale przednia szyba była kryształowo przejrzysta. James i Dana spędzili pełną minutę, wpatrując się we własne kolana i modląc, żeby Ewart nie zerknął w lusterko. Mieli wrażenie, że trwało to znacznie dłużej.

Tym razem im się upiekło, ale oboje zdawali sobie sprawę z tego, że wpadka jest tylko kwestią czasu. Dana utrzymywała możliwie jak największy dystans, podczas gdy sunęli krętą wiejską szosą, mijając oszronione łąki i ospałe krowy wypuszczające z nozdrzy obłoczki pary.

Kiedy przekroczyli granicę niewielkiego miasteczka, Ewart niespodziewanie skręcił w lewo. Dana widziała w lusterku tira, który przykleił im się do zderzaka, i wiedziała, że nie może zahamować, nie ryzykując zgniecenia.

- Zgubiłaś go - zdenerwował się James.

- Nie mogłam dać po heblach z tym kłocem u tyłka - zirytowała się Dana, a James obejrzał się przez ramię i zrozumiał, co miała na myśli.

Dana włączyła lewy kierunkowskaz i zjechała na wysypany żwirem parking przydrożnego pubu. Z przeraźliwym chrzęstem zatoczyła koło i wystawiła przód wozu na drogę z zamiarem zawrócenia i dogonienia Ewarta.

- Ruchy, chłopaki, ruchy - ponaglała, czekając na lukę w potokach aut płynących w obu kierunkach.

Minęło pół minuty, nim wreszcie wdusiła gaz, zmuszając nadjeżdżający samochód do ostrego hamowania i gwałtownie szarpiąc kierownicą, by uniknąć zderzenia z żelazną bramą po drugiej stronie szosy.

Dana skręciła z głównej drogi w boczną ulicę dobre dwie minuty po Ewarcie. Po jednej stronie rozciągał się widok na brzeg rzeki z płaczącymi wierzbami i tablicą reklamującą wycieczki statkiem uzupełnioną napisem: „Wznowienie rejsów latem 2007”; po drugiej straszyla pierzeja budynków w stylu elżbietańskim z

szeregiem pułapek na turystów, oferujących wszystko, od antyków, przez herbatę z ciastkiem i śmietanką, po pamiątki z Union Jackiem\*. Z nielicznych autokarów na parkingach wysypywały się wycieczki emerytów.

- Nie cierpię takich miejsc - poskarżył się James, lustrując snujące się wzdłuż wąskich chodników grupki turystów w nadziei, że wypatrzy Ewarta. - Myślisz, że wysiadł gdzieś tutaj?

Dana zerknęła na ekran nawigacyjny.

- Wiesz, ta droga nie prowadzi nigdzie indziej. Zaparkuję gdzieś i rozejrzemy się po okolicy.

- Mam tylko nadzieję, że wypatrzymy go, zanim on nas zobaczy - powiedział James ponuro, ale zaraz ożywił się na widok przodu wielkiego srebrnego audi wysuwającego się z wąskiej uliczki pięćdziesiąt metrów przed nimi. - Witamy starych znajomych!

- Pięknie - uśmiechnęła się Dana. - My nie wiemy, gdzie jest Ewart, ale oni owszem.

Ruch był słaby, ale Dana zatrzymała się i błysnęła długimi, wpuszczając audi przed siebie. Przejechawszy za nim przez kilka ostrych zakrętów, zorientowała się, że kierowca podąża śladem niebieskich strzałek parkingowych. Strzałki prowadziły do asfaltowego placu o wielkości dwóch boisk piłkarskich. Otaczały go szlabany i budki biletowe, ale zajętych było mniej niż dwa tuziny miejsc. Wszystkie wjazdy były otwarte, a jaskrawożółte znaki obwieszczwały światu, że zimą parking jest darmowy.

- Jest wóz Ewarta - powiedział James z ulgą.

Srebrne audi zaparkowało obok lexusa. Dana przejechała jeszcze pięćdziesiąt metrów i zatrzymała samochód obok porzuconego wózka sklepowego.

\* Union Jack - flaga Wielkiej Brytanii (przyp. tłum.).

- Co proponujesz? - zapytał James. - Siedzimy i czekamy, aż wróci Ewart, czy idziemy się przejść?

- A czego się dowiemy, tkwiąc tutaj? - zapytała Dana zaczepnym tonem.

James wzruszył ramionami.

- I tak nie mamy pojęcia, gdzie on polazł. Co będzie, jeśli wyjdziemy, a on wróci i odjedzie? Dana wciągnęła powietrze przez zęby.

- Zrobimy tak - powiedziała po kilku sekundach namysłu. - Ja poczekam w samochodzie, a ty pójdziesz poszukać Ewarta. Zapnij kurtkę i załóż kaptur. Nie rozpozna cię, jeśli zachowasz odpowiedni dystans.

Wyszedszy z samochodu, James zauważył rudowłosą kobietę wysiadającą z audi. Najwyraźniej para nieznajomych przyjęła tę samą taktykę.

Powoli podszedł do drogowskazu na skraju parkingu. Strzałki pokazywały drogę do rozmaitych atrakcji: młyn wodny, kaplica św. Piotra, przystań wycieczkowa, teren piknikowy, toalety. Było piętnaście po dwunastej. James zgadywał, że skoro Ewart umówił się z Sarą Thomas na lunch, to najprawdopodobniej poszedł do jakiejś restauracji. Podczas jazdy przez miasto minęli ich całkiem sporo. W pierwszej chwili chciał ruszyć wzdłuż ulicy i dyskretnie zaglądając do kolejnych lokali, sprawdzać, czy nie ma tam Ewarta. Wtedy jednak uderzył go sposób poruszania się kobiety z audi. Wyglądała, jakby zobaczyła Ewarta na ulicy, i James postanowił pójść za nią.

Powiodła go krętymi bocznymi uliczkami do budynku z przeszklonym frontem wzniesionym nad brzegiem rzeki. Przy jednym końcu wił się ogonek złożony z około tuzina osób, przeważnie w podeszłym wieku, zbitych w gromadkę i zacierających dłonie z zimna. Kolejka zaczynała się u okienka, w którym serwowano gorące napoje i paszteciki własnego wyrobu. Na drugim końcu budynku mieściła się włoska restauracja; James poczuł gwałtowny

przyptyw adrenaliny na widok Ewarta wspartego o bufet w eleganckim barze i najwyraźniej czekającego na kogoś.

Kobieta z audi przeszła przez wielkie szklane drzwi i usiadła przy barze, dwa skórzane stołki od Ewarta. James nie mógł wejść do środka, bo z bliska Ewart na pewno by go rozpoznał, ale czając się na ulicy z twarzą skrytą pod kapturem i rękami w kieszeniach, także wyglądał podejrzanie.

Przechodząc przez wąską ulicę, James pogmerał w kieszeniach, upewniając się, że ma pieniądze, po czym stanął w kolejce do pasztecikowego okienka. Podczas gdy emeryci przed nim utyskiwali na pogodę i wyższe niż przed rokiem ceny pasztecików, James zerkał im nad głowami, lustrując każdego, kto wchodził lub wychodził z restauracji.

- Tradycyjny jumbo i herbatę poproszę - powiedział, gdy wreszcie dotarł do okienka.

Dzień był zimny i paszteciki wykupywano tak szybko, że piece ledwie nadążały z wypiekaniem kolejnych partii. Jamesowi zaburczało w brzuchu, kiedy kobieta w okienku podała mu papierową torbę zawierającą ogromny półksiężyc parującego świeżutkiego ciasta. Usiadł przy drewnianej ławie piknikowej, możliwie jak najdalej od dygocących emerytów, i wydarł zębami potężny kęs pasztecika z siekanymi warzywami i wołowiną.

Był niewiarygodnie gorący. James zacharczał przeraźliwie, czując, że dymiący ziemniak przywarł mu do podniebienia. Czym prędzej wypluł grudę mięsa na chodnik ku zgorszeniu trojga starsuszków siedzących dwa stoły dalej.

Podniósłszy wzrok, James ujrzał krzepko zbudowaną kobietę wchodzącą właśnie do restauracji. Była w średnim wieku i wyglądała trochę dziwacznie z nalaną rumianą twarzą i dużą wyściełaną kopertą pod pachą. Ewart uśmiechnął się i serdecznie uściśnął



jej dłoń. Tymczasem kobieta z audi opróżniła swoją szklanę i wyszła z restauracji, wyjmując z kieszeni komórkę. James domyślił się, że dzwoni do człowieka czekającego w samochodzie.

Odłożył pasztecik na stół i wyjął krótkofalówkę z kieszeni kurtki.

- Dana - wyszeptał. - Ewart jest z Sarą Thomas w restauracji, wygląda na to, że dziewczyna z audi dzwoni do swojego szofera.

- Właśnie słucham, jak kierowca z audi z nią rozmawia - odpowiedziała Dana.

Jamesa zatkało.

- Jak to zrobiłaś?

- Na tyłach parkingu są kible. Kierowca wyszedł na małe jasne, a wtedy podleciałam i przykleiłam mu nadajnik do szyby.

- Ładny ruch - wyszczerzył się James.

- Odezwę się później - powiedziała Dana. - Próbuję ustalić, co oni knują.

James schował krótkofalówkę i odgryzł kolejny kęs pasztecika, tym razem ostrożnie. W restauracji kształtna kelnerka prowadziła Ewarta i Sarę Thomas do stolika przy oknie wychodzącym na rzekę. James obserwował ich dyskretnie, dopóki krótkofalówka nie przemówiła znowu.

- Kobieta ma na imię Kate - pospiesznie wyrzuciła z siebie Dana. - Nie jestem pewna, czy są z MI5, czy z prywatnej agencji, ale na pewno pracują dla Hiltonów. Kate pytała, czy McLoud nie dzwonił do kogoś po wyjściu Ewarta, czyli założyli mu podsłuch.

James z troską potarł dłonią czoło.

- To znaczy, że Ewart nie pracuje dla Hiltonów.

- Na to wygląda - przytaknęła Dana. - Zdaje się, że oni go biorą za niezależnego dziennikarza, który wtyka nos, gdzie nie powinien. A Sara Thomas była sprzątaczką u Madeline Cowell.

- No i wszystko jasne - powiedział James. – Przyniosła Ewartowi dużą kopertę. Nie mam pojęcia, co jest w środku, ale pewnie dowody przeciwko Hiltonowi.

- Cowell była lojalną asystentką Hiltona przez wiele lat. James wzruszył ramionami.

- Pewnie jej lojalność trochę się zużyła, kiedy jej szef zaczął mordować ludzi, żeby chronić syna. Cowell musiała podejrzewać, że Hilton zamierza ją sprzątnąć, i postawiła za sobą małą minę.

- Jak myślisz, co teraz będzie? - zapytała Dana.

- Tropią Ewarta. Myślą, że jest tylko dziennikarzem, więc przypuszczam, że spróbują go dopaść i zabrać dowody, zanim zdąży cokolwiek z nimi zrobić.

- Racja - powiedziała Dana. - Zrobią to albo kiedy wyjdzie z restauracji, albo kiedy wróci do samochodu.

-Mógłbym go ostrzec, ale pewnie zgłupieje, jak mnie zobaczy. Lepiej poczekam, aż Sara Thomas zniknie.

\*

James umierał z głodu, kiedy kupował sobie lunch, ale potem wzburzenie odebrało mu apetyt. Pasztecik leżał przed nim na zbitym z desek stole, na wpół zjedzony i zimny jak głaz.

Kate usiadła przy barze w restauracji z hamburgerem w dłoni, podczas gdy Ewart i Sara Thomas kończyli deser. Sądząc po mowie ciała, Ewart nudził się jak mops, za to Sara sprawiała wrażenie samotnej duszy zdecydowanej jak najlepiej wykorzystać okazję na darmowy posiłek i przyzwoitą rozmowę.

James pomyślał o zadzwonieniu na komórkę Ewarta, ale nie miał jej numeru w swoim nowiutkim telefonie, zaś personel infolinii CHERUBA nie udzieliłby mu takiej informacji, nie otrzy-

mawszy wcześniej wyczerpujących wyjaśnień dotyczących pochodzenia jego i Dany.

James patrzył, jak Ewart wstaje od stołu. Koordynator potrząsnął dłonią Sary Thomas, dodając krzepiące klepięcie w ramię. Sara wykonała gest w stronę damskiej toalety, a Ewart postukał palcem zegarek, najwyraźniej tłumacząc jej, że się spieszy. James wstał od stołu.

Kiedy tylko Ewart, wetknąwszy kopertę pod pachę, skierował się ku wyjściu, Kate osuszyła wargi serwetką i uregulowała rachunek, przyciskając pustym kubkiem dwudziestofuntowy banknot.

- James - powiedziała Dana.

- Jestem - odpowiedział James, przykładając krótkofalówkę do ucha.

- Audi wycofuje się z miejsca parkingowego.

- Ewart wychodzi z restauracji z Kate na ogonie - powiedział pospiesznie James. - Szkoda, że nie wziąłem z plecaka paralizatora.

- Teraz już za późno - stwierdziła Dana.

- Dobra, ruszam za nimi - powiedział James.

Ewart szedł szybko i Kate musiała biec, żeby go dogonić. Ewart usłyszał jej kroki i zciekawiony obejrzał się z przyjaznym uśmiechem.

James chciał krzyknąć, ale nim zaczerpnął powietrza, mina Ewarta zmieniła się z: „Czy pani ze mną flirtuje?” na: „O mój Boże!”. Nie widział dokładnie, co zaszło, ale po gestach kobiety zorientował się, że spod poły kurtki wyciągnęła broń. Kiedy Ewart posłusznie ruszył w stronę ogrodzonego podwórka za restauracją, Jamesowi ze strachu skręciły się wnętrzności. Wszystko wskazywało na to, że Kate odprowadza swojego jeńca w ustronne miejsce, by go tam zastrzelić.

Pośród przedmiotów, jakie James miał przy sobie, najbliższy broni był szwajcarski scyzoryk. Wyjął go z kieszeni w tej samej

chwili, w której srebrne audi przemknęło ulicą i ostro skręciło w podwórko.

James ostrożnie wyjrzał za róg, by ujrzeć struchlałego Ewarta i Kate przyciskającą mu do piersi tłumik pistoletu. Kobieta otworzyła tylne drzwi audi i ruchem głowy nakazała Ewartowi wsiąść do środka. W tej samej chwili powietrze rozdarł ryk klaksonu.

James obejrzał się i ujrzął czerwonego volkswagena. Dana gwałtownie przyhamowała przed ostrym skretem w podwórko, ale ujrzawszy Ewarta, Kate, audi i pistolet, w ułamku sekundy podjęła decyzję i wdusiła pedał gazu do podłogi. Poduszka powietrzna wybuchła jej w twarz, kiedy volkswagen wbił się w kufer audi, wgniatając jego przód w ścianę podwórka.

Ewart i Kate instynktownie odskoczyli w tył. James puścił się sprintem w ich stronę. Tymczasem Ewart zaskoczył kobietę kopnięciem w pierś, wykręcił jej pistolet z dłoni, po czym powalił na ziemię i płynnym ruchem wycelował broń w Jamesa.

- Nie strzelaj! - krzyknął w panice James, unosząc ręce.

Ewart nie widział twarzy Jamesa pod podniesionym kapturem, ale natychmiast rozpoznał głos. Skierował lufę ku ziemi.

- Co ty tu robisz, do diabła?! - zawołał osłupiały ze zdumienia.

- Za tobą! - James wskazał palcem kierowcę audi, który właśnie wydostał się z samochodu z kolejnym pistoletem w dłoni.

Ewart błyskawicznie obrócił się na pięcie i dwaj mężczyźni zamarli, celując w siebie nad dachem samochodu z dwóch identycznych pistoletów z tłumikami. James poczuł nagłą chętkę, żeby odwrócić się i zwiać, ale wtedy zauważył, że Kate pełźnie w stronę Ewarta.

- Uwaga na nogę! - krzyknął.

Ale ostrzeżenie przyszło za późno. Kate z impetem zatopiła myśliwski nóż w stopie Ewarta. Koordynator skrzył się z bólu, a kierowca audi wyszczerzył złośliwie. Jamesa ogarnęła straszliwa pewność, że teraz Ewart dostanie kulkę w głowę, a następna będzie przeznaczona dla niego. Odwrócił się, by rzucić się do ucieczki, ale w tej samej chwili rozległ się głośny trzask i kierowca osunął się na ziemię w aureoli błękitnych iskierkach tańczących mu wokół twarzy.

James natychmiast skojarzył, że Dana musiała użyć paralizatora. Chwilowo uratowała sytuację, ale nie byli bezpieczni, dopóki nie mieli obu pistoletów.

Kate zamachnęła się po raz drugi, dźgnęła Ewarta w udo i wyciągnęła rękę po broń, która wysunęła mu się z dłoni. James zareagował w mgnieniu oka. Przesadził podwórko kilkoma szalonymi susami, wybił się w górę i całym ciężarem ciała gruchnął kobiecie na tors. Chrupnęły żebra. Kate krzyknęła, a James pospiesznie wyłuskał jej z dłoni pistolet.

Oba przednie skrzydła drzwi audi były otwarte i uniósłszy głowę, James zobaczył Dane przez luksusowe wnętrze limuzyny.

- Masz drugą spluwę?

Dana uniosła pistolet, chwiejąc się lekko.

- Nic ci nie jest? - zaniepokoił się James.

- Bywało lepiej - odpowiedziała Dana. - Trochę mi dzwoni w uszach, ale te poduszki powietrzne to jednak niezły wynalazek, nie?

- Co wy tu w ogóle robicie? - jęknął Ewart, patrząc na rosnącą ciemną plamę na swoich dżinsach.

Kate obróciła się na bok i zaczęła krztusić się krwią.

- Nakłamałeś mi w sprawie tego filmu - powiedział James. - Myśleliśmy, że pracujesz dla Hiltonów.

Dana przystawiła telefon do ucha.

- Tu agentka jedenaście sześćdziesiąt dwa - krzyknęła. - Jestem z Jamesem i Ewartem. Mamy tu niezły bajzel, lada chwila

zgarną nas gliny. Niech zespół interwencyjny przechwyci nas jak najszybciej.

Ewart cierpiał katusze z powodu dwóch ran, ale zdobył się na słaby uśmiech.

- Cokolwiek was tu przyniosło, zdaje się, że właśnie ocaliliście mi tyłek.

## 36. ULGA

Pokój łączności natychmiast nawiązał kontakt z komendantką lokalnego posterunku policji. Ta po wysłuchaniu hasła zgodziła się zabezpieczyć miejsce przestępstwa, przenieść wszystkie ofiary do najbliższego szpitala pod policyjną strażą i czekać na przybycie zespołu interwencyjnego CHERUBA.

Podczas przenoszenia na nosze Ewart nakazał Jamesowi nie spuszczać z oka koperty od Sary Thomas. Kate, której James złamał kilka żeber, odjechała tą samą karetką. Kierowca audi skrępowany przez Dane, zanim odzyskał przytomność po ukąszeniu przez pięćdziesiąt tysięcy woltów, został aresztowany i odwieziony na posterunek.

Po oddaniu pistoletów James i Dana pojechali na policję w towarzystwie sierżanta potężnej postury, któremu zakazano z nimi rozmawiać. Na posterunku zaprowadził ich w opuszczony kącik bufetu dla personelu i oświadczył, że ktoś już po nich jedzie.

Popijając colę z automatu, James wytrząsnął na stół zawartość koperty. Pierwsza kartka była listem napisanym na papierze z osobistej papeterii Madeline za pomocą staroświeckiej mechanicznej maszyny do pisania.

Drogi Jasonie McLoud

Naszej długiej znajomości nie sposób nazwać serdeczną, ale zawsze podziwiałam Pańskie zaangażowanie i rzetelność jako reportera.

Lord Freddie Hilton i ja pracowaliśmy razem od ponad trzydziestu lat i byliśmy także - czego bez wątpienia Pan się domyśla - kochankami. Być może właśnie przez to tak długo byłam ślepa na zło tkwiące w naturze tego człowieka.

W lipcu tego roku jak zawsze pojawiłam się na letnim barbecue Hiltona. Freddie odciągnął mnie na bok i oznajmił, że jest gotów zrobić absolutnie wszystko, by umożliwić swojemu synowi Sebastianowi wspięcie się na najwyższe szczeble brytyjskiej drabiny politycznej. Zapytał mnie wówczas, czy powinien się obawiać, że będę miała z tym jakikolwiek problem.

Kiedy odrzekłam, że nie podoba mi się jego rosnący apetyt na władzę, Freddie zaczął rzucać zawołane groźby. Byłam po kilku kieliszkach szampana i wkrótce przyszło mi zostać uczestniczką wielce niesmacznej sceny, pod koniec której zostałam wyprowadzona z posiadłości Hiltonów przez ochronę.

W ciągu lat mojej kariery dowiedziałam się bardzo wiele o rodzinnej firmie Hiltonów, jak również ich sprawach osobistych. Dziś, kiedy wytrzeźwiałam, zdałam sobie sprawę, że lord Hilton nie jest człowiekiem, który zniósłby świadomość, że ktoś ma na niego, mówiąc kolokwialnie, haka. Tak doszłam do wniosku, że moje życie może być w niebezpieczeństwie. Jeżeli czyta Pan te słowa, najprawdopodobniej nie myliłam się.

Mogłabym, rzecz jasna, przekazać te informacje Panu bądź policji jeszcze za życia, ale nie postawiłyby mnie one w dobrym świetle. Niewykluczone, że przyszłoby mi stanąć przed sądem, na co nie mam najmniejszej ochoty.

Nie wciągam w sprawę moich dzieci, ponieważ wiem, że pokusa poznanania zawartości koperty może okazać się dla nich nie do odparcia. W zamian powierzam dokumenty mojej długoletniej gospodyni Sarze



Thomas, którą poproszę o oddanie ich Panu w razie mojej przedwczesnej śmierci. Sara to prosta, uczciwa dusza. Mój majątek zapewni wystarczające zabezpieczenie finansowe moim dzieciom, ale prosiłabym Pana, by wszelkimi pieniędzmi, jakie zarobi na tej historii, podzielił się z Sarą.

Następna strona zawiera skorowidz nagrań i dokumentów zawartych w kopercie. Tam gdzie było to możliwe, uzupełniałam materiał notatkami, w tym rozległymi szczegółami dotyczącymi zagranicznych kont bankowych rodziny Hiltonów, jak również ludzi, którzy będą mogli (choć niekoniecznie chcieli) potwierdzić ujawnione przeze mnie fakty.

Z poważaniem Madeline Cowell

James przerzucił kartkę i przebiegł wzrokiem spis materiałów. Wydawały się zawierać dowody na wszystko: od uchylania się od płacenia podatków i posiadania nielegalnych kont bankowych po sprzedaż podzespółów samolotowych krajom objętym embargiem ONZ i przysługi wyświadczone wpływowym politykom dla zapewnienia Sebastianowi Hiltonowi miejsca w parlamencie.

- Jest coś o zabójstwie Obidina? - zapytała Dana.

James potrząsnął głową.

- To pewnie było już po odejściu Cowell, ale przy tylu szczegółowych informacjach o tajnych kontaktach śledczy na pewno znajdą jakieś powiązania.

- Fakt - skinęła głową Dana. - A nawet jeśli nie, tutaj jest wystarczająco dużo dowodów, by zapudłować lorda Hiltona i jego synusia na parę ładnych latek.

James nerwowo zabębnił palcami po blacie.

- Zdaje się, że przyszłość lorda Hiltona jest już ustalona. Wiele bym dał, żeby znać własną.

\*

Zara przyjechała godzinę później. Kiedy weszła do bufetu, James z ulgą spostrzegł, że jest uśmiechnięta.

- Byłaś u Ewarta w szpitalu? - zapytała Dana.

Zara skinęła głową.

- Wpadłam na chwilę. Nic mu nie będzie. Jęczy, że dają mu za mało środków przeciwbólowych, ale to cały Ewart. Żebyście widzieli, jakie odstawia szopki w domu, kiedy rozboli go ząb.

- No to super - powiedział James. - Cieszę się, że to nic poważnego.

- Muszę przyznać, że wciąż mam mętlik w głowie - wyznała Zara. - Wczesnym rankiem odkryliśmy, że zniknęliście z volkswagenem. Laura sądziła, że uciekliście razem, ale jej teoria nie trzymała się kupy, bo nie spakowaliście żadnych ubrań i rzeczy.

James i Dana spojrzeli na siebie.

- Skąd jej to przyszło do głowy? - powiedział powoli James.

- Powiedziała, że macie romans i że na pewno uciekliście, bo zamierzała powiedzieć o wszystkim Kerry. Wydawała się bardzo przejęta.

- Ale nie uciekliśmy - uśmiechnęła się Dana.

- Tyle domyśliłam się sama. Poprosiłam ochronę o sprawdzenie waszych wcześniejszych ruchów i dostałam film, na którym wymykacie się z biura Ewarta z dokumentami. Na miłość boską, co was napadło, żeby zrobić coś takiego?

James przygryzł wargę i wbił wzrok w blat stołu.

- No bo... Myślałem, że Ewart chce mnie zrobić w tym swoim śledztwie.

- Że co?! - parsknęła Zara.

James nie był pewien, czy powinien opowiedzieć o propozycji pana Pike'a, ale po namyśle stwierdził, że nikomu nic by z tego nie przyszło.

- Szczerze mówiąc, to nigdy za bardzo go nie lubiłem - wyduślił z siebie wreszcie. - Bałem się, że chce ze mnie zrobić kozła ofiarnego tak jak z Nicole, kiedy byliśmy na tej narkotykowej misji parę lat temu.

- Och, dajże spokój - zachnęła się Zara. - Nicole zażyła narkotyk klasy A, nie możesz winić o to Ewarta.

- No... w sumie tak - przyznał James. - Po prostu próbuję być szczerzy. Z jakiegoś powodu nie ufałem Ewartowi, więc poszedłem przejrzeć papiery w jego gabinecie.

Zara pokiwała głową.

- I odkryłeś, że Ewart wie o wiele więcej, niż ci wyjawiał.

- To ty wiedziałaś? - wypalił James, wytrzeszczając oczy. - Wiedziałaś, że Ewart ma taśmę CIA, i nic mi nie powiedziałaś?

- To była bardzo trudna decyzja - odpowiedziała spokojnie Zara. - Nie chcieliśmy przedłużać twoich mąk, ale MI5 naciskała, żeby przysyłać cię do Londynu na kolejne rozmowy. Nie mogliśmy pozwolić sobie nawet na cień ryzyka, że coś ci się wypnie podczas długiego przesłuchania.

- Jestem przeszkolony na wypadek takich sytuacji - zauważył James. - Mogliście mi zaufać.

- Wiem, że jesteś - przytaknęła Zara. - Ale śledczy MI5 są przeszkoleni do wydobywania tajemnic z agentów wywiadu o znacznie większym doświadczeniu niż twoje. Jedno potknięcie, jedna nieostrożna wypowiedź, a nawet fakt, że jesteś bardziej pewny siebie niż podczas poprzednich przesłuchań, mógł podpowiedzieć im, że Ewart jest już bliski odkrycia prawdy.

- A mieliście do czynienia z potężnymi ludźmi - pokiwała głową Dana.

- No właśnie. Kiedy próbuje się przyskrzynieć jednego z najbogatszych ludzi w kraju i jego syna, który przypadkiem jest także podsekretarzem stanu w ministerstwie wywiadu, nie można sobie pozwolić na niepotrzebne ryzyko.

- Ale jak zobaczyliśmy, czym się wozi Ewart, to byliśmy pewni, że bierze w łapę od Hiltona - dorzucił James.

Zara parsknęła śmiechem.

- Ten lexus? To prezent ode mnie na trzydzieste urodziny. Kiedy zostałam szefową, dostałam całkiem pokaźną podwyżkę. Przedtem nigdy nie mieliśmy przyzwoitego auta i chciałam sprawić mu coś fajnego, ale też bezpiecznego i wygodnego dla dzieciaków.

James postanowił przejść do sedna sprawy.

- To jak, Dana i ja pewnie dostaniemy za swoje?

Zara wzruszyła ramionami.

- Nie mogę odpuścić wam grzebania w tajnych dokumentach Ewarta ani samowolnego opuszczenia kampusu w skradzionym samochodzie, ale masz za sobą kilka trudnych tygodni, zostałeś ciężko pobity, potem gryzłeś się dochodzeniem, no i nie sposób zignorować faktu, że uratowałaś życie mojemu mężowi. Sądzę, że te dwa zestawy czynników znoszą się wzajemnie.

- A co ze mną? - zapytała Dana.

- Jak długo masz jeszcze sprzątać centrum planowania misji?

- Dwa tygodnie z hakiem.

- Dziś możesz wziąć wolne, a jutro wrócisz do pracy, okej?

James poczuł się, jakby zdjęto mu z barków olbrzymi ciężar. Po raz pierwszy od tygodni nie musiał martwić się dochodzeniem ani groźbą wyrzucenia z CHERUBA.

- A co z kopertą? - zapytał.

- Rozmawiałam o tym z Ewartem - powiedziała Zara. - Sądzi, że Jason McLoud będzie chciał ją dostać, skoro już wie, że Sara Thomas nie jest wariatką. McLoud może opublikować historię i oszczędzić nam kłopotu z wyjaśnianiem naszej roli w całej sprawie. Ale oryginały na wszelki wypadek zatrzymamy.

Dana uśmiechnęła się do Jamesa.

- Zdajesz sobie sprawę, że nie musielibyśmy przechodzić tego wszystkiego, gdyby dwa tygodnie temu McLoud zadał sobie trud odpowiedzi na wiadomość od Sary Thomas?

- No wiem - skrzywił się James. - Głupi stary szajbus.

- Lepiej już jedźmy - przerwała im Zara. - Chcę jak naj-  
szybciej zawieźć taśmy i papiery do kampusu. Kiedy tylko nasi  
technicy sporządzą duplikaty wszystkiego, co jest w kopercie,  
wyślemy kogoś, żeby wrzucił je McLoudowi do skrzynki. Jeśli  
się przyłoży, zdąży sprzedać wyłączność jednej z niedzielnych  
gazet.

- Wiemy, że Hiltonowie założyli podsłuch na telefonie Mc-  
Louda - powiedział James. - Co, jeśli spróbują go uciszyć?

- Mogą spróbować - zgodziła się Zara. - Wyślę kogoś, kto bę-  
dzie miał na niego oko do czasu publikacji.

Zara wyprowadziła Jamesa i Dane z bufetu na schody wycho-  
dzące na parking za posterunkiem.

- Wiecie co? - zagaiła, kiedy wspinali się po stopniach. - Może  
i wymknęliście się z kampusu z powodu nietrafnych przypusz-  
czeń, ale trzeba było nie lada odwagi, żeby wkroczyć, kiedy ojcu  
moich dzieci przytknięto lufę do skroni. Mam przeczucie, że bę-  
dzie wam do twarzy w czarnym...

## 37. BITWA

James wrócił do kampusu o wpół do czwartej. Przebiegł korytarzem obok pracowni naukowych i dopadł Laurę, kiedy wychodziła z klasy po jej ostatniej lekcji tego dnia.

- Łał, czarna koszulka - uśmiechnęła się Laura, zatrzymując się i oglądając na Bethany, która stanęła tuż za nią. - Gratuluję. Oczywiście ja dostałam swoją pierwszą, więc nadal jestem lepsza.

- Dobra, dobra - rzucił nerwowo James. - Co powiedziałaś Kerry?

Bethany zarechotała nieprzyjemnie.

- Jesteś błąd jak ściana, James. Tylko nie narób w gacie.

- Ktoś coś mówił? - skontrolował James.

- Kiedy zobaczyliśmy, że zniknęliście z Daną, powiedziałam, że przyłapałam was na całowaniu - wyjaśniła Laura. - Uznałam, że macie romans i prawdopodobnie uciekliście razem.

- Czy Kerry to słyszała?

- Cóż... - Laura przygryzła wargę.

- Cały kampus słyszał - wtrąciła Bethany. - Wszyscy od rana gadają tylko o tym. Kerry się poryczła. Gabriella i dwie inne dziewczyny musiały ją pocieszać.

- Normalnie skreśli mi kark.

- Pewnie tak - powiedziała pogodnie Bethany. - I mam ogromną nadzieję, że przy tym będę.

Tymczasem w drzwiach innej klasy pojawił się Rat.

- O, cześć, myślałem, że czmychnąłeś z Daną.  
- To był pierwszy raz, kiedy w ogóle ją pocałowałem! - wybuchł James.

- Kto ci uwierzy? - zaszydziła Bethany.

Rat pokiwał głową.

- Poważnie, James, nikt nie uwierzy, że to był pierwszy raz, zwłaszcza przy tych jej cyckach i wszystkim...

- Nawet ich nie zobaczyłem! - pinił się James. - I mam gdzieś, czy mi wierzycie, czy nie. Tak się składa, że to prawda.

- Tak naprawdę to nie ma znaczenia, w co my wierzymy - zauważył Rat. - Na twoim miejscu bardziej martwiłbym się tym, w co wierzy Kerry.

- Gdzie ona teraz jest? - zapytała Bethany.

- Ma zajęcia piłkarskie - mruknął naburmuszony James.

- Kończy za dwadzieścia minut. Nie wiem, co robić. Jeśli jej powiem, pewnie dostanie szału, ale może być jeszcze bardziej wściekła, jak zobaczy, że nie mam na tyle przyzwoitości, żeby jej powiedzieć.

- Spróbujesz wrócić do Kerry czy zaczynasz coś z Daną? - zapytał Rat. - Ja bym wziął Dane. Ma więcej do wzięcia w garście...

Laura uciszyła Rata nagłym ciosem w ramię.

- Żebyś mi się nie ważył mówić tak o dziewczynach. Nie jesteśmy waszymi ozdobami, wiesz?

- Nie miałem czasu, żeby to sobie przemyśleć, Rat - powiedział James. - Na razie staram się po prostu przeżyć.

- Ale będzie jazda! - zapiszczała radośnie Bethany.

Laura odwróciła się z furią do przyjaciółki.

- Przystaniesz wreszcie? Wiem, że się nie znosicie, ale to jest mój brat, pamiętasz?

- Dobra, to ja idę - burknęła Bethany z obrażoną miną.

- Tylko nie zapomnij o naszej pracy z bioli. Widzimy się później u mnie.

James wykrzywił się w stronę odchodzącej dziewczyny.

- Coś ci powiem - westchnęła Laura. - Pójdziemy do hali piłkarskiej i złapiemy Kerry, jak będzie wychodzić po zajęciach. Może przy mnie się tak nie wścieknie.

James zerknął na zegarek i potrząsnął głową.

- Dla mnie to za szybko. Jeszcze nie wymyśliłem, co jej powiem.

- Nie możesz wciąż uciekać - zauważył Rat.

- Może i nie - przyznał James. - Ale w tej chwili to jedyna taktyka, jaką mam.

\*

W drodze powrotnej do swojego pokoju James zaszedł na chwilę do Bruce'a. Mistrz karate leżał na swoim łóżku z nogą w gipsie.

- Bardzo boli? - zapytał James.

Bruce wyszczerzył się w łobuzerskim uśmiechu.

- Przekonasz się, jak cię dorwie Kerry.

- Przydałbyś mi się jako ochroniarz.

- Sorka, stary. Na razie potrzebuję dziesięciu minut na przekroczenie do łazienki, kiedy muszę się odlać. Rano wpadł do mnie Kevin Sumner. Chłopak wydaje się naprawdę zadowolony z siebie.

- To dobry dzieciak - skinął głową James. - Mam nadzieję, że przejdzie przez podstawówkę.

Rozległ się dzwonek telefonu. James rozłożył komórkę i usłyszał głos Dany.

- Gdzie jesteś?

- U Bruce'a.

- Jestem pod twoimi drzwiami - powiedziała Dana. - Musimy porozmawiać.

James zamknął telefon i pożegnał się z Bruce'em. Kiedy ujrzał Danę stojącą na korytarzu w nowej czarnej koszulce, uśmiechnął się szeroko.

- Ładnie ci w niej.



- Tobie też - kiwnęła głową Dana.

James wpuścił ją do pokoju. Czuł się niezręcznie. Potrzebował czasu, żeby spokojnie wszystko przemyśleć, ale najwyraźniej luksus ten nie był mu pisany.

- To jak, będzie coś między nami czy nie? - wypaliła Dana, odwracając się w jego stronę.

Ku zaskoczeniu Jamesa odpowiedź pojawiła się w jego głowie natychmiast, gdy padło pytanie. Już od dwóch lat na przemian kłócił się i godził z Kerry, co było już trochę nużące. Spędzili razem wiele fajnych chwil, ale w ich związku nie było już tego żaru co dawniej.

- Nie odwróciłaś się ode mnie, kiedy potrzebowałem pomocy - powiedział James. - Z Kerry oddaliśmy się od siebie, odkąd zesłiliśmy się znowu w kwietniu, tyle że dopiero przy tobie zdałem sobie z tego sprawę.

Dana uśmiechnęła się.

- Jestem trochę dziwna, wiesz o tym, no nie? Lubię spędzać dużo czasu sama, no i miałam kilku chłopaków, ale żaden nie wytrwał dłużej niż parę tygodni...

James wzruszył ramionami.

- Zobaczymy, jak nam pójdzie. Zero presji.

- A Kerry?

- Cóż... Będę musiał jej powiedzieć.

- Nic nie jadłam od śniadania - poskarżyła się Dana. - Pójdziemy na dół na wcześniejszy obiad?

- Dobry pomysł. A potem możemy wrócić do mnie i obejrzeć jakiś film czy coś. Mam... - James zająknął się. - Wiesz, właśnie uświadomiłem sobie, że nawet nie wiem, jakie lubisz filmy, jaką muzykę i takie tam.

- Więcej czytam, niż oglądam. - Dana wzruszyła ramionami. - Dwie, trzy książki tygodniowo.

- Raz przeczytałem jedną książkę - wyszczerzył się James. - Była o piesku, który nazywał się Łatka i uczył się różnych kolorów.

- Najgorsze jest to, że prawdopodobnie nie kłamiesz - westchnęła Dana. - Pożyczę ci jednego z moich Władców pierścieni.

James skrzywił się.

- Czy to nie ma ze dwudziestu milionów stron? Zresztą widziałem już filmy, więc i tak wiem, co się będzie działo.

- A pływać lubisz? - zapytała Dana. - Baseny ze zjeżdżalniami, fontannami...

- Nawet, nawet - skinął głową James. - Kerry nie cierpi basenów, bo małe dzieciaki strasznie hałasują.

- Nie zaszkodzi czasem pobawić się jak dziecko - uśmiechnęła się Dana. - A jak gnojki zaczynają mi działać na nerwy, po prostu tłukę je po łbach.

\*

W stołówce nigdy nie było tłoku przed siedemnastą, ale przy stolikach siedziało tylu ludzi, by James, stojąc z Daną w kolejce, odniósł nieodparte wrażenie, że wszyscy się na nich gapią. Gdy przyszła jego kolej, napełnił talerz pieczonymi ziemniakami i warzywami, czekając, aż bufetowy dokroi plastrów indyka i wołowiny.

Wybór miejsca nie był łatwy. James nie wiedział, jak on i Dana zostaną przyjęci przy jego zwykłym stole, gdzie siadała Kerry i reszta ich przyjaciół. Z drugiej strony, gdyby pozwolił Danie zaprowadzić się do małego stolika na końcu sali, gdzie zazwyczaj jadła w samotności, byłoby to sygnałem dla jego znajomych, że James Adams nie jest już w ich paczce. Jednak gdyby usiadł daleko, znacząco zmniejszyłby niebezpieczeństwo spotkania z Kerry. Tylko że wtedy Kerry mogłaby się wściec jeszcze bardziej, gdyby uznała, że James się przed nią ukrywa...

- Co tak stoisz jak przyglup? - zadrwiła Dana, mijając go w drodze do stołu paczki Jamesa.

- Chcesz tam usiąść? - zapytał James niepewnie, ruszając za nią.

- Zawsze tu siadasz - powiedziała Dana, odsuwając krzesło. - Chyba się mnie nie wstydzisz, co?

- Nie bądź głupia.

Ale to i tak nie miało znaczenia, bo w stołówce nie było nikogo ze znajomych. Podczas gdy James i Dana jedli obiad, kolejka do bufetu powoli rosła. Składała się głównie z juniorów w czerwonych koszulkach, którzy na ogół jedli wcześniej, ponieważ mieli mniej lekcji i mniej pracy domowej do odrobienia niż starsi cherubini.

Pierwszym znajomym, który dołączył do Jamesa i Dany, był Bruce. Przykuśtykał o kulach promiennie uśmiechnięty, a tacę z obiadem przyniósł za nim ktoś z obsługi.

- Gadałeś już z Kerry? - zapytał z subtelną lawiną. - A wy co, jesteście już parą czy jak?

James skinął głową.

- Postanowiliśmy spróbować.

Zanim James i Dana zabrali się do biszkoptowego przekładańca i ciasta czekoladowego, kolejka sięgała już poza drzwi stołówki. Laura, Bethany, Rat, Andy i garstka innych znajomych Laury usiedli przy dwóch sąsiednich stolikach i zajęli się rozmową we własnym gronie. James starał się myśleć o czymś przyjemnym, kiedy do stołówki weszły Gabriella i Kerry.

- Jeszcze jeden deser? - zapytała Dana, przejeżdżając palcem po wnętrzu swojej miseczki.

James obejrzał się przez ramię. Lada z deserami była wolna.

- Poproszę, skoro tak namawiasz... - powiedział, głaszcząc się po brzuchu.

Kiedy Dana wstała, by przynieść desery, przy stole zjawił się Shak w towarzystwie identycznych bliźniaków Calluma i Conнора. Chłopcy złapali za krzesła, by się dosiąść.

- Niech jeden z was usiądzie tutaj, dobra? - powiedział pośpiesznie James, klepiąc krzesło obok siebie, gdy tylko zorientował

się, że ostatnie dwa wolne miejsca zostaną tuż przy nim.

- Czemu tak ci na tym zależy? - uśmiechnął się szelmowsko Callum.

A może to był Connor?

- A w ogóle to gdzie byliście, wy dwa bycze jądra? - zapytał James. - Jesteście prawie tak brązowi jak Shak.

- W krainie Oz, stary - powiedział drugi z bliźniaków z najgorszą imitacją australijskiego akcentu, jaką James słyszał kiedykolwiek w życiu. - Heroina, skorumpowani gliniarze, pościgi na motorówkach, w sumie rutynowa misja dla dwóch bohaterских ogierów, takich jak my oczywiście.

- Jakieś laski? - zapytał James.

- Laski z Oz są niezłe - dorzucił Bruce, ale chłopcy nagle zamilkli.

- No ba - wyszczerzył się James, patrząc na Danę, która pochyliła się nad stołem, by postawić na nim dwa desery. - Sam mam tutaj laskę z Oz.

- O jedną laskę za dużo, chciałoby się rzec - wycedził cicho Shak, kuląc się na krześle, ze wzrokiem wbitym w Gabriellę i Kerry, które właśnie podchodziły do stolika.

James uświadomił sobie, że wszyscy przy sąsiednich stolikach patrzą w jego stronę. Spodziewał się, że dostanie w głowę tacą, ale Kerry spokojnie usiadła.

- Cześć, James - powiedziała, ujmując widelec i nabijając nań kawałek pieczonego ziemniaka. - Cześć, Dana.

Zapadła ciężka cisza i James poczuł, że wszyscy oczekują od niego, by się odezwał.

- Kerry, słuchaj... - zaczął kulawo. - Naprawdę mi przykro. Nie chciałem zranić twoich uczuć.

- Ach tak - odpowiedziała Kerry wprawdzie spokojnym głosem, ale odgarniając włosy z twarzy, co robiła zawsze, kiedy była rozgniewana. - To jak długo zamierzałeś gzić się z nią za moimi

plecami, nim wreszcie zebrałbyś się na odwagę, żeby mi powiedzieć?

- To nie było tak, przysięgam - jęknął James. - Wcześniej nie dotknąłem Dany nawet palcem, dopiero wczoraj...

- Mógłbyś mieć chociaż tyle przyzwoitości, żeby być szczerzy - powiedziała Kerry. - Niedobrze mi, jak na ciebie patrzę. Ta suka może sobie ciebie wziąć.

Dwa głośne „Ups!” dobiegły od strony stolika Laury.

- Hej! - zawołała Dana z lekka już wyprowadzona z równowagi. - Tak się składa, że James mówi prawdę. I nie podoba mi się, że nazwałeś mnie suką.

- Trudno, suko - odparła Kerry. - Mało mnie obchodzi, co ci się podoba, a co nie, i szczerze mówiąc, nie wierzę w ani jedno słowo, jakie pada z twojej kłamliwej mordy.

- Słuchajcie, a może byście się uspokoili? - zaproponował James.

Ale Dana zerwała się na równe nogi.

- Jak chcesz wiedzieć, to James rzucił cię tylko dlatego, że kiedy błagał cię o pomoc, ty wołałaś siedzieć na swoim chudym jaśniepańskim tyłku i oglądać EastEndersów w poczuciu własnej niedoścignionej doskonałości.

- Słyszałam, co się stało - prychnęła Kerry, krzywiąc się pogardliwie. - Pofarciło się wam jak zwykle. Prawdziwy cud, że was nie wywalili.

- Tak, jasne! - krzyknęła Dana. - A czarne koszulki dali nam po to, żeby wszyscy widzieli, jakie z nas przygłupy.

Rozległo się ciche mlaśnięcie: to Kerry zaczerpnęła pełną garść deseru Dany.

- Popatrz, co myślę o tych waszych drogocennych koszulkach.

James patrzył ze zgrozą, jak pecyna kremu czekoladowego, biskoptu i bitej śmietany rozpryskuje się na piersi Dany.

- Och, bardzo dojrzałe zachowanie, przedszkolaczku.

- Może jeszcze?! - krzyknęła Kerry. - Wredna suko!

James spróbował ułożyć usta w uśmiech.

- Nie, dziewczyny, nie jestem wart tego, żeby się o mnie bić.

- Wiem, że nie jesteś - zasyczała Kerry. - Ale oboje zabawialiście się za moimi plecami i zrobiliście ze mnie kretynkę.

- To nieprawda - wycodziła Dana przez zęby. - To tylko głupia plotka rozpuszczona przez Laurę.

- A co miałam myśleć?! - dobiegło z sąsiedniego stolika.

- Ty siedź cicho, Laura - krzyknęła Kerry. - Już dość narobiłaś kłopotów!

- Ja? - zachłysnęła się Laura. - A co ja znowu zrobiłam?

James podniósł wzrok na Kerry.

- Dlaczego wyżywasz się na mojej siostrze? To na mnie jesteś wkurzona.

- No i co się tak gapisz? Myślisz, że mnie przestraszysz? - wrzasnęła Kerry i prysnęła mu w twarz resztkami deseru z dłoni.

- Chcesz się pobawić jedzeniem? To masz! - krzyknęła Dana, rzucając się na Kerry z garścią pełną przekładańca.

Dłoń trafiła Kerry w ciemie, ale przekładaniec rozprysnął się na wszystkie strony, trafiając także Jamesa i Gabriellę.

- Na miłość boską! - wrzasnęła Gabriella. - To świństwo nigdy się nie spierze!

James utknął pomiędzy Daną i Kerry, które usiłowały złapać się nawzajem za szyje. Szarpnął się i runął do tyłu wraz z krzesłem, wpadając na Bethany, a przy okazji brudząc jej bluzkę bitą śmietaną.

- Uważaj, baranie!

Gabriella nie wzięła na deser przekładańca, więc cisnęła w Danę swoim gorącym ciastkiem z marmoladą. Ciastko rozpadło się na mniej więcej piętnaście kawałków, ochlapując Bruce'a i Shaka.

Rozzłoszczona z powodu tłustej śmietany na jednej z jej najlepszych bluzek Bethany wetknęła palce w swój przekładaniec i cisnęła pecyną w Jamesa.

- Ciągłe jeździcie po moim bracie! - krzyknęła rozeźlona Laura, miotając ociekający sosem plaster wołowiny prosto w twarz Bethany. - Mam tego dosyć. Twój brat jest większym baranem niż James, a ja znoszę to bez słowa.

- Oj! - wrzasnął Jake. - Słyszałem to!

W tej samej chwili Bruce zaskowytał, bo gruda gorącego dżemu Gabrielli spadła mu na bosą stopę, a on nie mógł sięgnąć pod stół, by ją wytrzeć. Zemścił się jednak, strzelając w przeciwniczkę z łyżki porcją marchewki z groszkiem. Niestety, część pocisku przeleciała obok Gabrielli, by trafić w kark dziewczynę jedzącą spokojnie obiad dwa stoliki dalej.

Dwaj siedzący nieopodal juniorzy uznali, że rzucanie jedzeniem to świetny ubaw, i przyłączyli się do walki. Tymczasem Dana i Kerry wciąż usiłowały się udusić. W szamotaninie Dana zdołała zgarnąć ze stołu duży dzbanek z wodą i machnęła nim w stronę głowy Kerry. Woda chlusnęła na kilka metrów, mocząc cherubinów przy sąsiednich stolikach.

I wtedy ktoś zawołał:

- Bitwa na żarcie!

Od czasu gdy Kerry rzuciła pierwszą porcję przekładanica, do wybuchu regularnej wojny minęły zaledwie dwie minuty.

Zanim James zdołał podnieść się z podłogi, nad stołami śmigały już setki jadalnych kartaczy. Ledwie zdążył potoczyć wokół wystraszonym spojrzeniem, a już Bethany wcisnęła mu w twarz cały talerz pieczonego indyka.

Kiedy gorączkowymi ruchami usiłował zetrzeć sos z nowiutkiej czarnej koszulki, od pleców odbił mu się parujący ziemniak. Schylił się po pocisk i - nie mając pojęcia, skąd nadleciał -

cisnął go z furją przez całą długość stołówki, trafiając w jeden z plazmowych telewizorów.

Podczas gdy personel kuchni zdierał sobie gardła wrzaskiem, gang juniorów opanował bufet z deserami. Z wielkich pojemników pod ladą dzieciaki nabierały pełne garście kremu, by z zapalem ciskać go w chaos na sali.

Dziewczęta piszczwały, Kerry i Dana tarzały się w resztkach obiadu na stole, Rat próbował odciągnąć Laurę od Bethany, a bufetowe wykrzykiwały groźby karalne pod adresem walczących, osłaniając głowy drewnianymi tacami. Uchylając się sporadycznie przed co większymi pociskami, James patrzył w niemym zachwycie na eksplodujące wokół niego piekło.

Delektował się chwilą, o której w kampusie będzie się mówić latami, a wszystko zaczęło się od dwóch dziewczyn, które pobiły się o niego.

Odtąd miał być żywą legendą.



# EPILOG

## Misja Jamesa

Po śmierci DENISA OBIDINA WŁADIMIR OBIDIN przez trzy tygodnie dochodził do zdrowia w prywatnej moskiewskiej klinice. Powróciwszy do Aerogrodu, podjął bezwzględne kroki przeciwko agentom ochrony, których podejrzewał o zdradę jego brata. Ponad tuzin osób było okrutnie torturowanych i ostatecznie straciło życie. CIA została zmuszona do przerwania operacji w Aerogrodzie.

Po krótkiej rozprawie z innymi członkami rodziny Władimir przejął stanowisko swojego brata na czele imperium finansowego Obidinów. Na początku 2007 r. wdowę po Denisie Obidinie obrano burmistrznią Aerogrodu. Żaden inny kandydat nie odważył się stanąć przeciwko niej.

Sześćioletni Marek wciąż niechętnie uczy się angielskiego. Do brytyjskiej szkoły z internatem ma trafić wkrótce po swoich ósmym urodzinach.

Skandal wokół sprawek LORDA FREDERICKA HILTONA i jego syna SEBASTIANA HILTONA wybuchł trzy dni po bitwie na jedzenie w stołówce CHERUBA. Lord Hilton został zatrzymany podczas próby ucieczki prywatnym odrzutowcem. Sebastiana Hiltona aresztował jego własny szef ochrony na bezpośredni rozkaz premiera.

W związku z ilością i zawilością materiału dowodowego obciążającego Hiltonów oczekuje się, że staną przed sądem nie

wcześniej niż pod koniec 2007 r. Obaj mężczyźni przebywają obecnie w areszcie w więzieniu o zaostrzonym rygorze Belmarsh. Chęć ich przesłuchania wyraziła policja Stanów Zjednoczonych, Rosji oraz kilku krajów europejskich.

Po ujawnieniu afery Hiltonów policja aresztowała ponad stu ich wspólników. Skandal doprowadził do rezygnacji dwóch ministrów gabinetowych oraz całego zarządu głównego Hilton Aerospace.

Parę śledzącą Ewarta Askera zidentyfikowano jako KATE MULHROON i JOSPEHA GOSLING-BELLA, prywatnych detektywów dawniej zatrudnionych w MI5. Oboje stanęli przed sądem za nielegalne posiadanie broni i otrzymali siedmioletnie wyroki.

Za ujawnienie w prasie ciemnych sprawek Hiltonów JASON McLOUD otrzymał trzy nagrody dziennikarskie. Dręczyło go potem lekkie poczucie winy, ponieważ nie zrobił nic oprócz odebrania koperty. Spełniając prośbę Madeline Cowell, połowę honorariów za artykuły i swoje późniejsze występy telewizyjne McLoud przekazał SARZE THOMAS.

Komisja etyki CHERUBA przeprowadziła dochodzenie w sprawie operacji w Aerogrodzie, w wyniku czego ustanowiono szereg nowych przepisów zwiększających bezpieczeństwo cherubinów. Największą zmianą było wprowadzenie zakazu wysyłania agentów na operacje zagraniczne bez opieki koordynatora.

W raporcie z dochodzenia skrytykowano EWARTA i ZARĘ ASKERÓW za utrzymywanie Jamesa w nieświadomości co do postępów śledztwa w jego sprawie. W ostro sformułowanym napomnieniu czytamy:

Obowiązkiem wszystkich członków kadry CHERUBA jest przede wszystkim działanie na rzecz dobra agentów, a dopiero potem uwzględnianie implikacji operacyjnych. W Rosji James Adams doświadczył traumatycznych przeżyć i kwestia jego komfortu psychicznego powinna przeważać wszelkie inne względy.

Raport chwalił postawę JAMESA ADAMSA, ale przypominał też, że komisja etyki istnieje właśnie po to, by pomagać agentom CHERUBA w ich kłopotach z członkami kadry. Jamesa skrytykowano za kradzież służbowego samochodu, ale w raporcie przyznano, że działał pod wpływem silnego stresu i w żadnym wypadku nie zasługuje na karę.

## Misja Laury

Po otrzymaniu gwarancji przyznania pełnego obywatelstwa brytyjskiego ANNA wyjawiała, że jej prawdziwe nazwisko brzmi CZAJKA. JOHN JONES poczynił pewne kroki w kierunku wytropienia jej młodszego brata GEORGIJA CZAJKI, ale malca nigdy nie odnaleziono.

Obecnie Anna mieszka z przybranymi rodzicami w Szkocji. Dobrze się uczy, a jej angielski znacznie się poprawił.

W wyniku policyjnego nalotu na dom publiczny zatrzymano dwadzieścia osiem dziewcząt przymuszanych do pracy w seksbiznesie. Podczas późniejszych przesłuchań ujawniono szczegóły dotyczące trzech podobnych przedsięwzięć, w następstwie czego uwolniono ponad sto ofiar wykorzystywania seksualnego i niewolnictwa, dziewcząt w wieku od jedenastu do dwudziestu dwóch lat.

Większość dziewcząt dobrowolnie wróciła do domów w Rosji i innych części Europy Wschodniej. Dwadzieścia sześć zadeklarowało brak bliskiej rodziny i wyraziło chęć pozostania w Wielkiej Brytanii. Pomimo iż dziewczęta były więzione w koszmarnych

warunkach przez nawet cztery lata, tylko trzem z nich, nieletnim, udzielono azylu. Zgodnie z polityką rządu resztę potraktowano jak nielegalnych imigrantów i deportowano do rodzinnych krajów. Aktywiści ruchów obrony praw człowieka wyrazili obawę, że deportowane dziewczyny prawdopodobnie szybko trafią ponownie w ręce handlarzy ludźmi.

KEITH i bramkarz z domu publicznego przeżyli starcie z Laurą i powrócili do zdrowia w szpitalu, po czym stanęli przed sądem obok ROMANA, ABBY i innych osób aresztowanych podczas policyjnych nalotów. Wszystkim postawiono zarzuty dotyczące porwań, handlu ludźmi i prostytucji. Wyroki wahały się od ośmiu do siedemnastu lat więzienia. Kolejne naloty doprowadziły do osądzenia ponad tuzina innych przestępców. Wysocy funkcjonariusze służb celnych nazwali ten sukces ważnym przełomem w walce z handlem ludźmi.

### **Tymczasem w kampusie**

Po zapoznaniu się z przebiegiem bitwy na jedzenie dzięki zapisowi z kamer nadzoru władze CHERUBA ukarały ponad pięćdziesięcioro cherubinów karnymi okrażeniami oraz cofnięciem miesięcznego kieszonkowego.

Kilkoro dzieci doznało lekkich oparzeń i podczas specjalnego apelu Zara Asker przypomniała wszystkim w kampusie, że rzućcie gorącą żywnością może stać się przyczyną groźnych obrażeń. Ostrzegła ponadto, że w razie powtórzenia się incydentu udzielone kary będą znacznie surowsze.

Pies Askerów KLOPS powrócił do pełni zdrowia po operacji przełyku, ale przykra przygoda niczego go nie nauczyła: nadal pożera absolutnie wszystko.

Stan NORMANA LARGE'A, przechodzącego rehabilitację po operacji serca, wciąż się poprawia. Choć lekarze nie odbierają mu nadziei na odzyskanie pełni zdrowia, nie jest pewne, czy kiedykolwiek będzie w stanie podjąć bardzo wymagającą fizycznie pracę szkoleniowca w CHERUBIE. Norman wyraził chęć dalszej pracy dla firmy i Zara Asker zgodziła się rozważyć znalezienie dlań innej posady w kampusie w zależności od wyniku przesłuchania dyscyplinarnego w sprawie jego nietrzeźwości podczas prowadzenia obozu kondycyjnego.

KEVIN SUMNER rozpoczął szkolenie podstawowe i radzi sobie znakomicie. W znacznym stopniu zapanował nad lękiem wysokości, choć wciąż zdarza mu się zdrzeć ze strachu.

BRUCE NORRIS doznał skomplikowanego złamania nogi. Dochodzi do siebie, ale nie będzie w stanie trenować ani podejmować zadań przez co najmniej dwa miesiące.

JAMES ADAMS i DANA SMITH zdają się tworzyć udany związek. James dotarł już do czterysta piętnastej strony *Władcy pierścieni* i nie ma serca, żeby powiedzieć Danie, że jego zdaniem to nudy.